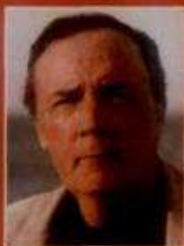


TAM, GDZIE PRAWO JEST BEZSILNE, LICZY SIĘ TYLKO ZEMSTA...

J A M E S
PATTERSON
A N D R E W G R O S S
SEDZIA I KAT





JAMES PATTERSON

James Patterson należy do ścisłej czołówki najpopularniejszych pisarzy amerykańskich; obok książek Browna, Grishama i Kinga, właśnie jego powieści najczęściej trafiają na światowe listy bestsellerów. Sławę przyniósł mu thriller *W sieci pajaka*, w którym po raz pierwszy pojawia się Alex Cross, czarnoskóry policjant i psycholog, specjalizujący się w tropieniu seryjnych zabójców (w postać tę dwukrotnie wcielił się Morgan Freeman). Patterson nigdy nie zawodzi czytelnika – każda jego książka to wciągająca mieszanka nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszałamiającego tempa narracji i nieślabnącego ani na chwilę napięcia.

Media głoszą, że zanosi się na „proces stulecia”. Przed sądem staje „ojciec chrzestny” nowojorskiej mafii Dominic Cavello, zwany Elektrykiem – okrutny, bezwzględny morderca. Od lat nietykalny, tym razem nie ma szans na uniewinnienie wobec niezbitych dowodów jego zbrodniczej działalności zebranych przez agenta specjalnego FBI Nicka Pellisante. Wyrok może być tylko jeden. Ale Cavello ma jeszcze jednego asa w rękawie. Wynajęty zabójca wysadza w powietrze autobus odwożący przysięgłych w bezpieczne miejsce. Z całej ławy przy życiu pozostaje jedynie Andie DeGrasse, samotna matka, której jedyny syn ginie na miejscu. Elektryk ucieka z gmachu sądu. Zrozpaczona kobieta i agent Pellisante łączą siły, by wytropić zbrodniarza i wymierzyć mu sprawiedliwość.

ISBN 978-83-7359-711-2



9 788373 597112

**J A M E S
PATTERSON**

**A N D R E W
G R O S S**

SĘDZIA I KAT

Z angielskiego przełożył
JACEK MANICKI



WARSZAWA 2008

Tytuł oryginału:
JUDGE AND JURY

Copyright © James Patterson 2006 All
rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Albatros A. Kurytowicz 2008

Copyright © for the Polish translation by Jacek Manicki 2006

Redakcja: Władysław Ordęga
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kurytowicz

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: OpolGraf SA, Opole

Książkę tę dedykuję Dana-Farber Cancer Institute oraz Wszystkim, którzy wnieśli wkład w to cenne przedziwzięcie.

Autorzy pragną również podziękować Kevinowi Palardy'emu, Mary Ellen Murphy, zwłaszcza Anne Heausler Dupont. Osobne podziękowania dla Jima Kingdsdale'a, którego podróże do Patagonii były kształcące.

Prolog

Ślub

1

Nazywam się Nick Pellisante, a wszystko to zaczęło się dla mnie pewnego letniego dnia na Long Island, podczas „ślubu ślubów”. Obserwowałem roześmianą pannę młodą prowadzącą wijący się między stołami korowód podochoconych weselnych gości. Wężyk. Zajęczałem w duchu. O kurczę blade, jak ja nie cierpię wężyków.

W tym miejscu wypadałoby nadmienić, że obserwowałem ową scenkę rodzajową z oddali przez silną lornetkę. Widziałem, jak panna młoda, zarzucając to w tę, to w tamtą kształnym, pokrytym koronką kuperkiem, rozchlapuje czerwone wino z kieliszka i próbuje przywołać do porządku jakiegoś nabuzowanego krewnego, który obrzucał korowód nadziewanymi ostrygami, a uśmiechnięty od ucha do ucha pan młody wodzi za nią rozanielonym wzrokiem.

Szczęśliwa para, bez dwóch zdań, pomyślałem, krzywiąc się i sięgając pamięcią dziesięć lat wstecz. Ze mnie też szczęściarz, aż miło popatrzeć. I to w ramach wypełniania obowiązków służbowych.

Jako agent specjalny sekcji C-10 wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną FBI, oddział w Nowym Jorku, (dowodziłem zastawianiem zasadzki na jednego szemranego gościa bawiącego się na weselu w zwykonym South Fork

Club w Montauk. Byli tu wszyscy, którzy coś znaczyli w szemranym świecie.

Wszyscy, prócz tego, którego zamierzałem przyskrzyńić.

Szefa. Capo di tutti capi. Dominica Cavella. Nazywano go Elektrykiem, bo w tej branży zaczynał, odstawiając rozmaite szwindle na budowach w New Jersey. Był to kawał drania, bezwzględny zakapior. I miałem na niego całą kolekcję nakazów aresztowania - za morderstwo, za wymuszenie, za korumpowanie związków zawodowych oraz za handel narkotykami.

Jeden z moich kumpli z Biura twierdził, że Cavello jest już na Sycylii i śmieje się tam z nas w kułak. Krążyła też plotka, że zamelinował się w ośrodku wypoczynkowym na Dominikanie, którego był właścicielem. Według innych dał nogę do Kostaryki, do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a niewykluczone, że nawet do Moskwy.

Ale innie przeczucie podpowiadało, że on jest tutaj, gdzieś w tym tłumie weselników płasających po pięknym tarasie na tyłach South Fork Club. Gościu cierpiał na przerost ego. Tropiłem go od trzech lat i on przypuszczalnie zdawał sobie z tego sprawę. Ale nic, nawet władze federalne, nie mogło odwieść Dominica Cavella od przybycia na ślub swojej najbliższej bratanicy.

— Cannoli Jeden, tu Cannoli Dwa — usłyszałem w słuchawce.

Wywoływał mnie agent specjalny Manny Oliva, któremu wyznaczyłem stanowisko na wydmach, przydzielając do towarzystwa Eda Sinclaira. Manny dzieciństwo i wiek młodości spędził w blokowiskach Newark, potem skończył prawo na tamtejszym Uniwersytecie Rutgers. Do mojej sekcji C-10 trafił prosto z Quantico.

— Masz tam coś na celowniku, Nick? Bo tu u nas nic, tylko piasek i skrzeczące mewy.

Tak, mam — odparłem z przekąsem. — Jeden wielki syf. Ale marzy mi się mała lasagne z kiełbaskami na gorąco, a do tego nadziewane krewetki posypane parmezanem.

— Zbastuj, Makaroniarz, bo mi język do dupy ucieknie.

Makaroniarz. Tak przezywali mnie ci koledzy z oddziału, z którymi byłem blisko. Może dlatego, że dorastałem w Bay Ridge, gdzie rządzą chłopcy z włoskiej ferajny, a może dlatego, że moje nazwisko kończyło się na samogłoskę, trudno powiedzieć. Przyczyną mogło być też to, że o La Cosa Nostra wiedziałem więcej niż ktokolwiek w Biurze, i nie mogłem darować temu gnojkwowi, iż dorobił gębę wszystkim Amerykanom włoskiego pochodzenia: mojej rodzinie, moim znajomym, którzy nie mieli żadnych zatargów z prawem, no i, oczywiście, mnie samemu.

No, gdzie, do cholery jesteś, świński skurwysynu? Bo jesteś tutaj, prawda, Cavello?

Przesunąłem lornetką po korowodzie.

Węzyk przelawirował przez cały taras, przeparadował przed nadzianymi bonzami w smokingach i purpurowych koszulach i ich wyfiokowanymi małżonkami wylewającymi się z przyciasnych sukien. Panna młoda wolno zbliżyła się do stołu starszyny — padrones w wąskich krawatach — którzy sączyli kawę espresso i rozprawiali, zapewne o starych dobrych czasach. Kilka z tych twarzy wydało mi się znajomych.

I tutaj panna młoda popełniła błąd.

Podbiegła do jednego z tych ramoli, pochyliła się i cmoknęła go w policzek. Był to łysiejący mężczyzna siedzący na wózku inwalidzkim z dłońmi splecionymi na podolku. Wyglądał mi na rekonwalescenta po ciężkiej chorobie, może po udarze, słowem, marnie wyglądał. Na nosie miał okulary w czarnej oprawie, bez brwi, jak wuj Junior z Rodziny Soprano.

Nie odrywając lornetki od oczu, wstałem i wyregulowałem ostrość. Panna młoda chwyciła właśnie starucha za ręce i próbowała podnieść go z wózka. Facet sprawiał wrażenie takiego, co na stojąco nawet się nie wysika i ledwie da radę ją objąć, a co dopiero wstać i ruszyć w tany...

I nagle serce żywiej mi zabiło.

Ożeż ty sukinsynie zatracony! A więc przyszedłeś!

— Tom, Robin, ten dziadyga w czarnych okularach. Ten, którego pocałowała przed chwilą panna młoda.

— No — odezwał się znudzonym tonem Tom Roach. Siedział w furgonetce na parkingu i śledził obrazy przesyłane z zainstalowanych w lokalu kamer. — Mam go. A co?

Postąpiłem jeszcze jeden krok i ponownie wyregulowałem ostrość.

— A nico. To Dominic Cavello!

2

— No to zaczynamy! — rzuciłem do mikrofonu przypiętego do kołnierza koszuli. — Zdejmujemy łysego zgreda w czarnych cynglach, który siedzi na wózku inwalidzkim przy stole po lewej stronie tarasu. To Cavello! Uważajcie, bo może być uzbrojony i stawiać opór.

Ze swojego stanowiska miałem pierwszorzędną widok na miejsce akcji. Tom Roach i Robin Hammill wyskoczyli ze stojącej na parkingu furgonetki i skierowali się ku wejściu do lokalu.

Teren mieliśmy obstawiony, że mucha nie siada — nawet barmani i kelnerzy w środku byli od nas. Niecały kilometr od brzegu czekał kuter Straży Przybrzeżnej, na pobliskim lotnisku grzał silniki helikopter Apache. Wszystko zapięte na ostatni guzik.

Tak na wszelki wypadek, bo przecież nawet Dominic Cavello nie posunąłby się chyba do wszczynania strzelaniny na weselu córki swojego brata, prawda?

Guzik prawda.

W momencie kiedy Tom z Robinem wysiadali z furgonetki, przed budynek restauracji wyszło na papieroska dwóch nycusów w jasnoniebieskich smokingach. Zobaczyli moich ludzi i jeden zawrócił do środka, a drugi zastąpił im drogę.

— Przepraszam, to prywatna impreza...

Tom Roach błysnął mu przed nosem odznaką.

— Już nie. FBI.

Przeniosłem lornetkę na tego, który wcześniej zawrócił. Wybiegał właśnie z budynku restauracji na taras, na którym odbywało się wesele. Dopadł do domniemanego rekonwalescenta na wózku inwalidzkim.

— Przypał! — wrzasnąłem, nie odrywając oczu od lornetki. — Wszyscy na Cavello! Manny, ty z Edem odcinacie mi drogą od strony wydm. Taylor — wywołałem agenta udającego kelnera — Tom i Robin zaraz tam będą. Czekaj na nich.

I w tym momencie Cavello zerwał się z wózka inwalidzkiego z werwą najzdrowszego na świecie człowieka. Steve Taylor odstawił na stolik tacę i wyszarpnął pistolet zza pazuchy.

— FBI! — ryknął.

Huknął strzał, Taylor padł i tak już został.

Na tarasie się zakotłowało. Pisk, krzyki, chowanie się pod stoły. Kilka dobrze mi znanych mafijnych szyszek umykało do wyjść.

Skierowałem lornetkę na Cavella. Przygarbiony, nadal w przebraniu, ucharakteryzowany, przeciskał się przez spanikowany tłum. Kierował się ku schodom prowadzącym na plażę.

Dobyłem glocka, zeskoczyłem z pagórka i pogałem nadbrzeżną drogą w kierunku białego, drewnianego budynku restauracji.

Wbiegłem do środka frontowymi drzwiami i moment później wypadłem na taras. Cavello jeszcze tam był. Ściągnął już czarne okulary. Na moich oczach odepchnął na bok jakąś starszą kobietę, przesadził drewniany płotek i pocałował w kierunku wydm.

Był nasz!

3

— Manny, Ed, idzie na was!

Wiedziałem już, dokąd kieruje się Cavello. Próbowałem dostać się do helikoptera parkującego na cypelku, zapewne swojego helikoptera. Rozuając ludzi na boki, podbiegłem na skraj tarasu i spojrzałem w dół.

Cavello cwałował pasmem trawiastych wydm ciągnących się wzdłuż brzegu.

W pewnej chwili zniknął mi z oczu za jedną z nich, i tyle go widziałem.

— Manny, Ed, za sekundkę powinien na was wyjść! — krzyknąłem do radia.

— Już jest, Nick — odparł Manny.

— Agenci federalni — usłyszałem przez radio.

A zaraz potem padły strzały — dwa jeden po drugim, potem jeszcze cztery, może pięć.

Krew ścięła mi się w żyłach. Jezus Maria! Przeskoczyłem płotek i pognałem przez wydmy w stronę plaży. Potknąłem się, padłem na kolana, poderwałem i popędziłem dalej w kierunku, z którego dobiegły strzały. Zatrzymałem się jak wryty.

Na plaży leżały na wznak dwa ciała. Serce podeszło mi do gardła. Podbiegłem tam, ślizgając się na piasku, który pociemniał od krwi.

O Boże, tylko nie to.

Manny nie żył. Ed Sinclair charczał, krew szła mu ustami, dostał w klatkę piersiową.

Dominic Cavello oddalił się już na pięćdziesiąt kroków. Biegł ciężko, trzymając się za postrzelone ramię.

— Manny i Ed oberwali! — wrzasnąłem do mikrofonu. — Sprowadzić tu migiem pomoc!

Cavello uciekał w kierunku helikoptera. Drzwi kabiny stały otworem. Rzuciłem się w pościg.

— Stój, Cavello! — krzyknąłem. — Stój, bo będę strzelał!

Obejrzał się przez ramię, ale ani myślał posłuchać.

Nacisnąłem raz i drugi spust pistoletu — drugi pocisk trafił go w udo.

Ojciec chrzestny złapał się za nogę i zatoczył. Ale biegł dalej, powłócząc kontuzjowanym kulasem, jak zdesperowane zwierzę, które walczy do ostatka. Dał się słyszeć warkot helikoptera — to nadlatywał apache Straży Przybrzeżnej.

— Sam widzisz! — wrzasnąłem, składając się znowu do strzału. — Już po tobie! Następną kulkę wpakuję ci w łeb.

Cavello zatrzymał się wreszcie. Dysząc ciężko, podniósł ręce i odwrócił się powoli.

Nie miał pistoletu. Licho wie, gdzie go wyrzucił, mógł nawet do morza. Dzieliło nas kilka kroków. Pomimo pocisków tkwiących w ramieniu i udzie na gębie tego padalca malował się uśmiech.

— Makaroniarz — wysapał. — Jeśli tak bardzo chciałeś się bawić na weselu mojej bratanicy, to wystarczyło powiedzieć. Wysłałbym ci zaproszenie.

Miałem wrażenie, że głowa mi zaraz eksploduje. Przez tego śmiecia straciłem dwóch, może nawet trzech ludzi. Podeszedłem do Cavella z glockiem wymierzonym w jego pierś. Patrzył mi w oczy z kpiącym uśmiechem.

— Wiesz, jak to jest Pellisante. Na włoskie wesela każdy przychodzi z pistoletem.

Dałem mu w mordę i Cavello osunął się na jedno kolano. Myślałem, że będzie mi chciał oddać, ale on wstał, potrząsnął głową i roześmiał się.

No to przyłożyłem mu raz jeszcze, z całych sił, jakie mi zostały.

Tym razem już się nie podniósł.

Część pierwsza

Proces

Rozdział 1

Richard Nordeshenko, pochylony nad szachownicą w swoim mieszkaniu przy ulicy Yehudy w Hajfie, wysoko nad błękitnymi wodami Morza Śródziemnego, zdecydował się zastosować królewską obronę, indyjską. Przełom pionów, słynny atak Kasparowa. Posunięcie to otworzyło Kasparowowi drogę do zwycięstwa nad Tukmakowem w mistrzostwach Rosji w roku 1981.

Chłopiec siedzący naprzeciwko skontrował pionem. Nordeshenko pochwalił ruch syna aprobującym skinieniem głowy.

— A dlaczego ten pion na tej pozycji stwarza taką przewagę? — zapytał.

— Bo blokuje twoją wieżę od strony królowej — odparł bez wahania chłopiec. — I nie pozwala zbliżyć się twojemu pionowi do królowej. Tak?

— Tak. — Nordeshenko uśmiechnął się do syna. — A kiedy królowa po raz pierwszy uzyskała moc, którą dysponuje po dziś dzień?

— Około roku tysiąc pięćsetnego — odparł syn. — W Europie. Wcześniej mogła się posuwać tylko o dwa pola do przodu i dwa tyłu. Ale...

— Brawo, Pavle!

Z uczuciem poczochnął syna po jasnych włosach. Jak na jedenastolatka bardzo szybko się uczył.

Chłopiec obrzucił wzrokiem szachownicę, po czym przesunął swoją wieżę. Nordeshenko zorientował się od razu, do czego zmierza syn. Studiował swego czasu na akademii szachowej Głaskowa w Kijowie. Udawał jednak, że niczego nie zauważył i kontynuował swój atak, odsłaniając piona.

— Podkładasz mi się, tato — stwierdził Pavel urażonym tonem. — Poza tym powiedziałeś, że rozgrywamy tylko jedną partię. A potem nauczysz mnie...

— Ja miałbym cię uczyć? — zażartował Nordeshenko, wiedząc, co syn ma na myśli. — To ty mógłbyś uczyć mnie.

— Nie chodzi o szachy, tato. — Chłopiec podniósł na niego wzrok. — Chodzi o pokera.

— Ach, o pokera? — Nordeshenko udał zaskoczenie. — Żeby grać w pokera, Pavle, trzeba mieć środki na licytację.

— Mam środki — obruszył się chłopiec. — Sześć dolarów w bilonie. Oszczędzałem. I ponad sto kart ze słynnymi piłkarzami. W idealnym stanie.

Nordeshenko się uśmiechnął. Rozumiał syna. Od małego uczył się wykorzystywać przewagę. Szachy to gra trudna. Samotnicza. Coś jak gra na instrumencie. Gamy, ćwiczenia, praktyka. Aż w końcu wszystko zostaje zaabsorbowane, zapamiętane. I nie trzeba już myśleć.

To trochę tak, jak uczyć się zabijać ludzi gołymi rękami.

Za to poker, poker to wolność. Samo życie. W odróżnieniu od szachów nie ma w nim nigdy dwóch takich samych rozgrywek. Dopuszcza łamanie zasad. Wymaga od graczy niezwyklej kombinacji dyscypliny ze skłonnością do podejmowania ryzyka.

Z tych refleksji wyrwał nagle Nordeshenkę dzwonek komórki. Spodziewał się tego telefonu.

— Przepraszam cię na moment — powiedział do syna.

— Ależ tato — jęknął rozczarowany chłopiec.

— Tylko chwila. — Wziął Pavla pod pachy, zasadził go z krzesła i lekkim kłapsem skierował ku drzwiom. — Muszę odebrać ten telefon. I ani słowa więcej.

— Okay.

Nordeshenko wyszedł na taras z widokiem na morze i otworzył klapkę komórki. Tylko garstka ludzi na świecie znała jego numer. Usiadł na bujanej ławeczce.

— Nordeshenko, słucham.

— Dzwonię w imieniu Dominica Cavella — rozległo się w słuchawce. — Ma dla ciebie robotę.

— Dominica Cavella? Przecież on siedzi w więzieniu i czeka na proces — zauważył Nordeshenko. — A ja mam na widoku wiele innych zleceń.

— Ale nie takich — zapewnił go rozmówca. — Ojciec chrzestny chce ciebie i tylko ciebie. Podaj swoją cenę.

Rozdział 2

Nowy Jork. Cztery miesiące później

Andie DeGrasse rozglądała się oszołomiona po wielkiej, wyłożonej boazerią sali, nabitej prawnikami, szeryfami, dziennikarzami i kim tam jeszcze, i dochodziła do wniosku, że nigdy dotąd w całym swym życiu znikąd tak cholernie nic pragnęła się ulotnić.

To samo odczuwało pewnie pięćdziesiąt kilka osób stłoczonych wraz z nią w boksie dla kandydatów na przysięgłych.

„Powołana na przysięgłą”. Te słowa przyprawiły ją o zimny dreszcz. Miała się stawić o dziewiątej rano w budynku sądu federalnego przy Folley Square. Stawiła się, wypełniła formularze i przeglądając bezmyślnie czasopismo „Parenting”, przez godzinę szlifowała wymówki.

Około jedenastej trzydzieści woźny sądowy wywołał jej nazwisko, zapędzono ją do szeregu takich jak ona nieszczęśników z niepewnymi, zrezygnowanymi minami, i zawieziono na siódme piętro, gdzie mieściła się sala rozpraw.

Powiodła wzrokiem po twarzach gromady zdenerwowanych, przestępujących z nogi na nogę ludzi, ściśniętych wraz z nią w tej zagrodzie dla bydła. Nie, stanowczo jej się tu nie podobano.

Jakby znalazła się w metrze w godzinach szczytu. Ludzie w roboczych ubraniach — elektrycy, mechanicy, hydraulicy — czarni, Latynosi, jeden chasyd w mycce, każdy usiłuje przeko-

nać najbliższych sąsiadów, że nic tu po nim, on nie z tej prywatki. Dwaj biznesmeni w urzędniczych garniturach stukają demonstracyjnie w klawisze palmtopów, dając tym do zrozumienia, że znają lepsze sposoby na wykorzystanie swojego czasu.

Tak, ci mają już chyba sprawę z głowy. Rozpisane na godziny, pierwszorzędne, niepodlegające dyskusji alibi. Usprawiedliwienia od szefów, narady z partnerami. Podróże służbowe, spotkania z klientami. Zabukowany już i opłacony rejs na Bermudy...

Andie, naturalnie, też nie przyszła tutaj nieprzygotowana.

Włożyła na tę okazję obcisły czerwony T-shirt z nadrukiem „Nie zawracać mi głowy” na piersi. Swój najbardziej odjazdowy ciuch. Ale nie z myślą o podkreśleniu swoich kształtów, o nie.

Lecz z myślą o wymiganiu się od całej tej imprezy: „Pani dziękujemy”. Choćby mieli ją uznać za stukniętą albo puszczalską.

W rezerwie chowała jeszcze status matki samotnie wychowującej dziecko. Jarrod miał dziewięć lat i był jej najlepszym kumplem, a zarazem największym zmartwieniem. Kto będzie go odbierał ze szkoły, odpowiadał na jego pytania, pomagał w odrabianiu lekcji, jeśli jej zabraknie, no kto?

No i wreszcie audyty, na przeprowadzenie których podpisała już umowy. Jej agent od Williama Morrisa na sam ten tydzień załatwił jej dwa.

Dla poprawienia sobie nastroju Andy zaczęła liczyć ludzi o twarzach w miarę inteligentnych, którzy zdradzali jaką taką otwartość umysłu i nie poddawali się sytuacji, w której się znaleźli. Naliczyła takich co najmniej dwadzieścioro. Nieźle. Potrzebują tylko dwunastki, prawda?

Nachyliła się do niej tęga Latynoska, która robiła na drutach różowy sweterek dla dziecka.

— Przepraszam, wie pani, co to ma być za proces?

— Nie mam pojęcia. — Andie wzruszyła ramionami i zerk-

nęła na strażników ochrony. — Ale na moje oko chodzi o coś grubszego. Widzi pani, ilu tu dziennikarzy? I zwróciła pani uwagę na te barykady na zewnątrz i te tabuny policjantów? Więcej ich tutaj niż na planie Nowojorskich gliniarzy. Latynoska uśmiechnęła się.

— Rosella jestem — powiedziała przyjaźnie.

— A ja Andie. — Wyciągnęła rękę.

— No to... Andie... nie wiesz czasem, jak się załapać do tej ławy przysięgłych?

Andie spojrzała na nią z ukosa. Chyba się przesłyszała.

— Chcesz, żeby cię wybrali? — spytała z niedowierzaniem.

— Pewnie, że chcę. Mój mówi, że płacą czterdzieści dolarów dziennie plus dojazdy. Kobieta, u której pracuję, też mi za ten czas płaci, to czemu nie miałabym sobie dorobić?

Andie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Czemu nie?

Drzwiami prowadzącymi na zaplecze wyszła woźna — kobieta w okularach w czarnej oprawie, o ściągniętej, surowej twarzy dziewiętnastowiecznej nauczycielki.

— Proszę wstać, sąd idzie.

Wszyscy powstali z miejsc.

— Sędzia Miriam Seiderman.

— Słuchaj, Rosello, chcesz wiedzieć, jak się na to załapać? — szepnęła Andie do sąsiadki, kiedy na salę rozpraw wchodziła atrakcyjna kobieta pod pięćdziesiątkę o włosach przetykanych pasemkami siwizny.

— No przecież.

— Więc mnie obserwuj — Andie trąciła Rosellę łokciem — i rób dokładnie na odwrót.

Rozdział 3

Sędzina Seiderman zajęła miejsce za stołem sędziowskim i zaczęła od zadawania standardowych pytań wszystkim po kolei kandydatom na przysięgłych. Imię, nazwisko i adres zamieszkania. Źródło utrzymania. Stan cywilny, dzieci. Wykształcenie. Czytane gazety i czasopisma. Czy ktoś z rodziny pracuje dla rządu bądź w policji.

Andie spojrzała na zegarek. To mogło się ciągnąć godzinami.

Kilkorgu z nich od razu udało się wymigać. Jedna z kobiet oznajmiła, że jest prawniczką. Sędzina kazała jej podejść. Rozmawiały przez kilka sekund przyciszonymi głosami i kobieta została odprawiona. Jakiś mężczyzna poskarżył się, że niedawno był już w składzie ławy przysięgłych w Westchester. Rozwiązała się przed niespełna tygodniem. Jego też odprawiono.

Inny facet oświadczył z głupia frant, że pisze powieści kryminalne. I rzeczywiście, jakaś kobieta z grona kandydatów na przysięgłych pomachała jego książką. Właśnie ją czytała! Andie usłyszała, jak wychodząc z sali mruczy pod nosem:

— Ani mi się śni nadstawiać tutaj karku.

Następnie sędzina Seiderman wskazała ruchem głowy na Andie.

— Andie DeGrasse — przedstawiła się Andie. — Mieszkam w Bronksie, Zachodnia Sto Osiemdziesiąta Trzecia Ulica, numer osiemset pięćdziesiąt pięć. Jestem aktorką.

Kilka osób spojrzało na nią z zaciekawieniem. Ludzie zawsze tak reagowali.

— To znaczy próbuję nią zostać — uściśliła. — Na co dzień jestem korektorką w „The Westsiderze”. To taka osiedlowa gazetka na górnym Manhattanie. A sprzedając następne pytanie, Wysoki Sądzie, to byłam, przez cztery lata.

— Czym pani była, pani DeGrasse? — Sędzina rzuciła jej spojrzenie sponad okularów.

— Mężatką. Siła wyższa, Wysoki Sąd rozumie. — Kilka osób zachichotało. — Z tamtego okresu został mi syn. Ma teraz dziewięć lat. Poświęcam mu każdą wolną chwilę.

— Proszę kontynuować, pani DeGrasse — zachęciła ją sędzina.

— Niech no pomyślę... Studiowałam dwa lata na St John's. — W rozwinięciu powinno to zabrzmieć: „Rzuciłam studia na czwartym semestrze i nawet nie wiem, co to jest dowód ekskulpujący”, ale Andie wołała nie wdawać się w szczegóły.

— Co by tu jeszcze... Aha, czytuję „Vogue'a” i „Cosmo”, ach, i jeszcze „Mensę”. Jestem członkinią założycielką tej organizacji. I staram się nią pozostać.

Na sali rozpraw znowu rozległy się chichoty. Tak trzymać, podpowiadał Andie głos wewnętrzny. Idź za ciosem. Jeszcze trochę, a wylecisz stąd z hukiem.

— Co zaś do policji... — zastanowiła się. — Nie, nie mam w rodzinie żadnego policjanta. Ale z kilkoma się spotykałam.

Sędzina Seiderman uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy ma pani jakieś uprzedzenia wobec Amerykanów włoskiego pochodzenia? Albo obawia się pani, że, uczestnicząc w tym procesie, nie będzie z jakiegoś powodu zdolna do wydania bezstronnego werdyktu?

— No, grałam kiedyś małą rolę w odcinku Rodziny Soprano — odparła Andie. — W tym, gdzie Tony spuszcza w szkole manto temu facetowi. Ja występowałam w klubie.

— W jakim klubie? — Sędzina Seiderman zamrugała.

— Bada Bing, Wysoki Sądzie. — Andie wzruszyła wstydliwie ramionami. — Tańczyłam tam na rurze.

— To była pani? — Jakiś Latynos zerwał się z ławki w pierwszym rzędzie. Teraz rechotała już cała sala rozpraw.

— Dziękuję, pani DeGrasse. — Sędzina Seiderman walczyła z cisnącym się na usta uśmiechem. — Na pewno będziemy wszyscy wypatrywać pani na ekranie, kiedy puszczą powtórkę tego serialu.

Sędzina zajęła się teraz Rosellą. Andie uznała, że chyba dobrze to rozegrała. Dręczyło ją pewne poczucie winy, ale zdecydowanie nie chciała być przysięgłą.

Za to Rosella nadawała się do tej roli idealnie. Była do niej wprost stworzona. Od dwudziestu lat sprzątała u tej samej kobiety. Niedawno nadano jej amerykańskie obywatelstwo. Chciała zostać członkiem ławy przysięgłych, bo uważała to za swój obywatelski obowiązek. Dzierga sweterek dla wnuczki. A ty co? Andie uśmiechnęła się do siebie. Rosella bez zająknięcia odpowiadała na wszystkie pytania. Mogłaby reklamować instytucję sędziów przysięgłych!

Na koniec sędzina oznajmiła, że ma jedno pytanie do wszystkich kandydatów na przysięgłych. Andie zerknęła na zegarek. Pierwsza piętnaście. Przy odrobinie szczęścia zdąży jeszcze odebrać Jarroda ze szkoły.

Sędzina Seiderman pochyliła się nad swoim stołem.

— Czy komuś z państwa kojarzy się z czymś Dominic Cavello, a jeśli tak, to czy ktoś z was jest z nim w jakikolwiek sposób powiązany?

Andie przeniosła wzrok na spokojnego, siwowłosego mężczyznę, który siedział w drugim rzędzie. A więc to on? Po sali rozszedł się cichy pomruk. Zerknęła na Rosellę, teraz z odrobiną współczucia.

Ci ludzie wpadli jak śliwka w kompot.

Rozdział 4

Podczas przesłuchiwania kandydatów na przysięgłych siedziałem w trzecim rzędzie, niedaleko stołu sędziowskiego. Pod ścianami stali policjanci gotowi wkroczyć do akcji, gdyby Cavellowi przyszła ochota podrapać się choćby po nosie. Większość z nich wiedziała, że to ja ująłem Cavella i że jest to dla mnie sprawa osobista.

Nie mogłem się już doczekać, kiedy odczytany zostanie akt oskarżenia i stanowisko dla świadków zajmie pierwszy z nich.

Przydzielono nam sędzinę Miriam Seiderman. Znałem ją już z dwóch procesów i w obu zdawała się brać stronę oskarżonych. Ale była skrupulatna, sprawiedliwa i dociekliwa. Gorzej mogliśmy trafić.

Do kandydatów na przysięgłych też nie można było mieć większych zastrzeżeń. Kilkoro z nich nieźle mnie ubawiło.

Na przykład ten Verizon z akcentem z Nowej Anglii, który pochwalił się, że posiada trzy domy w Brooklynie, które własnym sumptem odremontował, ale nadal nie rezygnuje z pracy w firmie telekomunikacyjnej, w związku z czym chciałby wiedzieć, ile taki proces może potrwać.

I ten autor kryminałów rozpoznany przez jedną z kandydatek, która go podobno czytała.

No i ta kobieta w trzecim rzędzie. Aktorka i samotna matka. Rezulutna i ładna, o gęstych kasztanowych włosach przetykanych pasmami czerwieni. Co ona ma tam napisane na koszulce? „Nie zwracać mi głowy”. Nawet śmieszne.

Cavello siedział z rękami splecionymi na podołku, patrząc na wprost. Ale już kilka razy obejrzał się przez ramię i uśmiechnął do mnie. „Jak leci, Nicky”, zdawały się mówić te jego uśmiechy. Nie do wiary, facetowi grozi dożywocie, a zachowuje się, jakby mu to zwisało i powiewało.

Co jakiś czas nachylał się do swojego adwokata, Hy Kaskela zwanego Fretką. Kaskel specjalizował się w bronienu takich gnojków i finansowo nieźle na tym wychodził. Był niski, krępy, miał haczykowany nos, spiczastą brodę i gęste, krzaczaste brwi, którymi można by glansować buty.

Fretka był showmanem, dwa razy doprowadził do unieważnienia procesu, miał na koncie trzy uniewinnienia. Siedział ze swoją ekipą, szacował kandydatów na przysięgłych, robił notatki. Verizon. MBA. Literat.

Zerknąłem znowu na aktorkę. Moim zdaniem była przekonana, że ją odrzuca. Ale w składzie ławy przysięgłych potrzeba czasem kogoś, kto potrafi odejść od schematu, przełamać lody.

— Panie i panowie — zabrała głos Sharon Ann Moran, asystentka sędziny. Obrona i oskarżenie dokonały już wyboru. Skład ławy przysięgłych został ustalony.

Oby to tylko była dwunastka, która potrafi odczedzić prawdę od kłamstw i nie da się zmanipulować, pomyślałem.

Sędzina zaczęła odczytywać nazwiska. Nazwiska dwanaściorga przysięgłych i sześciorga rezerwowych. Każdy wy czytany wstawał i przechodził do boksu dla przysięgłych.

Autor kryminałów, usłyszawszy swoje nazwisko, zdębiał. Tak samo Verizon. I latynoska gosposia, ta, która dziergała na „drutach sweterek dla wnuczki.

Ale najbardziej zaskoczona była aktorka. Ją też zakwalifiko-

wano! W życiu nie widziałem takiej zbaraniałej miny. Odniosłem wrażenie, że wszyscy obecni na sali rozpraw tłumią uśmiechy.

— Pani DeGrasse, przysięgła numer jedenście, proszą zająć miejsce w boksie dla przysięgłych — powiedziała sędzina z przekąsem. — Dostała pani swoją rolę, moja droga.

Rozdział 5

Szklana winda hotelu Marriott Marquis pięła się coraz wyżej ponad Times Square. Richard Nordeshenko patrzył na rozmigotany, oddalający się i kurczący chaos ulicy. Pies z nim tańczył.

— Pierwszy raz w tym Marriocie, panie Kaminsky? — spytał gadatliwy goniec hotelowy w czerwonej czapce, towarzyszący mu w mknącej na czterdzieste drugie piętro kabinie.

— Tak — skłamał Nordeshenko.

A prawda była taka, że zaliczył już wszystkie najwyższej klasy hotele w sąsiedztwie Times Square. Upodobał sobie tę okolicę. Nie z powodu neonów ani nocnych rozrywek, w których i tak nie gustował. Chodziło o przelewające się tutaj tłumy przechodniów. W razie czego można się było w nich rozplątać o każdej porze dnia i nocy.

— Z Kijowa, tak? — spytał z szerokim uśmiechem goniec. — Z Ukrainy? Poznałem po akcencie. Lubię się bawić w takie zgadywanki. Wystarczy mi dwadzieścia pięter i przeważnie już wiem.

— Niestety. — Nordeshenko pokręcił głową. — Jestem Czechem. — A w środku cały się gotował. Gadatliwy goniec trafnie odgadł jego pochodzenie. Może to вина zmiany czasu

po przelocie przez Atlantyk, tak czy inaczej zapomniał o ostrożności i odsłonił się.

Drzwi kabiny rozsunęły się i goniec przepuścił go przodem na korytarz.

— Blisko byłś. — Nordeshenko uśmiechnął się i rozłożył przepraszająco ręce. — Ale mimo wszystko pudło.

Leciał równo osiemnaście godzin z przesiadką w Amsterdamie, gdzie wylegitymował się holenderskim paszportem, a następnie w Miami, okazując biznesową więź do Stanów. Podczas lotu słuchał dla relaksu Chopina i Theloniousa Monka, grał też z komputerem w szachy, zwyciężając ostatecznie na ósmym poziomie. To pomogło mu przetrwać podróż.

To i miejsce w pierwszej klasie na koszt Dominica Cavella.

— Z pokoju czterdzieści dwa dwadzieścia trzy będzie miał pan wspaniały widok na Times Square. panie Kaminsky. — Goniec otworzył przed nim drzwi. — Mamy tutaj restaurację widokową i salę klubową. A na półpiętrze jest restauracja w renesansowym stylu. Aha, gdyby było panu czegoś trzeba, to na imię mi Otis.

— Dziękuję, Otis. — Nordeshenko uśmiechnął się i wcisnął gońcowi w dłoń banknot. Goniec zasłużył na hojny napiwek, przypomniał, że ostrożności nigdy za wiele.

— Dziękuję. — Otisowi zabłyśły oczy. — Jak tylko będzie się pan chciał zabawić, to wystarczy dać mi znać. Barek na górze jest czynny do drugiej nad ranem. Ale gdyby przyszła panu ochota na rozrywkę po tej godzinie, to znam miejsca otwarte dłużej. To miasto nigdy nie zasypia, no nie?

— Velky Jablko — powiedział Nordeshenko z akcentem rodowitego Czecha.

— Vel-ky Jab-lko? — Goniec zamrugał.

— Big Apple. — Nordeshenko puścił do niego oko.

Otis roześmiał się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nordeshenko położył walizkę na łóżku i wyjął z niej komputer. Musiał się pilnie skontaktować z paroma osobami i omówić kilka spraw. Do rana wszystko powinno być ustalone.

Ale do rana jeszcze daleko i goniec był blisko ze swoją ofertą.

Na dzisiejszą noc Nordeshenko miał w planie własny rodzaj rozrywki.

Dzisiejszej nocy pogra w pokera — za pieniądze Dominica Cavella.

Rozdział 6

— Pańska kolej. — Krupier wskazał na niego ruchem głowy i Nordeshenko rzucił na środek stołu nowy studolarowy żeton.

Był w ekskluzywnym pokerowym klubie na górnej East Side. Wielka sala miała wysoki, kasetonowy sufit i wysokie wąskie okna zasłonięte haftowanymi złotymi kotarami. Kogo tu nie było! I atrakcyjne kobiety w wieczorowych sukniach zabijające nudę przy stole przeznaczonym do gry na małe stawki, i rasowi hazardziści w ciemnych okularach gotowi przegrać wszystko, co mają.

Było już dobrze po pierwszej nad ranem, a przy czterech stołach nadal ostro obstawiano.

Nordeshenko pociągnął łyżeczek martini stoli, a tymczasem krupier dorzucił mu dwie karty. Grali na tak zwane wykruszenie. Kto zostanie, zgarnia całą pulę. Postawione dotychczas trzy tysiące dolarów przyniosły mu dziesięć tysięcy w żetonach.

O dziesiątej przy stole siedziało ośmioro graczy. Teraz zostało tylko troje: Nordeshenko; Julie, atrakcyjna blondynka o długich prostych włosach w obcisłym spodnim; i gość, któremu Nordeshenko nadał w duchu ksywkę „Kowboj”, irtujący, bębniący w stół palcami pajac w kowbojskim kapeluszu i lotniczych okularach, który, usłyszawszy akcent Nordeshenki, zaczął się do niego zwracać per Iwan.

Nordeshenko wyczekiwał cierpliwie chwili, kiedy znajdzie się z nim wreszcie sam na sam.

Podjeżdżał dyskretnie leżące przed nim koszulkami do góry karty. As i dama, tego samego koloru. Serce trochę żywiej mu zabiło. Kiedy w licytacji przyszła kolej na niego, rzucił na stół żeton pięćsetdolarowy.

Dawniej, ilekroć zawitał do Nowego Jorku, chodził do rosyjskiego klubu w Brooklynie pograć w szachy. Stawka wynosiła tysiąc dolarów za wygraną partię. Szybko jednak wyrobił sobie tam reputację dobrego szachisty i zaczął zwracać uwagę — a jemu nie było to na rękę. Przerzucił się więc na pokera.

Julie, która miała najmniej żetonów i licytowała ostrożnie, dopłaciła do puli, ale Kowboj zatarł dłonie i przesunął na środek stołu stos żetonów.

— Przykro mi, kwiatuśku pachnący, ale z taką kartą grzech by było odpuścić.

Nordeshenko wyobraził sobie, jak miażdży temu bufonowi tchawicę. Wystarczyłby jeden błyskawiczny cios wyprostowaną dłonią. Korciło go, żeby przebić, kartę miał dobrą, ale postanowił pójść w ślady blondynki i sprawdził.

— Co za miła, spokojna noc — zakrakał Kowboj, odchylając się z krzesłem do tyłu.

Krupier odsłonił trzy karty: szóstka, as i dziewiątka. To dawało Nordeshence asy. Z taką kartą warto zaryzykować. Dorzucił trzy tysiące dolarów.

Julie wahała się, postukując lakierowanymi paznokciami w stół.

— A, co mi tam, u diabła. — Uśmiechnęła się w końcu. — Przecież to tylko czynsz, no nie?

— Tak, ale czynsze trochę ostatnio podskoczyły, kochana — zauważył Kowboj, przesuwając na środek stołu kolejnych pięć tysięcy w żetonach.

Nordeshenko spojrzął facetowi w oczy. Ten dupek stanowczo działał mu na nerwy. Co on tam może mieć?

— A ty co na to, Iwan? — Kowboj bawił się swoimi żetonami. — Jedziesz z nami dalej, czy wysiadasz z tego pociągu?

— Może jeszcze jedną stację. — Nordeshenko wzruszył ramionami, spoglądając na Julie.

— No to raz kozie śmierć — orzekła, wykładając karty i dopłacając do puli.

Cztery piki. Nordeshenko dobrze ją wyczuł. Liczyła na kolor. On nadal miał kartę jak żyleta, a Kowboj pewnie bluffował.

Krupier odkrył damę karo. Nordeshenko nie mrugnęła nawet powieką. Teraz miał asy i damy.

Julie się skrzywiła. Nie wyszedł jej kolor.

Kowboj zarechotał głośno.

— No to podrzućmy jeszcze trochę koksu pod kocioł i zobaczymy, co przyniesie rzeka.

Przesunął na środek stołu resztę żetonów — jakie mu zostały — dziesięć tysięcy dolarów.

Wśród kibicujących rozgrywce rozszedł się pomruk. Nie ulegało wątpliwości, że to będzie ostatnie odkrycie. Zwycięzca zgarnie całą pulę — trzydzieści tysięcy dolarów.

Kowboj spojrział na Nordeshenkę. Już się nie uśmiechał.

— No jak, Iwan, wchodzisz?

— Mirosław — mruknął Nordeshenko.

— Że co? — Kowboj zdjął okulary.

— Mam na imię Mirosław — powiedział Nordeshenko, dokładając do puli.

Krupier odsłonił ostatnią kartę. Dwójka kier.

Julie jęknęła.

Nordeshenko nie miał wątpliwości, że jego asy i damy przyniosą mu zwycięstwo. Nie przychodziło mu do głowy, jaką lepszą kartę mógłby mieć ten dupek Kowboj. Odliczył dwadzieścia studolarowych banknotów i rzucił je na stół obok kupki żetonów.

O dziwo, Kowboj skontrował pięcioma tysiącami. Nordeshenkę zamurowało.

— No i co ty na to, Iwan? — Kowboj odchylił się z krzesłem, cmokając nieprzyjemnie.

Nordeshenko sięgnął do kieszeni marynarki, odliczył pięć tysięcy w studolarowych banknotach i położył je pośrodku stołu.

— Asy na damach — powiedział, odkrywając swoje karty.

— Oooo. — Kowboj zamrugał, udając zaskoczenie.

Ale zaraz uśmiechnął się szeroko.

— Teraz trochę zaboli, Iwan.

Odkrył swoje karty. Jeszcze dwie dwójki. Ostatnia karta odkryta przez krupiera dawała mu w sumie trzy. Nordeshenko zdębiał. Ten baran przez cały czas licytował, mając na ręku tylko parę dwójek.

Kowboj zerwał się z krzesła i zaryczał jak osioł. Nordeshenko najchętniej starłby mu z gęby ten kretyński uśmiech. Stłumił jednak szybko ów irracjonalny odruch.

Nie dzisiaj. Rano ma zadanie do wykonania. Ważne zadanie. To, co tu teraz przegrał, to tylko mała częśćka honorarium.

— Wiesz, jak to jest, Iwan — powiedział Kowboj, zgarniając wygraną. — Czasami lepiej mieć szczęście, niż być dobrym. Bez urazy — dodał, wyciągając rękę.

Nordeshenko wstał i uścisnął ją. Ten imbecyl co do jednego się nie mylił: dzisiaj miał szczęście. Nie zdawał sobie nawet sprawy jakie.

Izraelczyk pozwolił mu żyć.

Rozdział 7

Było już po ósmej wieczorem, kiedy dotarłem wreszcie do Casa Pellisante.

Od dwunastu lat wynajmowałem to samo mieszkanie u zbiegu Czterdziestej Dziewiątej ulicy i siódmej Alei, czyli w części Manhattanu zwanej Piekiełkiem. Z okna mojego gabinetu miałem widok na Empire State Building, a po pracy mogłem wyjść z koktajlem na dach i podziwiać stamtąd czerwone zachody słońca nad New Jersey. W weekendy, wychodząc z budynku frontowymi drzwiami, natykałem się a to na obchody święta świętego Ignacego, a to na paradę Indii Zachodnich, mogłem też wpaść na piwo do irlandzkiego baru.

Miałem tutaj również Ellen Jaffe.

Ellen była wybijającym się anesteziologiem w Szpitalu Świętego Wincentego, miała falujące kasztanowe włosy, mały kształtny nosek i długie smukłe nogi biegaczki, na które aż miło było popatrzeć. Poznaliśmy się na przyjęciu wydanym przez mojego przyjaciela i już od dwóch lat byliśmy ze sobą.

Ellen była ładna, piekielnie inteligentna i tak samo oddana swojej pracy jak ja mojej. Z tym był problem. Ja pracowałem od rana do wieczora — a ostatnio, przygotowując się do procesu, nawet nocami. Ona uczęszczała na studia doktoranckie w Cornell Medical, a w nocy miała dyżury w szpitalu. Kiedyś zwykliśmy spędzać ze sobą w łóżku całe weekendy. Teraz

ledwie znajdowaliśmy czas, żeby побыć czasem wieczorem w jednym pokoju i pooglądać telewizję.

Stwierdziła niedawno, że mam obsesję na punkcie Cavella i chyba miała rację. Odparowałem, że ona ma pewnie romans z doktorem Diprovanem — diprovan to ostatnio najlepszy środek dla tych, którzy ze zmęczenia lecą z nóg.

Tak czy owak, dobijało mnie, że tak szybko coś się między nami psuje. Ale o to, żeby to coś się nie psuło, albo się walczy, albo nie, a żadnemu z nas o nic już nie chciało się walczyć.

Po drodze do domu wstąpiłem do Pietro's odebrać zamówione wcześniej, najlepsze w Nowym Jorku amatriciana — Ellen za nimi przepadała. W poniedziałkowe wieczory nie pracowała. Przyjęcie to za wielkie słowo, ale miał to być pierwszy co najmniej od tygodnia wieczór, który spędzimy razem we w miarę intymnej atmosferze.

Do tego bukiet słoneczników kupiony w koreańskim sklepiku przy tej samej ulicy. Wychodząc rano, zostawiłem Ellen karteczkę z wystukaną na maszynie prośbą, żeby nakryła do stołu.

Przekręciłem klucz w zamku, wszedłem i owszem, zobaczyłem w alkwowie jadalnej stół nakryty, ale tylko dla jednej osoby.

— *Buona sera, signorita.*

— Nick? — zawołała Ellen z sypialni.

Wyszła stamtąd w granatowej wiatrówce i butach do biegania, wiążąc w kok długie brązowe włosy. Nie tego się spodziewałem.

— Przepraszam, Nicky. Miałam ci zostawić wiadomość. Dzwonił przed chwilą Benson. Straszny mają dzisiaj młyn w szpitalu. Jestem im na gwałt potrzebna.

— Znowu diprovan. — Pociągnąłem nosem, starając się ukryć swoje rozczarowanie. Położyłem paczkę z *amatriciana* i kwiaty na kuchennym blacie. Popeye, kot Ellen, otarł mi się o nogę. — Cześć, Pops.

Nic na to nie poradzę, Nick. — Ellen spojrzała na kwiaty. Uśmiechnęła się, kojarząc je prawidłowo z łąką

w dystrykcie Chianti pod Sieną i z miłosną żądzą, której dwa lata temu nie potrafiliśmy się tam oprzeć.

— Jezu, wylali cię z pracy, czy co?

— Trochę chyba przeholowałem.

— Nie. — Pokręciła głową i westchnęła, tak jakby chciała powiedzieć: „Ostatnio nic nam nie wychodzi”. — Nie przeholowałaś. Przepraszam, Nicky. Czekają na mnie. Nie mam nawet czasu włożyć ich do wazonu.

— Sam to zrobię. — Wzruszyłem ramionami. — Właściwie to kupiłem je dla siebie.

Ellen miała na nosie te czerwone okulary, które ni z tego, ni z owego wydały mi się cholernie seksowne. Drobne piersi wypychały jej obcisły sweterek. Poczulem, jak wzbiera we mnie podniecenie. Też coś. Może to po prostu organizm odreagowuje stres, w jakim pracowałem nad sprawą. Albo instynktowne odczucie, że muszę coś zrobić... dla nas. Trudno powiedzieć. Położyłem dłoń na ramieniu Ellen, która wrzucała do torebki jakieś drobiazgi. Zesztywniała.

— Nick, nie mogę. Jestem już spóźniona. Muszę lecieć. Aha, byłabym zapomniała. Jak dzisiaj poszło?

— Nieźle. — Kiwnąłem głową. — Mamy całkiem przyzwoitą ławę przysięgłych. Wszyscy gotowi. Byle tylko Cavello ze swoimi prawnikami nie wykręcił w ostatniej chwili jakiegoś numeru.

— Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, Nick, przestań się więc zadreć. Manny byłby z ciebie dumny. — Cmoknęła mnie lekko w policzek. Nie o to konkretnie mi chodziło, ale się uśmiechnąłem.

— Pozdrów ode mnie Diprovana.

— Nick... — Ellen pokręciła głową. Nie uznała tego za śmieszne. W progu zatrzymała się i obejrzała. — Przepraszam za tę kolację. To był sympatyczny pomysł. — Spojrzała na leżące na blacie słoneczniki. — Romantyk z ciebie.

Rozdział 8

Przez jakiś czas stałem po prostu wpatrzony bezmyślnie w drzwi. Popeye, mój nowy kandydat do towarzystwa przy kolacyjnym stole, mruzczał, ocierając mi się o nogę.

Jak, nie przymierzając, odtrącony małolat z ogólniaka, karmiłem się nadzieją, że Ellen jeszcze się namyśli i wróci. Naszło mnie nagle odczucie, że od tego właśnie zależy przyszłość naszego związku.

Niestety. Na klatce schodowej panowała cisza. Nikt nie wsuwał klucza do zamka. Miałem trzydzieści osiem lat, sześcioletniej sekcji do walki z przestępczością zorganizowaną, byłem w FBI kimś, a tu proszę, wygrzebuję z pudełka makaron, porcja dla dwóch osób — obcy we własnym domu.

Od tej ciszy zaczęło mi raptem dzwonić w uszach.

Wszedłem do sypialni, ściągnąłem krawat, zdjąłem marynarkę, potem sprawdziłem w gabinecie, czy nie przyszedł jakiś faks. Pod długą ścianą z nieotynkowanej cegły stały półki na książki. Większość z nich pamiętała moje szkolne dni, kilka podręczników medycznych należało do Ellen. Biurko zawałone było stenogramami z przesłuchań Cavella. Na ścianie wisiał wielki, czarno-pomarańczowy, oprawiony w ramki transparent:

MISTRZOSTWA IVY LEAGUE W FUTBOLU PRINCEN-
TON 1989

Nie przeszedł mi jeszcze sentyment do tamtych czasów.

Powlokłem się z makaronem i napoczętą butelką wina do living roomu i usiadłem, opierając nogi na starym kufrze służącym jako stolik. Sięgnąłem po książkę, którą od jakiegoś czasu czytałem — *Moje życie Clintona* — i otworzyłem ją na stronie, na której ostatnio przerwałem lekturę: rozmowy w Camp David na temat pokoju na Bliskim Wschodzie. Może by tak włączyć telewizor. Dzisiaj grają Knicksi. Po kilku minutach podniosłem wzrok, nie przeczytawszy nawet jednego zdania.

Czy ją kocham? Czy coś z tego będzie? Ellen była wspaniała, ale w tej chwili nasze drogi zwyczajnie się rozchodziły. A ta rozprawa jeszcze pogorszy sytuację.

Chce ci się walczyć o to coś, Nicky?

Zgarnąłem z podłogi Popeye'a.

— Cos mi się widzi, stary, że me zawadziłby ci łycełek świeżego powietrza.

Wziąłem z kąta swój stary saksofon altowy, który pamiętał jeszcze czasy college'u, i z Popeye'em w rękę wyszedłem na dach. Tam najlepiej mi się myślało.

Była chłodna, bezchmurna noc. Nad Manhattanem świeciły gwiazdy. Empire State Building był podświetlony na czerwono, biało i niebiesko. Skąpane w światłach New Jersey po drugiej stronie rzeki wyglądało jak Paryż. Usiadłem z mruczącym kotem Ellen na kolanach. Od najważniejszego w moim życiu procesu dzieliło mnie zaledwie kilka dni. Zagrałem.

Solo Clarence'a Clemonsa z *Jungleland* Springsteena. Niedolna wariacja na temat *Blue Train* Coltrane'a. Doszedłem do wniosku, że w moim życiu ziele dziura, i obojętne, na jak długo uda mi się zapuszkować Cavella, ta dziura się nie zasklepi.

Albo o coś walczysz, albo nie, Nick. Do tej pory walczyłeś o wszystko. Dlaczego więc nie masz ochoty walczyć o Ellen Jaffe?

Rozdział 9

W poniedziałek rano zająłem miejsce na sali rozpraw. Tętno mi waliło. Jak zawsze zresztą w pierwszy dzień procesu, a ten był nie byle jaki.

W dwóch pierwszych rzędach zasiedli prawnicy obu stron. Rola głównego oskarżyciela z ramienia rządu przypadła Joelowi Goldenbergerowi. Był młodszy, niż wyglądał, miał ze trzydzieści trzy lata. Wysoki, pewny siebie, jasna czupryna, ujmujący uśmiech. Ale z natury był twardym, nieustępliwym wojownikiem. Wszyscy widzieli w nim wschodzącą gwiazdę Departamentu Sprawiedliwości. Wygrał już trzy szeroko nagłośnione procesy w sprawie przekrętów na Wall Street.

Po drugiej stronie, przeglądając notatki, siedział Hy Kaskel. Fretka mierzył sobie co najwyżej metr sześćdziesiąt w kapeluszu i miał krótkie ręce boksera, ale zasługiwał w pełni na swoją ksywkę, jeśli chodzi o talent do dyskredytowania świadków. Dzisiaj był w granatowym garniturze w prążki i klubowym krawacie w paski, z mankietów koszuli sterczały wymyślne złote spinki.

W pierwszym rzędzie galerii wypatrzyłem rodzinę Cavella. Pulchną kobietę o dobroduszej aparycji w prostym, ale gustownym kostiumie, i dorosłą już córkę, długowłosą blondynkę, siedzącą obok matki. Z takimi środkami bezpieczeństwa, jakie zastosowano tu dzisiaj, jeszcze się nie spotkałem. Cholera,

za połowę tego zamieszania sam byłem chyba odpowiedzialny. Zaglądano do każdej torby i torebki, każdy przysięgły przechodził podwójną kontrolę, od każdego akredytowanego dziennikarza żądano okazania dokumentu ze zdjęciem. Przy zaporach, którymi poprzegradzano cały Folley Square, czuwali uzbrojeni po zęby policjanci.

Cavella doprowadzono podziemnym przejściem z odległego o dwie przecznice manhattańskiego więzienia okręgowego, gdzie był przetrzymywany w osobnym, ściśle strzeżonym skrzydle, i wwieziono windą na siódme piętro pod eskortą strażników więziennych.

Szkoda, że nie udało się doprowadzić do odizolowania ławy przysięgłych. To był przecież największy od lat proces w sprawie przestępczości zorganizowanej. Ale sędzina chciała sobie wyrobić nazwisko. Miriam Seiderman ostrzyła sobie zęby na stanowy sąd najwyższy. Prawnicy oskarżonego, nawet on sam, obiecywali jej poparcie. Chciała prowadzić proces w blasku reflektorów.

Otworzyły się wreszcie drzwi w końcu sali i widownia rozbrzmiała szmerem podnieconych szeptów.

Dwóch barczystych szeryfów wprowadziło oskarżonego. Cavello miał ręce skute z przodu kajdankami. Był w marynarce w brązową kratę i w nijakim oliwkowym krawacie, siwiejące włosy miał starannie przystrzyżone i ułożone. Nie wyglądał na bestię, czego wszyscy się spodziewali. Już bardziej na zwyczajnego, szarego obywatela, którego można spotkać każdego dnia w metrze.

Cavello rozejrzał się i pokiwał głową, jakby na znak, że pełna sala zrobiła na nim wrażenie. Szeryfowie podprowadzili go do krzesła obok jego adwokata. Zdjęli mu kajdanki. Kaskel nachylił się i szepnął swojemu klientowi na ucho coś, co spowodowało go do uśmiechu. Na moment spotkały się nasze spojrzenia. Oczy Cavella zabłyśły. Uśmiechnął się ponownie, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Ach, i ty tutaj, Nicky. Naprawdę ci się wydaje, że mnie pokonasz?”

Sharon Ann Moran, asystentka sędziny, podniosła się z miejsca.

— Proszę wstać, sąd idzie.

Bocznymi drzwiami weszła na salę sędzina Seiderman, drobna, atrakcyjna kobieta o siwiejących włosach i miłej twarzy, w gustownej krótkiej spódnicy pod sędziowską togą. Dla niej też miała to być najważniejsza z dotychczasowych rozprawa. Zajęła miejsce za stołem i dała obecnym znak, że mogą usiąść.

— Panie Goldenberger, czy strona rządowa gotowa?

— Tak, Wysoki Sądzie. — Oskarżyciel wstał i skinął głową.

— Panie Kaskel?

— Tak, Wysoki Sądzie. Obrona również jest gotowa i pragnie dowieść niewinności oskarżonego. — Fretka wygiął brwi w łuk. Przypominał mi teraz boksera rwącego się do walki.

— A więc, pani Moran... — sędzina dała znak głową swojej asystentce —...może pani wprowadzić przysięgłych.

Rozdział 10

Tego poranka, najważniejszego z poranków, Andie DeGrasse spóźniła się piętnaście minut. Jak mogło do tego dojść? Po kolei...

Najpierw Jarrod nie mógł znaleźć swojego podręcznika do matematyki. Potem, z powodu awarii sygnalizacji, na kilka minut stanęło metro. Kiedy dotarła wreszcie na stację City Hall, dwie przecznice od budynku sądu, okazało się, że z przyczyny tego przekłętego procesu ulica jest zamknięta dla ruchu.

Cały kwadrans zajęło jej przedostanie się przez punkty kontrolne. Tęga strażniczka w granatowej bluzie przeszukiwała jej torebkę z taką skrupulatnością, jakby podejrzewała Andie o przynależność do Al-Kaidy. Telefon komórkowy oglądali tak, jakby to była broń masowej zagłady. W końcu Andie powiedziała:

— Wiecie o tym procesie mafii na siódmym piętrze, prawda? — Strażnik kiwnął głową. — No to on się beze mnie nie rozpocznie.

Kiedy wpadła do salki dla przysięgłych, wszyscy siedzieli już stremowani i spięci wokół wielkiego konferencyjnego stołu.

— Przepraszam. — Andie odetchnęła głośno, rozpoznając kilka znajomych twarzy. — Lepiej nie mówić, jak trudno się tutaj przedrzeć.

— Pani DeGrasse — powiedziała Sharon Ann odczytująca właśnie listę obecności — dziękujemy, że raczyła pani znaleźć dla nas czas w swoim napiętym rozkładzie dnia.

I już podpadła. Andie usiadła speszona. Znowu, jak podczas wyboru składu ławy przysięgłych, przypadło jej miejsce obok Latynoski imieniem Rosella.

Sharon spojrzała surowo na listę.

— Czyli brakuje jeszcze tylko pana O'Flynna.

Kilku mężczyzn czytało gazety albo rozwiązywało krzyżówki. Dwie kobiety przyniosły ze sobą książki. Na stole stały bagietki, bułki maślane i kawa, poczęstunek od sędziny.

— Czym chata bogata. — Rosella podsunęła Andie tacę.

— Dzięki. — Andie uśmiechnęła się, zadowolona, że nie ściąga już na siebie powszechnej uwagi. Wzięła bułkę przez papierową serwetkę. — Widzę, że nie jestem ostatnia.

Kilka osób zachichotało. Poszukała choć cienia uśmiechu na twarzy Sharon Ann. Urzędniczka była tego ranka napięta jak bęben.

Drzwi otworzyły się z impetem i do salki wpadł zziębnięty, spocony John O'Flynn.

— Jezu, ludzie, tam jest jak w dżungli, jak w zoo. Cały kwartał wyłączony z ruchu, i to w godzinach szczytu. Nie do wiary...

— Panie O'Flynn — wpadła mu ciepko w słowo Sharon Ann — myślałam już, że będę musiała kogoś po pana posłać. Jutro punktualnie o dziewiątej trzydzieści, panie O'Flynn. — Postukała ołówkiem w stół.

— Tak jest, proszę pani. — O'Flynn zasalutował i opadł na krzesło obok Andie.

Jutro o dziewiątej trzydzieści? — jęknął Hector, monter telewizji kablowej. — To ile ten proces potrwa?

Osiem tygodni, panie Ramirez — odparła Sharon Ann. — Ma pan coś lepszego do roboty przez najbliższe dwa miesiące?

Owszem, pracę, z której żyję — mruknął ponuro Hector. Sharon Ann podeszła do drzwi.

— Zobaczę, jak się tam sprawy mają. Przypominam państwu, że zgodnie z instrukcją sędziny nie wolno wam rozmawiać z nikim o sprawie.

— Pamiętamy. — Wszyscy pokiwali głowami, ale drzwi zamknęły się już za Sharon Ann.

— Czytałem o tym Cavellu — odezwał się Winston, mechanik w ubraniu roboczym, rozglądając się po twarzach obecnych. — Okazuje się, że to niezłe ziółko.

— Morderstwo, wymuszenie, przewożenie rozkawałkowanych zwłok w bagażniku samochodu — zawtórował mu autor powieści kryminalnych.

Rosella odłożyła na stół kłębek wełny.

— Mój mąż się trochę boi. Powiedział: „Kurczę, Rosie, nie mogłaś się załapać na jakąś spokojną pyskówkę o odszkodowanie za potrącenie na pasach? Musiałaś trafić na tego mafiosa psychola?”.

— Stop — przerwała jej Andie. — Słyszałaś, co powiedziała sędzina. Nie wiemy jeszcze, czy on jest psychiczny, czy nie. Orzekniemy o tym dopiero po wysłuchaniu dowodów.

Kilka osób roześmiało się.

— Ważniejsze jest to — Andie powiodła wzrokiem po twarzach osób siedzących przy stole — że ci mafiosi znają nazwiska i adresy nas wszystkich.

Kilkoro przysięgłych pokiwało z z troskaniem głowami.

Otworzyły się drzwi prowadzące na salę rozpraw. Zapadło milczenie, Andie odniosła wrażenie, że wszyscy ostrzegają ją wzrokiem. Obejrzała się.

Stojąca w progu Sharon Ann patrzyła na nią spod przy-mrużonych powiek.

— Do mojego biura — powiedziała. Jej „biuro” mieściło się w jednej z dwóch łazienek, tej, którą poprzedniego dnia przeznaczono na pomieszczenie do prywatnych rozmów.

— Słucham?

— Do mojego biura, pani DeGrasse — powtórzyła Sharon Ann tonem nieznośnym sprzeciwu.

Andie wstała powoli i przewróciwszy oczami, weszła za srogą urzędniczką do ciasnej łazienki.

— Niech się pani nie wydaje, że nie wiem, do czego pani zmierza, pani DeGrasse — wyrzuciła z siebie Sharon Ann, ledwie zamknęły się za nimi drzwi.

— Do... do czego zmierzam? — wyjąkała Andie. — Powiedziałam przecież tylko to, co i tak dobrze wiedzą.

Zauważyła to nawet jej siostra, Rita. Od razu zapytała: „Nie boisz się? Przecież wiedzą o tobie tyle, ile im trzeba, Andie. A to Dominic Cavello. Wiedzą, gdzie mieszkasz”. Nie trzeba być matką, żeby się zaniepokoić. Wystarczy być człowiekiem. Cała procedura wyboru ławy przysięgłych odbywała się przy drzwiach otwartych.

— Niech pani posłucha, Sharon Ann...

— Od samego początku chciała się pani z tego wykręcić — wpadła jej w słowo asystentka. — Nie chcę żadnego malkontenta w tej ławie przysięgłych. Dopięła pani swego — wypadła pani ze składu.

Rozdział 11

Zarumieniona, trochę zawstydzona i urażona Andie wróciła na swoje miejsce w salce dla przysięgłych. Kilka minut później otworzyły się znowu drzwi prowadzące na salę rozpraw i do salki zajrzała Sharon Ann.

— Nie jesteśmy jeszcze gotowi — powiedziała i wskazując na Andie palcem, dorzuciła: — Pani DeGrasse...

Zimny dreszcz przebiegł Andie po plecach.

— Pani pozwoli ze mną. I może pani zabrać swoje rzeczy. Andie wstała powoli, rzucając siedzącym przy stole zrezygnowane spojrzenie. Już tu nie wróci!

Wyszła za asystantką na wypełnioną po brzegi salę rozpraw, gdzie, o dziwo, panowała niczym niezmacona cisza. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Najchętniej pod ziemię by się zapadła. Oto prowadzą ją na oczach gawiedzi do biura szefowej, od której usłyszy, że nic już tu po niej — tylko dlatego, że powiedziała, co myśli...

Skreśliła za Sharon Ann w małe drzwi za stołem sędziowskim prowadzące do wąskiego korytarzyka, w którym stał strażnik. Zatrzymały się przed drzwiami w głębi.

— Wejdz — mruknęła Sharon Ann. — Czeka na ciebie.

Andie wsunęła się do dużego, pełnego książek pokoju. Sędzina Seiderman podniosła na nią wzrok zza biurka uginającego się pod stosami teczek na dokumenty.

— Ach, pani DeGrasse. — Przyglądała się Andie sponad okularów do czytania. — Od razu zauważyłam, że nie ma pani w zwyczaju zastanawiać się, co mówi.

— Że co proszę?

— Ma pani kłopoty z utrzymaniem języka za zębami, nieprawdaż? — Sędzina mierzyła ją surowym spojrzeniem. — Podczas preselekcji było to nawet zabawne, ale teraz... Rozpoczynamy ważny proces, a nie przesłuchanie do roli w teatrze. Nie mogę sobie pozwolić, żeby w składzie tej ławy przysięgłych znalazła się osoba nieodpowiedzialna.

Andie nie dała się zbić z tropu.

— Jeśli ma pani na myśli to, co tam powiedziałam, to przecież miałam prawo dać wyraz swoim wątpliwościom.

— Jakim wątpliwościom, pani DeGrasse? — warknęła sędzina.

— Podczas wybierania składu wszyscy usłyszeli, jak się nazywamy. Gdzie mieszkamy. Jaki jest nasz stan cywilny. Czy mamy dzieci. To może zaniepokoić każdego trzeźwo myślącego człowieka. Nie tylko mnie.

— A kogóż to jeszcze? — Sędzina uniosła pytająco brwi.

— Czy ja wiem? Choćby moją siostrę i moją mamę, kiedy im powiedziałam, że biorę udział w tym procesie. Pani się temu dziwi?

— Wybór sposobu, w jaki prowadzony będzie ten proces, należy do sądu, pani DeGrasse. Jeśli uznamy, że ławie przysięgłych cokolwiek zagraża, to zapewniam panią, że zareagujemy natychmiast. — Miriam Seiderman odchyliła się na oparcie fotela. Przyniosła sobie urzędowy formularz, sięgnęła po wieczne pióro. — Od początku próbowała pani uniknąć powołania w skład tej ławy przysięgłych, prawda?

— Czyja wiem? Może tydzień temu, ale...

— Ale co? Zamierzam właśnie pójść pani na rękę.

Andie serce żywiej zabiło. Jeszcze w zeszłym tygodniu za takie oświadczenie ucałowałaby sędzinę w oba policzki.

Ale przez weekend zmieniła zdanie. Zaczęła upatrywać w

tym okazji do zrobienia czegoś pożytecznego, czegoś dobrego. Do tej pory niewiele udzielała się społecznie. Dla niej istniał tylko Jarrod. W ten weekend to do niej dotarło i poczuła wyrzuty sumienia.

— Fakt. Ma pani rację — powiedziała. — Ale tak czy inaczej, przyszedłam tu dzisiaj z wolą wywiązania się ze swojego obywatelskiego obowiązku.

Sędzina przerwała wypełnianie formularza i obrzuciła Andie zdziwionym spojrzeniem.

— Uważa pani, że potrafi wywrzeć pozytywny wpływ na tę ławę przysięgłych, pani DeGrasse? I nie będzie przysparzała problemów?

Andie kiwnęła głową.

— Tak, chyba tak, jeśli tylko pozwoli mi pani tam wrócić.

Jezu, Andie, co cię naszło? Wystarczyło trzymać gębę na Kłódkę, i już by cię tu nie było.

Sędzina odłożyła wieczne pióro i zmierzyła Andie przeciągłym, taksującym spojrzeniem.

— No dobrze, czemu nie? Przysługuje pani to prawo.

Wezwała urzędniczkę.

— Pani Moran, proszę odprowadzić przysięgłą numer jedenaście z powrotem na salę dla przysięgłych.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. — Andie się uśmiechnęła.

— Nie kryję, że jestem niepomiernie zdziwiona, jakim cudem nie wyleciała pani z ławy przysięgłych — powiedziała Sharon Ann, kiedy szły do drzwi prowadzących na salę rozpraw.

— Tak. — Andie potrzęsnęła głową z niedowierzaniem. — To znaczy, że jesteśmy już dwie.

Rozdział 12

— Rankiem, szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku — zaczął prokurator krajowy Joel Goldenberger — Samuel Greenblatt, żonaty, sześćdziesięciodwuletni przedsiębiorca budowlany, został brutalnie zamordowany przed swoim domem w Union w stanie New Jersey. — Tu prokurator wskazał na powiększoną fotografię spoczywającą na sztaludze. Przedstawiała uśmiechniętego, lekko łysiejącego mężczyznę z żoną na przyjęciu z okazji swoich sześćdziesiątych urodzin.

Przysięgli przyjrzeni się tej twarzy.

— Kiedy tego ranka Greenblatt wychodził do pracy, przed jego domem zatrzymał się samochód. Wskoczyli z niego dwaj mężczyźni w baseballówkach i ciemnych okularach, i otworzyli ogień do zmierzającej w ich kierunku ofiary. Greenblatt spojrział na napastników i spytał cicho: „Za co?”. A potem, osuwając się na ziemię, zawołał: „Frannie”. Tak ma na imię jego żona, z którą przeżył szczęśliwie trzydzieści siedem lat. Jeden z morderców stanął nad umierającym panem Greenblattem i dla pewności, z zimną krwią, strzelił mu jeszcze dwa razy w głowę. Po odjeździe bandytów ciało ojca znalazł najmłodszy syn, student Uniwersytetu Rutgers. W trakcie tego procesu przysięgli jeszcze nieraz usłyszą o Samuelu Greenblacie.

Jeden z asystentów Goldenbergera podszedł do boksu dla przysięgłych i puścił w obieg fotografie zakrwawionego trupa wykonane przez policję. Kilka kobiet skrzywiło się i pokręciło głowami.

— Owszem, nikt nie twierdzi, że Sam Greenblatt był aniołem. Pomagał przestępczej rodzinie Guarino w korumpowaniu działaczy związków zawodowych na placach kilku budów. Poprzez Local 407, kontrolowaną przez rodzinę komisję przetargową, ułatwiał rodzinie zdobywanie intratnych kontraktów. Ale władze są zdania — ciągnął oskarżyciel, zaciskając dłonie na krawędziach stołu — co znajdzie potwierdzenie w zeznaniach kilku kluczowych świadków, że egzekucję pana Greenblatta zlecił bezpośrednio właśnie oskarżony, Dominic Cavello. Że to on osobiście wybrał zabójców i sam ich potem wynagrodził — finansowo oraz awansami w hierarchii organizacji, do której wszyscy należeli. A jaki był motyw tego zabójstwa? Dlaczego pan Greenblatt musiał zostać zlikwidowany? Otóż pan Cavello i jego przyjaciele powzięli podejrzenie, że są inwigilowani przez służby specjalne — co, notabene, nie miało miejsca. I uznali, że zeznania pana Greenblatta mogą im zaszkodzić. — Oskarżyciel podszedł do boksu ławy przysięgłych i oparł się dłońmi o barierkę. — Ale zabijanie na tym się nie skończyło. Wbrew temu, co oglądamy na filmach, mafia nie zawsze dokonuje morderstw według jakiegoś określonego planu. Usłyszycie tutaj, że zabójstwo pana Greenblatta pociągnęło za sobą kolejne, konkretnie trzy, zabójstwa. Wszystkie na zlecenie pana Cavella, który dążył do zatuszowania pierwszego morderstwa. — Przerwał na moment. — Usłyszycie o manipulowaniu związkami zawodowymi i o przekrętach na budowach. O wymuszeniach. O wyłudzeniach. A przede wszystkim usłyszycie, że pan Cavello był szefem przestępczej rodziny Guarino. Szefem szefów, jeśli chodzi o ścisłość, posiłkującym się w swojej brudnej działalności kolumbijskimi oraz rosyjskimi syndykatami zbrodni. Że to człowiek, którego podstawowym celem w życiu było żerowanie na nieszczęściu i niedoli innych.

Zeznania, które tu usłyszycie, to nie wysane z palca pomówienia, co zapewne będzie usiłowała wmówić wam obrona, lecz fakty relacjonowane przez ludzi, którzy znają Cavella osobiście, którzy brali czynny udział w tych przestępstwach. Obrona będzie zapewne argumentowała, że sami zeznający nie są bez winy. Prawda. To przestępcy, oszuści, zabójcy. Typy spod ciemnej gwiazdy, panie i panowie. Obrona powie, że kłamstwo i mataczenie mają we krwi. Ale nie dajcie się zwieść! — Goldenberger powiódł wzrokiem po twarzach przysięgłych. — W historiach, które opowiedzą wam ci ludzie, usłyszycie prawdę. Przedstawiane przez nich fakty i szczegóły przekonają was, że pan Cavello był tym, który wydawał rozkazy. Usłyszycie słowa, których używał, usłyszycie, jak reagował. I w oczach prawa czyni go to winnym tych zbrodni, tak jakby sam pociągał za spusty. Mam nadzieję, panie i panowie, że ujrzycie w panu Cavellu tego, Kim w istocie jest: okrutnego, bezwzględnego mordercę.

Rozdział 13

Louis Machia, pierwszy świadek oskarżenia, zajął miejsce dla świadków i został zaprzysiężony. Machia był lojalnym żołnierzem przestępczej rodziny Cavello. Wysoki, barczysty, gęste czarne włosy, szary gon.

Z przymilnym uśmiechem rozejrzał się po sali, popatrzył na przysięgłych, na dziennikarzy. Ale ani na chwilę nie zbłądził wzrokiem w okolice krzesła zajmowanego przez Cavella.

— Dzień dobry, panie Machia — pozdrowił go prokurator krajowy Joel Goldenberger.

— Dzień dobry, panie Goldenberger.

— Może pan nam zdradzić swój aktualny adres, panie Machia? — spytał oskarżyciel.

— Aktualnie zamieszkuję w więzieniu federalnym. Niestety, nie mogę zdradzić w którym.

— W więzieniu federalnym? — Oskarżyciel pokiwał głową. — A więc został pan skazany, bo popełnił jakieś przestępstwo?

— Niejedno. Na mocy ugody pięćset dziewięć przyznałem się do wszystkich.

— Może nam pan powiedzieć, na czym polegały te przestępstwa? Jakie zarzuty panu przedstawiono?

— Mam wymieniać wszystkie? — Gangster zachichotał. — To by potrwało.

Kilka osób na sali parsknęło śmiechem. Nawet sędzina Seiderman zakryła twarz dłońmi, żeby ukryć uśmiech.

— To może zaczniemy od tych najważniejszych, panie Machia? — Joel Goldenberger też się uśmiechnął. — Z górnej półki, że się tak wyrażę.

— Z górnej półki, z górnej półki... — Machia wydał usta. — No... morderstwo. A właściwie dwa. Usiłowanie morderstwa, napad z bronią w rękę, włamanie z wtargnięciem, wyłudzenie, handel narkotykami, kradzieże samochodów...

— Wystarczy, panie Machia. Ma pan rację, to by potrwało. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że łamał pan prawo od dłuższego czasu?

— Nie zaprzeczę, od kiedy nauczyłem się posługiwać widelcem. — Louis Machia pokiwał refleksyjnie głową.

— I wszystkie te przestępstwa — podjął oskarżyciel — planował pan i dokonywał ich na własną rękę?

— Tak też bywało, panie Goldenberger. Ale przeważnie działałem na polecenie.

— Na polecenie?

— No... na rozkaz, panie Goldenberger. — Gangster przepłukał usta łykiem wody. — Rozkaz wydany przez rodzinę.

— Przez rodzinę. — Goldenberger podszedł do świadka. — Czy nie pomyłę się, jeśli powiem, że od dobrych dwudziestu lat jest pan członkiem rodziny parającej się przestępczością zorganizowaną?

— Nie pomyli się pan, panie Goldenberger. Byłem żołnierzem. W rodzinie Guarino.

— Przestępcza rodzina Guarino. Wysoki Sądzie, za pozwoleniem, chciałbym zaprezentować ławie przysięgłych pewną galerię.

Jeden z oskarżycieli pomocniczych rozstawił przed boksem dla przysięgłych sztalugę i umieścił na niej korkową płytę z przypiętymi fotografiami. Było ich około pięćdziesięciu, każda przedstawiała inną twarz, a wszystkie układały się w przypominające piramidę drzewo rodziny. Na samym spodzie

„żołnierze”; poziom wyżej „kapitanowie”; a jeszcze wyżej dowódcy. Na samym szczycie widniało zdjęcie Cavella podpisane „Szef.

— To aktualna hierarchia przestępczej rodziny Guarino. Nieprawdaż, panie Machia?

Świadek kiwnął głową.

— Tak. Z okresu, kiedy byłem sądzony.

— A tu, po lewej, wśród żołnierzy, to pan?

Machia uśmiechnął się skromnie.

— To stare zdjęcie. Nie najlepiej na nim wyszedłem. Ale tak, to ja.

— Przepraszam, panie Machia, może pan być pewny, że je uaktualnimy przed następną prezentacją. Ale teraz chciałbym się dowiedzieć, czy od początku był pan żołnierzem tej rodziny, panie Machia, czy też musiał się pan czymś zasłużyć, żeby na niego awansować?

— Każdy musi się czymś wykazać, żeby awansować. Do rodziny wprowadził mnie mój wuj Richie. Zaczynałem od drobnych robótek. Zbieranie pieniędzy, kradzież samochodów. WzW.

— WzW to włamanie z wtargnięciem?

— Tak, zgadza się, panie Goldenberger. Czasem dało się temu i owemu po łbie, tak że gwiazdy zobaczył.

Na sali znowu rozległy się chichoty.

— A potem pan awansował — naciskał Goldenberger. — To znaczy przestał się pan zajmować taką dziecinadą, jak okładanie ludzi po głowach, i wziął się za poważniejsze przestępstwa, do których się pan przyznał. Morderstwo, usiłowanie morderstwa, handel narkotykami...

— Tak, awansowałem. — Machia kiwnął głową. — Nigdzie indziej mi się to jakoś nie udawało — dorzucił z krzywym uśmiechem.

— Proszę się ograniczać do odpowiedzi na pytania oskarżenia, panie Machia — upomniała go sędzina, pochylając się nad stołem.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. — Oskarżyciel zajrzał do notatek. — Wróćmy do okoliczności, w których pan awansował, panie Machia. Ze współpracownika na żołnierza. O ile się nie mylę, nazywa się to „pasowaniem”, dobrze mówię?

— Chodzi panu o ceremonię? Odbyła się u Melucchiego przy Flatbush Avenue. Na zapleczu. Mają tam taką prywatną salkę. Nie wiedziałem, o co chodzi. Poprosili mnie, żebym podwiózł jednego z kapitanów. Frankiego Znaczką. Nazywaliśmy go tak, bo Frankiech było dwóch, a ten brał udział w napadzie na pocztę. Myślałem, że to jakieś zwyczajne spotkanie. Byli tam wszyscy kapitanowie. Pan Cavello też.

— Mówiąc pan Cavello, ma pan na myśli Dominica Cavella? Oskarżonego? Był tam? Na tym spotkaniu?

— Był, a jakże. Przecież to Szef.

— Jeszcze do tego wrócimy — mruknął oskarżyciel i zaczął czekać, aż ścichnie echo słowa „szef, które przed chwilą padło. — Bardziej interesuje mnie, skąd to wyróżnienie.

— Zaraz tam wyróżnienie. — Machia wzniesł ramionami. — Nie pierwszy raz robiłem u Frankiego Znaczką za szofera.

Tym razem śmiechem gruchnęła już cała sala rozpraw.

— Pytam, czego takiego pan dokonał, żeby zasłużyć sobie na awans, panie Machia? — Oskarżyciel podniósł głos, przekrzykując rozbawioną publiczność.

— A, o to chodzi. — Machia rozparł się na krześle i sięgnął po szklanke z wodą. Pociągnął długi łyk. — Rozwaliłem Sama Greenblatta przed jego domem.

Rozdział 14

Na sali rozpraw zaległa cisza. Powiało grozą. Andie De-Grasse nie wierzyła własnym uszom.

Ten człowiek jeszcze przed chwilą żartował, można by rzec, normalny facet. I nagle przyznaje, ot tak sobie, że pozbawił kogoś życia. Nie mieściło jej się w głowie, jak można tak beznamytnie mówić, że się kogoś zabiło. Nie do uwierzenia!

— Przyznaje pan, że zabił pana Greenblatta przed jego domem? — spytał Joel Goldenberger wstrząśnięty tak samo jak wszyscy.

— Już dawno się do tego przyznałem, panie Goldenberger. Policji i FBI. Nie byłem z tego dumny, ale tak to już jest w tej branży.

Oskarżyciel odstał od miejsca dla świadków i czekał, aż do obecnych na sali dotrze w pełni znaczenie zeznania Machii. Andie przypomniała sobie fotografie z miejsca zbrodni, te krwawe sceny.

— Może pan opowiedzieć ławie przysięgłych, jak to się odbyło?

— Mogę. — Świadek wziął głęboki oddech. — Podlegałem bezpośrednio Ralphiemu De.

— Ralphie De — wpadł mu w słowo oskarżyciel — to, jak mniemam, Ralph Denunziatta, tak? — Wskazał na zdjęcie zazywnego mężczyzny o nalanej twarzy umieszczone w wyż-

szych partiach drzewa rodziny. — Porucznik w przestępczej rodzinie Guarino?

— Tak, on. — Machia kiwnął głową. — Nazywaliśmy go Ralphie De, bo...

— Wiemy, wiemy, panie Machia. Bo był jeszcze jeden Ralphie.

— Ralphie Ef.

— Ralphie Fraoli? — Oskarżyciel wskazał palcem na zdjęcie po drugiej stronie tablicy.

Machia podrapał się po głowie.

— Prawdę mówiąc, panie Goldenberger, to do tej pory nie wiem, jak Ralphie Ef ma na nazwisko.

Sala znowu zaniósła się śmiechem. Niezła byłaby to komedia, gdyby w grę nie wchodziły realne morderstwa.

— A więc skontaktował się z panem pański szef, Ralph Denunziatta?

— Tak. I powiedział, że rodzina musi to zrobić. Dla Szefa.

— A pod eufemizmem „zrobić to” rozumiał mokrą robotę, eliminację? Krótko mówiąc, znaczyło to, że musi pan kogoś zabić?

— To się rozumiało samo przez się, panie Goldenberger.

— A tym Szefem... — oskarżyciel odwrócił się znowu do świadka —...był nie kto inny, tylko...?

— Dominic Cavello. — Machia wskazał palcem oskarżonego. — Powiedzieli mi, że trzeba mu wyświadczyć tę przysługę. Że jeden gościu z New Jersey robi mu koło pióra. Gościu nie był objęty ochroną, zwyczajny obywatel.

— I co pan sobie wtedy pomyślał, panie Machia? Wiedział pan przecież, że chodzi o zabójstwo.

Pewnie, że wiedziałem, panie Goldenberger. — Machia zerknął na przysięgłych. Andie krew zakrzepła w żyłach, kiedy jego wzrok zatrzymał się na moment na niej. — Ralphie Powiedział mi, jak to sobie zaplanowali. To miała być łatwizna. poprosiłem kumpla o skrojenie samochodu.

Ten kumpel to Steven Mannarino? — spytał oskarżyciel.

Wrócił za swój stół i pokazał dużą fotografię puciołowatego, uśmiechniętego, mniej więcej osiemnastoletniego młodziana o gęstej czuprynie, w koszulce drużyny footballowej Giants.

— Tak, Steviego. — Machia kiwnął głową. — Znamy się od dzieciaka.

— Czyli pan Mannarino miał ukraść samochód?

— I jakieś tablice rejestracyjne. Uznaliśmy, że najlepiej będzie sprzątnąć gościa pod jego domem, kiedy będzie wychodził rano do pracy. Jak nazywa się taka ulica bez przelotu?

— Ślepa uliczka — odpowiedział oskarżyciel.

— O właśnie, mieszkał w takiej ślepej uliczce. Kilka naszych samochodów patrolowało okolicę. Mieli oko na gli-niarzy. W jednym siedział Tommy Łoś, czyli Tommy Mussina. Ralphie kontaktował się bezpośrednio z nim. Dwa dni wcześniej pojechaliśmy na rozpoznanie terenu, śledziliśmy cel. Tego Żydka. W progu cmoknął na pożegnanie żonę. Wyglądał nawet w porządku.

— Ale panu mimo to przez myśl nie przeszło, żeby odstąpić od wykonania zlecenia? — spytał oskarżyciel.

Machia wzruszył ramionami i pociągnął długi łyk wody z butelki.

— W tej branży nie ma miejsca na swoje widzimisię, panie Goldenberger. Napatrzyłem się już, jak się rozprawiają z facetami, którzy nie wykonali zadania. Nie chciałem być następny. Poza tym...

— Co poza tym, panie Machia? — ponaglił go oskarżyciel.

— To miała być przysługa dla Szefa, panie Goldenberger. Takich zleceń się nie zawala.

— A skąd pan to wiedział?

— Ralphie powiedział, że to na zlecenie Elektryka.

— A Elektryk to kto, panie Machia?

— Sprzeciw! — Obrońca Dominica Cavella zerwał się z miejsca, ściągając groźnie brwi. Andie zerknęła na O'Flynna; przysięgli zdążyli już przezwać tego prawnika „Brewką”.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie — mruknął oskarżyciel. — A ten Elektryk to według pana kto, panie Machia?

— Dominic Cavello. Elektryk to jego ksywka. Ralphie podlegał Tommy'emu, a Tommy Szefowi.

Oskarżyciel pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem.

— Czyli wiedział pan, że to robota na zlecenie Szefa, to znaczy pana Cavella, bo Ralphie De panu powiedział?

— To, i nie tylko. — Machia wzruszył ramionami.

— A co jeszcze, panie Machia? — Oskarżyciel, podnosząc głos, odwrócił się twarzą do sali.

Louis Machia poprawił się na krześle. Cavello po raz pierwszy podniósł oczy na świadka. Machia pociągnął dwa sążniste łyki wody i odstawił butelkę.

— W jednym z tych samochodów, o których mówiłem, panie Goldenberger, tych, co krążyły po okolicy, siedział Dominic Cavello.

Rozdział 15

Ogłoszono przerwę na lunch i Andie spędziła ją na Folley Square. Dzień był chłodny, ale nawet ładny jak na listopad. Zjadła kanapkę z tuńczykiem nad korektą artykułu dla gazety osiedlowej, w której pracowała na pół etatu. Dokonała też wpisu do zeszytu, w którym zamierzała notować swoje spostrzeżenia z procesu, i podkreśliła zdanie: „Cavello tam był”!

O drugiej sala rozpraw z powrotem się wypełniła. Miejsce dla świadków zajął ponownie Louis Machia.

— Zaczniemy od momentu, w którym przerwaliśmy, panie Machia. — Oskarżyciel podszedł do stanowiska dla świadków. — Co się działo po zamordowaniu Samuela Greenblatta?

— Po zamordowaniu? — Świadek zastanowił się. — Zostałem awansowany, panie Goldenberger. Pasowany na żołnierza, jak pan to nazwał.

— Tak, ale do tego doszło kilka tygodni później — zauważył oskarżyciel. — Może nawet miesiąc.

— Dwadzieścia siedem dni. — Machia uśmiechnął się. — Jeśli chodzi o ścisłość.

Z galerii dobiegły chichoty. Goldenberger też się uśmiechnął.

— To musiał być ważny dzień w pańskim życiu, panie Machia. Ale ja pytam, co się działo bezpośrednio po zamordowaniu Sama Greenblatta.

— A, o to. — Machia potrząsnął głową, tak jakby dostał

w twarz. Pociągnął kolejny łyk wody z butelki. — Pozbyliśmy się samochodu. Później mieliśmy się spotkać u Ralphiego De w Brooklynie na kolacji.

— I wszystko poszło gładko, panie Machia?

— Na tym etapie tak, panie Goldenberger. Zostawiliśmy wóz pod lotniskiem w Newark. Tablice Stevie wrzucił do bagna przy międzystanowej 1-95. Byliśmy w doskonałych nastrojach. Wszystko szło jak po maśle.

— Ale tylko się wam tak wydawało, prawda? Co popsulo wam humor?

Ciemnowłosy bandzior prychnął z rozgoryczeniem i pokręcił głową.

— Kiedy załatwiliśmy pana Greenblatta i odjeżdżaliśmy spod jego domu, ktoś, pewnie któryś z sąsiadów, musiał chyba zobaczyć nasze tablice rejestracyjne.

— Ktoś was widział? Co sprawiło, że to sobie uświadomiliście? — naciskał młody oskarżyciel.

— Tego wieczoru, koło siódmej, zapukali do mnie gliniarze. Nie było mnie w domu, ale była żona i dzieciaki. Poprosili ją, żeby im pokazała swój samochód.

— Jej samochód? — Oskarżyciel miał zdumioną minę. — Dlaczego chcieli obejrzeć samochód pańskiej żony, panie Machia? — Nie ulegało wątpliwości, że Goldenberger zna odpowiedź, a pyta tylko na użytek publiczności i przysięgłych.

— Wychodzi na to, że tablice, które zapamiętał sąsiad pana Greenblatta, kiedy stamtąd odjeżdżaliśmy, były zarejestrowane na moją żonę.

Po sali rozszedł się pomruk zaskoczenia.

— Na pańską żonę, panie Machia? Mówił pan wcześniej, że tablice na akcję miał skombinować Steven Mannarino.

— I skombinował. — Machia podrapał się po głowie. — Spod mojego domu.

Andie zerknęła na O'Flynna siedzącego w tym samym rzędzie. Oboje ściągnęli brwi, tak jakby nie byli pewni, czy dobrze usłyszeli.

Rozdział 16

Joel Goldenberger szeroko otworzył oczy.

— Przecież to podobno pana najlepszy kumpel, panie Machia. I pan mi mówi, że on na tę akcję ukradł tablice rejestracyjne pańskiej żony?

— Powiedziałem tylko, że znamy się od dzieciaka, panie Goldenberger. Jest moim najdawniejszym, a nie najlepszym kolegą, i do tego nie za bardzo kumatym.

Na sali rozległy się niedowierzające syknięcia. Andie zerknęła na sędzinę Seiderman, która znowu ukrywała uśmiech. Kiedy sala ucichła, oskarżyciel pokręcił głową.

— Proszę kontynuować, panie Machia.

— Jak żona do mnie zadzwoniła, to ja dzwonię od razu do Steviego i mówię: „Stevie, czyś ty, do kurwy nędzy, już do reszty ocipiał?”. Przepraszam, Wysoki Sądzie, za wyrażenie. A on na to, że jego mama znalazła tablice, które wcześniej podwędził, i je wyrzuciła, a on wtedy spanikował. Mieszka tylko przecnicę od nas i zna naszą posesję jak swoją. Znalazł pewnie stare tablice mojej żony w skrzyni, która stoi z boku domu, i pomyślał sobie, że nikt nigdy się nie kapnie.

Przez kilka sekund na sali panowała pełna konsternacji cisza — cisza wyrażająca kompletne niedowierzanie. Przerwał ją oskarżyciel:

— I co się stało, kiedy do pana domu wkroczyli policjanci?

— Żona powiedziała, że ktoś pewnie przeskoczył przez płot i te tablice ukradł.

— Pańska żona ma ten refleks, panie Machia.

— Tak, a jaka była wtedy wnerwiona. — Machia pokręcił głową i uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

Tym razem nie było już na sali nikogo, kto powstrzymałby się od parsknięcia śmiechem. Andie podejrzewała, że wszystkim stanęła przed oczami ta sama scenka: żona gangstera goniąca męża z patelnią. Zakryła usta dłonią i zerknęła na Cavella. On też się uśmiechał.

— I policję zadowolilo to wyjaśnienie? Że ktoś ukradł te tablice?

— Nie wiem, czy zadowolilo. Byłem notowany, nigdzie nie pracuję. Aż się prosiło, żeby uznać mnie za pierwszego podejrzanego.

— Ralphiemu De la cała sytuacja musiała się bardzo nie spodobać.

— Nie spodobać, to mało powiedziane, panie Goldenberger. Wszyscy byli wkurzeni jak diabli. Jeszcze tego wieczoru spotkałem się ze Steviem, a on mi wstawia taką gadkę: „Wiem, że dałem plamę, ale jak przez to wpadniemy, to nie pójdę na dno sam”. Dureń skończony. Już by się lepiej wcale nie odzywał. Sam wydał na siebie wyrok.

— I co pan mu odpowiedział? — spytał oskarżyciel.

— „Jezu, Stevie — mówię — nie wygaduj takich rzeczy. Jeszcze kto usłyszysz”. Ale on był cały w nerwach. Wiedział, że spieprzył sprawę. Nigdy jeszcze nie widziałem Steviego takim.

— I co pan zrobił?

— Ja? Prawda jest taka, panie Goldenberger, że dosyć miałem własnych zmartwień. Powiedziałem Ralphiemu, żeby go nie słuchał. On nie palnie żadnego głupstwa. Jest tylko wystraszony, i tyle.

Powtórzył pan Ralphiemu rozmowę ze Steviem?

— Musiałem, panie Goldenberger. Gdyby go przymknęli i zaczął śpiewać, mógłby pociągnąć za sobą nas wszystkich.

Poza tym musiałem sobie załatwić alibi. Miałem wtedy kłopoty z kolanem. Potrzebna była operacja. Zgłosiłem się do szpitala w okręgu Kings, gdzie miałem, to znaczy mieliśmy znajomego lekarza — wisiał nam trochę kasy — i powiedziałem mu, że jak mnie z miejsca weźmie na stół, to rachunek będzie miał czysty. I miał tak zachachmęcić w papierach, żeby w nich stało, że leżę w szpitalu od rana.

— Pozwoli pan, że zreasumuję, panie Machia. Kazał pan temu lekarzowi wystawić fałszywy dokument, który stwierdzał, że został pan przyjęty do szpitala rano, co wykluczałoby pana z kręgu podejrzanych o zabójstwo Samuela Greenblatta?

— Tak.

— I on się zgodził?

— A co miał zrobić, panie Goldenberger, jak mu przyłożyłem pistolet do głowy?

Andie nie wierzyła w to, co słyszy. Sala rozpraw znów gruchnęła śmiechem.

— Wróćmy do Steviego Mannarina, panie Machia, pańskiego wieloletniego przyjaciela. — Oskarżyciel zbliżył się do świadka. — Powiedział pan Ralphiemu De, że za niego ręczy. Co Ralphie na to?

— Powiedział, żebym się nie przejmował. Że porozmawia o tym z Szefem. Powiedział, że zamelinują go gdzieś na jakiś czas, dopóki sprawa nie przyschnie. Poradził mi, żebym zajął się sobą i dochodził do zdrowia. Miałem nogę w szynach. Nie zaprzeczę, bałem się trochę, że nie wyjdę już z tego szpitala o własnych siłach, no wie pan.

— I co było dalej? — Goldenberger wrócił do swojego stołu i wziął z niego fotografię Stevena Mannarina. Pokazał ją ławie przysięgłych. — Proszę powiedzieć sądowi, panie Machia, co się stało z pańskim kumplem?

— Nie wiem. — Louis Machia wzruszył ramionami. Siegnął po butelkę z wodą i przepłukał gardło. — Od tamtej pory już go nie widziałem.

Rozdział 17

Dochodziła czwarta po południu. Sędzina Seiderman rozejrzała się po sali i przerwała przesłuchanie świadka.

— Panie Goldenberger, myślę, że to dobry moment, żeby na dzisiaj już skończyć.

Przypomniała przysięgłym, że nie wolno im dyskutować o tym, co usłyszeli, ani czytać gazet. Potem przeszli wszyscy do salki dla przysięgłych. Kilkoro wybiegło od razu w pośpiechu, wykrzykując ogólne do zobaczenia.

Andie spakowała swoje rzeczy do torby i wciągnęła sweter.

— Do jutra wszystkim. Muszę odebrać dziecko. Jedzie ktoś na górny Manhattan?

Zgłosiła się kobieta imieniem Jennifer. Pobiegły razem na Chambers Street i wskoczyły do wagonu metra. Jennifer, pracowniczka firmy reklamowej z city, wysiadła na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, Andie jechała dalej. Od czterech lat mieszkała z Jarrodem w kamienicy bez windy przy Zachodniej Sto Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy, z oknami wychodzącymi na most Jerzego Waszyngtona.

Wysiadła na Sto Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy i wróciła piechotą do Sto siedemdziesiątej Ósmej Ulicy, żeby odebrać Jarroda od Sandry. Syn Sandry, Eddie, chodził z Jarrodem do tej samej czwartej klasy Szkoły Podstawowej numer 115.

— Witam, pani Prawo i Porządek — powiedziała ze śmiechem Sandra, otwierając drzwi. — Dostałaś rolę?

— Dostałam, ale wyrok. — Andie przewróciła oczami. — Osiem tygodni.

— Ożeż ty! — wyrwało się Sandrze. — Próbowałam zapędzić chłopaków do odrabiania lekcji, ale bez rezultatu. Są teraz w pokoju Edwarda i grają w Pustynną pułapkę. — Zajrzały do chłopców.

— Mamo — wychrypiął Jarrod — patrz tylko. Jesteśmy już na szóstym poziomie.

— I obawiam się, że wyżej już nie zawędrujecie. Zbieraj się.

Szli Broadwayem w stronę domu. W perspektywie mieli kolację, a Andie nie chciało się jej przyrządzać.

— Co byśmy przekąsili, proszę pana? Chipsy? Kanapki? Dostałam od rządu Stanów Zjednoczonych czterdzieści dolców na drobne wydatki.

— Dali ci czterdzieści dolarów? — Jarrod był pod wrażeniem. — Co to za proces, mamó? Jakiś ciekawy?

— Właściwie to nie wolno mi o tym mówić, ale sądzą jednego mafiosa. Słuchaliśmy, jak prawnicy maglują świadków. Zupełnie jak w tym serialu Prawo i porządek. I poznałam osobiście panią sędzinię. Rozmawiałam z nią w cztery oczy w jej gabinecie.

Byli już przed swoją kamienicą. Jarrod zatrzymał się jak wryty.

— Mamo! — krzyknął.

Ich samochód, dziesięcioletnie pomarańczowe volvo kombi, stał zaparkowany przy krawężniku. Nazywali go Ślimak, bo do najszybszych nie należał i był lekko poobijany. Trzymali go na ulicy. Miejscowi policjanci przymykali na to oko.

Ktoś strzaskał całą przednią szybę.

— O Boże! — krzyknęła Andie i podbiegła do wozu.

Cały chodnik zastany był okruchami rozbitego szkła. Kto mógł to zrobić? Od lat parkowała Ślimaka na ulicy. Znali go wszyscy mieszkańcy kwartału. Nic podobnego dotąd się nie wydarzyło. Położyła dłoń na ramieniu Jarroda.

I nagle ścisnęło ją w dołku. Przed oczyma stanął jej Cavello siedzący na sali rozpraw, taki spokojny i obojętny. Tak jakby miał to wszystko pod kontrolą. I te zeznania Louisa Machii. Zamordował na polecenie Cavella. A taka dewastacja to dla mafii dziecinna zabawa, nieprawdaż?

— Mamo, co się stało?

— Nic, Jarrod. — Przyciągnęła synka do siebie.

Ale on jej nie uwierzył, zresztą sama powiedziała to bez przekonania. Przecież znali jej adres. Czyżby to oni?

Rozdział 18

Richard Nordeshenko miał już bardzo dobry plan i siedział teraz w eleganckim bistro na górnej East Side, obserwując zza względnie bezpiecznej barykady baru atrakcyjną kobietę w średnim wieku.

Była w towarzystwie dwóch mężczyzn i jeszcze jednej kobiety, chyba dobrej koleżanki. Śmiali się, rozmawiali. Lokal pękał w szwach. Wypełniali go do ostatniego miejsca dobrze sytuowani ludzie sukcesu. Dwaj mężczyźni przy stoliku obiektu jego zainteresowania mieli na sobie nienagannie skrojone garnitury i markowe koszule ze złotymi spinkami w mankietach. Konwersacja była ożywiona, na luzie. Lało się wino. Takim to dobrze.

Nordeshenko śledził ją dzisiaj w drodze z sądu do domu. Do jej przeuroczego domu w Murray Hill. Kiedy zniknęła w środku, zatrzymał się na ulicy na wprost czerwonych drewnianych drzwi. Ochroniarzy nie zauważył. W tej okolicy mało kto takich zatrudniał. Zamek Weisera; nie będzie problemu. Wypatrzył przewody systemu alarmowego podłączone do linii telefonicznej. Z tym też nie będzie problemu.

— Panie Kaminsky. — Podeszła do niego uśmiechnięta hostessa. — Pański stolik już wolny.

Posadziła go dokładnie tam, gdzie sobie zażyczył, czyli przy stoliku sąsiadującym ze stolikiem, przy którym siedziała

śledzona przez niego kobieta. Nie przeszkadzało mu, że tak blisko. Ona go nie знаła; nigdy więcej nie zobaczy jego twarzy. Ileż to podobnych akcji już przeprowadził.

Zaczął się od tego, że ze swoją jednostką sił specjalnych — Specnaz — trafił do Czeczenii. Tam nauczył się, jak zabijać z precyzją i bez wyrzutów sumienia. Jego pierwszym realnym celem był biurokrata z Groźnego, który przywłaszczył sobie pieniądze na pensje dla pracowników urzędu. Zwyczajna swołocz. Kilku poszkodowanych zwróciło się do niego o pomoc w wyrównaniu rachunków. Zaproponowali mu takie honorarium, że nie zarobiłby tyle nawet przez pół roku nadstawiania karku w walkach z czeczeńskimi rebeliantami. Znalazł się w zabagnionym świecie. Nie miał specjalnych skrupułów. Załatwił biurokratę bombą, którą podłożył w jego motorówce.

Potem przysłała kolej na policjanta z Taszkientu, który ściągał haracze od tamtejszych prostytutek. Honorarium było królewskie. Następny na liście jego ofiar był moskiewski gangster. Prawdziwa gruba ryba; nie dało się do niego zbliżyć. Żeby dostać gościa, musiał wysadzić w powietrze całą kamienicę, ale wywiązał się ze zlecenia.

Nabrawszy doświadczenia, zaczął proponować swe usługi każdemu, kto był skłonny dobrze za nie zapłacić. Nastął czas pierestrojki, dzikiego, raczkującego kapitalizmu. A on był biznesmenem. Wstrzelił się w dziesiątkę.

Spojrzał znowu na elegancką kobietę. Szkoda. Wyglądała na taką, której dobrze się wiedzie, nawet sympatyczna twarz. Wiedział ze szczegółami, jak to się dalej potoczy. Zacznie się od czegoś niby mało znaczącego. List, coś, co da jej do myślenia. Wkrótce potem będzie chodziła z nerwów po ścianach.

I po procesie.

Kobieta poprawiła się na krześle i kaszmirowy sweterek zarucony na ramiona zsunął się na podłogę.

Kelner podskoczył usłużnie, żeby go podnieść, ale Nordehenko był szybszy.

— Bardzo panu dziękuję. — Kobieta obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Spotkały się ich oczy. Nordeshenko nie odwrócił wzroku. W innym świecie adorowałby ją zapewne i szanował. Ale to nie był ten świat.

Oddał sweterek.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Który to już raz patrzył w oczy swoim ofiarom na chwilę przed wykonaniem zlecenia.

Twoje życie zamieni się wkrótce w piekło, moja Miriam Seiderman.

Rozdział 19

— Nazywam się Hy Kaskel, panie Machia — przedstawił się nazajutrz Brewka, wstając z krzesła i wychodząc zza swojego stołu. — Zadam panu kilka pytań dotyczących mojego klienta, pana Dominica Cavella.

Andie DeGrasse otworzyła notes na czystej stronie i zaczęła szkicować karykaturą obrońcy ze szczególnym uwypukleniem jego krzaczastych, ruchliwych brwi. Postanowiła, że nie powie nikomu o wczorajszym incydencie. Nie miała żadnego dowodu. A poza tym chciała uniknąć kolejnej scysji z Sharon Ann, która pewnie znów zarzuciłaby jej sianie fermentu wśród przysięgłych.

— Znam pańskiego klienta, panie Kaskel — powiedział Louis Machia.

— To się cieszę. — Filigranowy obrońca kiwnął głową. — Mógłby pan, z łaski swojej, powiedzieć ławie przysięgłych, na ile dobrze go zna?

— Właściwie to tak sobie, panie Kaskel. Siedziałem z nim parę razy przy jednym stole. Był na moim pasowaniu.

— Przy jednym stole, powiada pan — przedrzeźnił go teatralnie obrońca. — Z tego można by wnosić, że jest pan bliskim znajomym pana Cavella. Czy, dajmy na to, zaprosił pana kiedyś na kolację?

Tak, byłem raz z pana klientem na kolacji, panie Kas-

kel. — Świadek się uśmiechnął. — A właściwie na stypie, bo to było po pogrzebie Franka Angelottiego. Poszliśmy wtedy całą kompanią. Ale co do tego drugiego, to nie. Byłem tylko żołnierzem. To mówi samo za siebie.

— Czyli nie słyszał pan nigdy bezpośrednio z ust pana Cavella rozkazów wydawanych przez niego w imieniu przestępczej rodziny Guarino? Dajmy na to, nie powiedział nigdy do pana: „Chciałbym pana prosić o przysługę, panie Machia” albo „Chcę widzieć Samuela Greenblatta martwym”?

— Nie, panie Kaskel, to nie odbywało się w ten sposób.

— Tak, jego polecenia przekazywali panu inni. Na przykład Ralphie De, o którym pan wspominał, albo ten drugi, Tommy... no, ten o śmiesznym przezwisku?

— Tommy Łoś.

— O właśnie, Tommy Łoś. — Obrońca kiwnął głową. — Za przeproszeniem.

— Zgadza się, panie Kaskel. Wszyscy mamy śmieszne ksywki.

Ten i ów na sali parsknął śmiechem.

— Być może, panie Machia — podjął obrońca — ale ja zmierzam do tego, że nigdy nie słyszał pan na własne uszy, aby mój klient sugerował, że dobrze by było, gdyby Sam Greenblatt przeniósł się na tamten świat.

— Nie, z ust pana Cavella tego nie słyszałem..

— Usłyszał pan to od Ralphiego De, który, jak pan twierdzi, widział pana Cavella krążącego samochodem gdzieś tam po New Jersey.

— Nie gdzieś po New Jersey, tylko przecnicę od miejsca, gdzie zamordowany został pan Greenblatt.

— Zamordowany przez pana, panie Machia, żeby nie było niedomówień.

— Tak, proszę pana. — Świadek kiwnął głową. — Przeze mnie.

Kaskel podrapał się po brodzie.

— Twierdzi pan, że jest długoletnim członkiem przestępczej

rodziny Guarino, tak? I przyznał się pan, że dopuszczał się rozmaitych złych uczynków na zlecenie tej rodziny?

— Dwa razy tak — odparł świadek.

— Na przykład... zabijał pan ludzi, handlował narkotykami, prawda?

— Zgadza się.

— Jakiego rodzaju narkotykami pan handlował, panie Machia? Machia wzruszył ramionami.

— Marihuaną, ecstasy, heroiną, kokainą. Do wyboru, do koloru.

— Hm — obrońca posłał znaczące spojrzenie przysięgłym — dealer z pana całą gębą, nieprawdaż? Miał pan broń, prawda, panie Machia?

— No pewnie, proszę pana. Bez spluwy nigdzie się nie ruszałem.

— Czy kiedykolwiek groził nią pan komuś w związku z tymi narkotykami, panie Machia?

— Tak, groziłem.

— Czy kiedykolwiek zażywał pan sam któryś z tych narkotyków, panie Machia? — siedł za ciosem obrońca Dominica Cavella.

— Tak, zażywałem.

— Czyli przyznaje się pan, panie Machia, do zażywania narkotyków, kradzieży samochodów, włamań, zastraszania... aha, i jeszcze zabójstw. Proszę mi powiedzieć, czy w swojej długoletniej przestępczej karierze musiał pan kiedyś skłamać?

— Czy musiałem? — Świadek zachichotał. — No przecież. Kłamałem na okrągło.

— Na okrągło, to znaczy raz na miesiąc? Raz na tydzień? Czy może dzień w dzień?

Cały czas kłamałem, panie Kaskel. W naszej branży bez tego się nie da.

— Dlaczego?

Dlaczego nie da się bez kłamania? Bo niemówienie prawdy oszczędza kłopotów. Zmniejsza ryzyko wpadki.

— Czy kiedykolwiek skłamał pan policji, panie Machia?
— A jakże.
— A FBI?
— Też. — Świadek przełknął ślinę. — Kiedy mnie pierwszy raz przymknęli. Wstawiłem im wtedy niezły bajer.
— A swoją żonę? Albo, dajmy na to, matkę? Je też pan okłamywał?

Louis Machia kiwnął głową.

— Jak się tak dobrze zastanowić, to przez całe swoje życie wszystkich okłamywałem.

— Podsumowując, panie Machia, jest pan notorycznym kłamcą. Z zasady okłamywał pan każdego, z kim się stykał. Ludzi, z którymi pan pracował, policję, FBI, żonę. Nawet kobietę, która wydała pana na świat. Aż ciśnie mi się na usta pytanie, panie Machia: czy zdarzają się sytuacje, w których pan nie kłamie?

— Zdarzały. — Louis Machia wyprostował się. — Na przykład teraz.

— Teraz, powiada pan? — przedrzeźnił go Kaskel. — Przez to „teraz” rozumie pan, jak mniemam, zeznania, które pan tu składa?

— Tak, proszę pana — odparł z godnością świadek.

— Władze zaproponowały panu korzystny układ, prawda? Pod warunkiem, że powie pan na tej sali to, co chcą usłyszeć.

— Pod warunkiem, że przyznam się do przestępstw, które popełniłem, i powiem całą prawdę. — Świadek wzruszył ramionami. — Obiecali, że wezmą to pod uwagę.

— To znaczy, zastosują może wobec pana nadzwyczajne złagodzenie kary, tak?

— Tak.

— Może nawet dostanie pan wyrok w zawieszeniu. — Brewka wybałuszył oczy. — Dobrze mówię?

— Możliwe. — Machia kiwnął głową.

— Proszę nam więc powiedzieć — ciągnął Kaskel — dlaczego obecni tu przysięgli mieliby panu wierzyć, skoro,

odpowiadając na moje pytania, przyznał pan, że notorycznie kłamał, żeby ratować własną skórę.

— Bo musiałbym na głowę upaść, żeby teraz kłamać — odparł z uśmiechem świadek.

— Jak to? — Kaskel podrapał się znowu po brodzie.

— A tak to, że gdyby mnie teraz przyłapali na kłamaniu, to do końca życia nie wyszedłbym z więzienia. Jeśli zależy mi na skróceniu wyroku, muszę mówić prawdę. I co pan na to, panie Kaskel?

Rozdział 20

Ogłoszono przerwę na lunch. Andie wyszła z gmachu sądu w towarzystwie O'Flynna i Marca, autora powieści kryminalnych. Pomaszzerowali razem do Chinatown. Z Folley Square było tam kilka minut drogi spacerkiem.

Czekając na zamówione dania, gawędzili przy stoliku o tym i owym. Andie opowiadała im o Jarrodzie i problemach, jakich nastrocza samotnej matce wychowywanie dziecka w wielkim mieście. O'Flynn zapytał, jak jej się pracowało na planie Rodziny Soprano, i Andie przyznała, że w tym przypadku rozminęła się nieco z prawdą.

— Byłam dublerką. Podkoloryzowałam trochę, żeby wymi-gać się od procesu.

— Jezu, Andie. — O'Flynn spojrział na nią maślanymi oczami. — Właśnie złamałaś mi serce.

— John od wczoraj przegląda odcinki tego serialu z ostatnich pięciu lat. Zaparł się, że wyłuska cię tańczącą na tej rurze w Bada Bing. — Marc się uśmiechnął, wybierając pałeczkami fasolkę z sałatki.

— A ty? — zwróciła się do niego Andie. — Jakiego ro-dzaju literaturą się zajmujesz?

Marc wydał jej się sympatycznym facetem. Miał długie, fa-lujące jasne włosy, z którymi przypominał trochę Matthew

McConaugheya, chodził w dżinsach, granatowym blezerze i rozchełstanej pod szyją koszuli.

— Popełniłem, jak dotąd, kilka niezłych powieści kryminalnych. Jedna została uhonorowana Nagrodą Edgara. Napisałem kilka scenariuszy do Kryminalnych zagadek i do Nowojorskich gliniarzy.

— Znaczy, jesteś sławny — orzekła Andie.

— Znam kilku słynnych pisarzy — odparł z uśmiechem. — Jesteś pod wrażeniem?

— Tak, pałeczki zaraz mi wylecą z palców. — Andie się uśmiechnęła. — Patrz, jak się trzęsą.

— Muszę was o coś zapytać, kochani. — O'Flynn zniżył głos. — Wiem, że nie wolno nam poruszać tematu, ale jak tu podsumować tego Machię?

— To bezwzględny sukinsyn — powiedział Marc. — Choć poczucia humoru nie można mu odmówić.

— Owszem, sukinsyn — przyznała Andie — ale kiedy opowiadał o tym swoim koledze, odniosłam wrażenie... sama nie wiem, że zaczyna wychodzić z niego jakieś drugie ja.

— Właśnie o to mi chodzi. — O'Flynn pochylił się nad stolikiem. — Wierzycie mu? Pomimo tych wszystkich zbrodni, które ma na sumieniu?

Andie spojrzała na Marca. Machia był mordercą i bandziorem. Prawdopodobnie dopuścił się jeszcze setek ohydnych czynów, które nigdy nie wyjdą na jaw. Ale jego argument, że mówi teraz prawdę, bo kłamiąc, niczego by nie zyskał, trafił jej do przekonania.

Pisarz wzruszył ramionami.

— Tak, ja mu wierzę.

Obaj mężczyźni spojrzeli pytająco na Andie.

— Ja też mu wierzę — powiedziała.

Rozdział 21

Po powrocie przysięgłych z lunchu miejsce dla świadków zajął behemot w ludzkiej skórze. Miał ze sto czterdzieści kilo żywej wagi, a człowieka o mniej zdrowym wyglądzie można by ze świecą szukać.

— Może pan się nam przedstawić — zwrócił się do niego Joel Goldenberger, wstając — i podać aktualne miejsce pobytu?

— Nazywam się Ralph Denunziatta — powiedział grubas — a przebywam aktualnie w federalnym zakładzie karnym.

W tym momencie rozległ się ogłuszający huk i budynek zadrżał w posadach.

Sala zareagowała histerycznie. Jedni zerwali się z miejsc, inni pochylili odruchowo i zakryli rękami głowy. Ten i ów krzyknął głośno. Jeden ze strażników doskoczył do Cavella. Nikt nie wiedział jeszcze, co się dzieje. Wstałem, żeby przeskoczyć przez barierkę i osłonić sędzinę.

Huk się powtórzył. Doleciał z ulicy. Albo kontrolowana eksplozja przy wyburzaniu jakiegoś budynku, albo przejeżdżającej ciężarówce strzeliło z rury wydechowej. Sala powoli się uspokajała, oszołomieni ludzie popatrywali po sobie.

Jedynym, który zachowywał niezmacony spokój, był Cavello. Siedział sobie jak gdyby nigdy nic i rozglądał się z ironicznym uśmiechem.

— Nie patrzcie tak na mnie — powiedział w pewnej chwili i wszyscy się roześmiali.

Podjęto rozprawę. Denunziatta miał około pięćdziesięciu lat, dwa podbródki i przerzedzające się, siwiejące włosy; mówił przyciszonym głosem. Znałem go dobrze, podobnie jak Machię. To ja go aresztowałem. Nawet lubiłem Ralphiego, jeśli można lubić człowieka, który zabija bez żadnych skrupułów.

Joel Goldenberger podszedł do stanowiska dla świadków.

— Panie Denunziatta, czy mógłby pan określić swoją pozycję w światku zorganizowanej przestępczości?

— Byłem kapitanem w przestępczej rodzinie Guarino — odparł zniżonym głosem, uciekając wzrokiem.

— Ralphie De, to pan? — spytał prokurator krajowy.

Świadek kiwnął głową.

— Tak, ja.

— Pan ma wyższe wykształcenie, prawda, panie Denunziatta? — ciągnął oskarżyciel.

— Tak, proszę pana, ukończyłem wydział biznesu. Na Long Island University.

— Ale nie podjął pan nigdy uczciwej pracy? Wybrał pan karierę przestępcy.

— Zgadza się. — Denunziatta znowu kiwnął głową. Kiedy Ralphie dorastał, jego ojciec był jednym z zaufanych ludzi Cavella. — Ojciec chciał, żebym został maklerem giełdowym albo kontynuował studia na wydziale prawa. Ale zmieniała się sytuacja. Rodzina zaczęła prowadzić interesy w paru legalnych branżach — restauracje, nocne kluby, hurtownie artykułów spożywczych — więc się z nią związałem. Myślałem, że uda mi się nie uwikłać w te rzeczy, no wie pan, rzeczy, o których wszyscy mówią — przemoc, brudna robota.

— Ale się to panu nie udało, panie Denunziatta, prawda? — spytał Joel Goldenberger.

Ano nie, proszę pana. — Świadek pokręcił głową. — Nie udało się.

— A jedną z tych rzeczy, w które nie udało się panu nie uwikłać, był współudział w zamordowaniu Sama Greenblatta'?

— Tak — bąknął świadek, wyłamując sobie palce.

— I przyznał się pan, że był zamieszany w tę zbrodnię, prawda?

— Prawda. Przyznałem się do morderstwa drugiego stopnia.

— Dlaczego, panie Denunziatta? Czy może nam pan opisać swoją rolę w zamordowaniu pana Greenblatta?

Denunziatta odchrząknął.

— Przyszedł do mnie Thomas Mussina. Był wówczas kapitanem. Podlegał bezpośrednio Dominicowi Cavellowi. Wiedział, że kilku pracujących dla mnie ludzi jest winnych rodzinie przysługę. Jimmy Cabrule miał długi karciane. A Louis Machia chciał zostać pasowanym i uznał to za dobrą okazję.

— Dobrą okazję... — wtrącił oskarżyciel — bo w nagrodę za zamordowanie pana Greenblatta pan Machia mógł zostać przyjęty do rodziny, tak?

— Tak, panie Goldenberger.

— Idźmy dalej, panie Denunziatta. Czy pan Cabrule i Louis Machia dokonali tego zabójstwa?

— Tak, dokonali. Zastrzelili Greenblatta przed jego domem w Jersey. Szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

— Dobrze pan pamięta tę datę, panie Denunziatta. Był pan tam wtedy?

— Byłem w okolicy.

— W okolicy...? — Goldenberger przekrzywił głowę.

— Krążyłem samochodem po osiedlu, jakieś dwie przecznice od tamtego miejsca. Słyszałem strzały. Widziałem, jak Louis i Jimmy Ce odjeżdżają na pełnym gazie. Za kierownicą siedział przyjaciel Louisa, Stevie Mannarino.

— Czy po osiedlu krążył samochodem ktoś jeszcze, panie Denunziatta? W czasie kiedy zamordowano pana Greenblatta?

— Tak, proszę pana. — Gangster kiwnął głową. — Tommy Łoś szarym lincolnem.

— Aha, czyli był tam również Tommy Mussina. W lincolnie. Czy w tym lincolnie, oprócz pana Mussiny, był ktoś jeszcze? — spytał oskarżyciel.

— Tak, był. — Ralphie nabrał powietrza w płuca. — Dominic Cavello.

— Skąd pan wie, panie Denunziatta, że w tym samochodzie, oprócz pana Mussiny, siedział również pan Cavello?

— Bo zatrzymali się i pomachali do mnie kilka przecznic od miejsca morderstwa.

— Ale pana to nie zaskoczyło, prawda, panie Denunziatta? Że widzi tam Elektryka?

— Nie, proszę pana — przyznał świadek.

— A może pan powiedzieć ławie przysięgłych, dlaczego?

— Bo Tommy powiedział mi poprzedniego wieczoru, że się tam wybierają. On i pan Cavello. Powiedział, że pan Cavello chce być pewien, czy wszystko poszło jak trzeba.

Wzrok Denunziatty, jakby przyciągany jakąś magnetyczną siłą, przesunął się powoli na oskarżonego.

Cavello spojrzał mu w oczy z mrozącym krew w żyłach, okrutnym uśmiechem. Było w tym uśmiechu coś ostatecznego. Wszyscy to zauważyli. Można było odnieść wrażenie, że temperatura na sali rozpraw w kilka sekund spadła o dobrych dwadzieścia stopni.

Nie krępuj się, Ralphie, zdawał się mówić uśmiech Dominica Cavella. Rób swoje. Ale kiedy ta cała szopka dobiegnie końca, znajdę cię.

Jesteś już trupem, Ralphie.

Oskarżyciel zwrócił się znowu do świadka.

— A więc pańskim zdaniem, panie Denunziatta, pan Cavello wiedział, że pan Greenblatt ma zostać zamordowany, zanim jeszcze doszło do tego morderstwa?

— Naturalnie, że wiedział, panie Goldenberger. Tommy bez pozwolenia Szefa nawet sznurowadeł by sobie nie zawiązał. Był z tego znany. Tego zabójstwa dokonano na zlecenie Cavella.

Rozdział 22

Miriam Seiderman również przechwyciła to straszne spojrzenie. Do tej pory szef mafii zachowywał się nienagannie, chociaż ona wiedziała, ile go kosztuje ten pozorny spokój. Zeznania pierwszych dwóch świadków pograżały go bez reszty. Czytała to z twarzy przysięgłych. Tylko kompletny dureń uwierzyłby, że Cavello nie miał nic wspólnego z zabójstwem Greenblatta.

A on mimo to siedział sobie, jakby mu to było obojętne. Świat wali mu się na głowę, ale on jest ponad to: „Na próżno marnujecie czas. Jestem od was silniejszy. Jestem silniejszy od całego tego waszego systemu. Nie wam mnie osądzać”. Przeszedł ją zimny dreszcz.

Wieczorem, po rozprawie, spotkała się z mężem i jego klientem na kolacji. Ben był partnerem u Rifkina i Saylesa, jednej z największych kancelarii prawniczych w Nowym Jorku, a jego klient, Howard Goldblum, jednym z najbardziej wziętych deweloperów.

Słuchała ich rozmowy i próbowała się uśmiechać, ale za gardło ścisnął ją strach. Wytrącona z równowagi wciąż na nowo przeżywała rozprawę. W tym człowieku było coś niepokojącego, coś, co sugerowało, że nie podda się kontroli żadnego systemu.

Wrócili z Benem do domu około dziesiątej. Alarm był

włączony. Gospoia już wyszła. Miriam zaryglowała drzwi frontowe i wstąpiła na schody prowadzące na górę.

Wiedziała, że powinna opowiedzieć Benowi o dzisiejszym dniu, ale jakoś nie potrafiła się przemóc. Prowadziła już setki rozpraw. Sądziła mnóstwo zatwardziałych przestępców mających o sobie wygórowane mniemanie. Czym ten miałby się od nich różnić? Niczym. Do diabła z nim!

Patrzyła, jak Ben znika w ściennej szafie, żeby zdjąć ubranie, a potem w łazience. Słyszała, jak szczotkuje zęby. Podeszła do łóżka. Uklepała poduszki, odrzuciła kołdrę...

I zamarła.

— Ben! Ben, chodź tu szybko! Ben!

Mąż wbiegł do sypialni ze szczoteczką do zębów w ręku.

— Co się stało?

Na prześcieradle leżała gazeta otwarta na drugiej stronie. Nagłówek informował:

Gangster doprowadza do wstrzymania rozprawy

Miriam wpatrywała się w artystyczny rysunek przedstawiający Dominica Cavella. Wspomnienie tego właśnie momentu na sali rozpraw przez cały wieczór nie dawało jej spokoju.

To spojrzenie.

Odwróciła się do Bena.

— Ty ją tu położyłeś?

Mąż pokręcił głową i podniósł z łóżka gazetę — „Daily News”.

— Skądże znowu.

Nieprzyjemny dreszcz przebiegł Miriam Seiderman po krzyżu. Dom był zamknięty, alarm włączony. Gospoia Edith wyszła o czwartej.

Co tu się, u diabła, dzieje? To dzisiejsza popołudniówka. Ktoś tu był wieczorem.

Rozdział 23

Mniej więcej w tym samym czasie Nordeshenko siedział w skąpo oświetlonej albańskiej kafejce w Astorii w Queens i też czytał gazetę.

Klientów było niewielu. Kilku miejscowych chłopców przy barze oglądało w telewizji mecz piłki nożnej transmitowany za pośrednictwem satelity z ich rodzinnego kraju. Pili, gapili się w ekran i pokrzykiwali od czasu do czasu w swoim ojczystym języku.

Otworzyły się drzwi. Do lokalu weszli dwaj mężczyźni. Jeden wysoki, o lodowato błękitnych oczach i długich blond włosach opadających na ramiona czarnej skórzanej kurtki, drugi niski, śniady, o aparycji mieszkańca Bliskiego Wschodu, w zielonej wojskowej kurtce i spodniach bojówkach. Zajęli stolik obok Nordeshenki. Izraelczyk nawet na nich nie spojrział.

— Dobrze cię widzieć, Remi.

Nordeshenko uśmiechnął się, słysząc swój rosyjski przydomek z czasów, kiedy służył w Czeczenii. Zdrobnienie od Riemlikowa, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Nordeshenko nie używał go od piętnastu lat.

— No, patrzcie tylko, kogo tu wiatry przywiały. — Złożył w końcu gazetę. — Albo śmieciarki przywiozły.

— Zawsze te komplementy, Remi.

Reichardt, blondyn z blizną pod prawym okiem, z którym

Nordeshenko już nieraz współpracował, pochodził z Afryki Południowej. Od piętnastu lat był najemnikiem w Afryce Zachodniej i dobrze znał swój fach. Kiedy większość chłopców w jego wieku wkuwało gramatykę i matematykę, on uczył się zabijania i zadawania bólu.

Nezziego, Syryjczyka, Nordeshenko poznał w Czeczenii. Nezzi brał kiedyś udział w akcji terrorystycznej wymierzonej przeciwko Rosjanom, w wyniku której zginęła masa uczniów szkoły podstawowej. Nezzi wysadzał w powietrze budynki, rozstrzeliwał rosyjskich emisariuszy, i co tam jeszcze. Potrafił zmagistrować bombę z materiałów powszechnie dostępnych w pierwszym lepszym sklepie. Nezzi nie miał żadnych skrupułów, nie wyznawał żadnych ideologii. Czyniło go to w tej epoce fanatyków przedstawicielem wymierającej rasy. Co skądinąd podnosiło na duchu.

— No to słuchamy, Remi. — Reichardt poprawił się na krześle. — Nie ściągnąłeś nas tu chyba na transmisję meczu ligi albańskiej, nie?

— Nie. — Nordeshenko rzucił na ich stolik gazetę otwartą na stronie z rysunkiem z sali rozpraw przedstawiającym Dominica Cavella. Taką samą podłożył kilka godzin wcześniej do łóżka sędziny Seiderman.

— O, Cavello. — Nezzi ściągnął brwi. — Jest teraz sądzony, prawda? Chcesz, żebyśmy go załatwili w więzieniu. Chyba dałoby się zrobić.

— Napijmy się — zaproponował Nordeshenko, przywołując kelnera.

— Ja dopiero po robocie — powiedział Reichardt. — A nasz muzułmański kolega, jak wiesz, trzyma się ściśle ducha i litery Koranu.

— Rozumiem. — Nordeshenko uśmiechnął się i położył na gazecie inny rysunek z sali sądowej wycięty z numeru, który ukazał się pierwszego dnia procesu.

Obaj płatni zabójcy pochylili się nad szkicem. Przesłanie powoli do nich docierało.

— Teraz się napijecie? — spytał Nordeshenko. Mina Reichardta mówiła sama za siebie: szaleństwo.

— To Ameryka, nie Czeczenia, Remi.

— A znacie kraj, w którym łatwiej przełamuje się tabu? Reichardt przywołał kelnera

— Ouzo.

— Trzy — mruknął Nezzi, wzruszając ramionami.

Wychylili drinki do dna przy akompaniamencie pokrzykiwań piłkarskich kibiców. Otarli brody.

Południowy Afrykańczyk dopiero teraz się roześmiał.

— Wiesz, że to prawda, co o tobie mówią, Remi: gdyby zdarzyło ci się kiedyś postradać zmysły, byłby z ciebie kurwsko niebezpieczny wariat.

— Mam przez to rozumieć, że w to wchodzicie?

— Jasna sprawa, że wchodzimy, Remi. Straszna nudą wieje w tym mieście.

— Jeszcze raz to samo! — zawołał Nordeshenko po rosyjsku do kelnera.

Zabrał ze stolika gazetę, wetknął w nią rysunek przedstawiający ławę przysięgłych, zwinął w trąbkę i schował pod pachę. Chcieli rozprawy, durne sukinsyny, to będą ją mieli.

Już on się z nimi rozprawi.

Rozdział 24

Tego poranka nikt nie zajął miejsca dla świadków. Z sali rozpraw wyproszono dziennikarzy. Przysięgli pozostali w przeznaczony dla nich salce. Sędzina Seiderman wyszła z zaplecza i przewierciła rozognionym wzrokiem siedzącego w drugim rzędzie oskarżonego.

— Panie Cavello, proszę do mnie. Z oboma obrońcami. Natychmiast.

Odwracając się, przechwyciła moje spojrzenie.

— Agencie Pellisante, pana też poproszę.

Weszliśmy przez drzwi po prawej stronie sali rozpraw do pomieszczeń zajmowanych przez sędzinę. Miriam Seiderman zajęła miejsce za biurkiem. Oczy jej płonęły. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak rozeźlonej.

Utkwiła te rozplamione oczy w oskarżonym.

— Może niedostatecznie jasno dałam to do zrozumienia, panie Cavello, ale jeśli wydaje się panu, że pozwolę się zastraszyć albo zleknie się waszych mafijnych metod, to trafił pan nie na tego sędziego i nie tę salę rozpraw. Czy teraz wyrażam się jasno?

— Jaśniej już nie można, Wysoki Sądzie. — Cavello nie odwrócił wzroku.

— A już zupełnie nie pojmuję — Seiderman podniosła się z za biurka — skąd się oskarżonemu uroiło, że jest na tyle potężny, by wolno mu było bezkarnie naigrywać się z wymiaru

sprawiedliwości i podejmować próby dyktowania mu swoich warunków.

— Czy Wysoki Sąd może nam wyjaśnić, w czym właściwie rzecz? — zapytał wyraźnie stropiony adwokat.

— Pański klient doskonale wie, o czym mowa, panie Kaskel — warknęła sędzina, nie odrywając wzroku od rozesmianych oczu Cavella.

Wyciągnęła z szuflady egzemplarz „Daily News” i rzuciła go na biurko. Gazeta była otwarta na stronie z rysunkiem, na którym udalnie uchwycono spojrzenie, jakim Cavello zmierzył Ralphego na sali rozpraw.

Gangster doprowadza do wstrzymania rozprawy

— Znalazłam to wczoraj wieczorem w swoim łóżku. W moim łóżku, panie Cavello! Pod moją kołdrą. To popołudniówka opuszczająca drukarnię około siódmej. Mój dom był zamknięty na trzy spusty, alarm włączony. Od czwartej po południu stał pusty. Może mi pan wyjaśnić, jak ta gazeta tam się znalazła, panie Cavello?

— Nie jestem ekspertem od tych spraw, Wysoki Sądzie. — Dominic Cavello wzruszył ramionami. — Ale może należałoby złożyć reklamację w firmie, która zakładała pani alarmy. Albo poprosić o to męża. Jeśli o mnie chodzi, to mam na ten czas niezbite alibi. Przebywałem wtedy w więzieniu.

— Powiedziałam już panu... — Miriam Seiderman zdjęła okulary —...zastraszeniem nie doprowadzi pan do przerwania tego procesu.

Byłem pełen uznania dla sędziny. Nie dała się Cavellowi zapędzić do narożnika. Dotrzymywała mu pola.

— Sąd przychylił się do pańskiej prośby, panie Cavello, i ten proces odbywa się przy drzwiach otwartych.

— Sąd wysuwa przypuszczenia, na poparcie których nie ma żadnych dowodów — odezwał się Hy Kaskel. — Pragnę zwrócić uwagę, że pan Cavello stosuje się do wszelkich zasad i warunków, jakie strony ustaliły przed rozpoczęciem

procesu. Nie można mu niczego zarzucić.

— A ja zarzucam, panie Kaskel. I jeśli się okaże, że pański klient maczał w tym w jakikolwiek sposób palce...

— W porządku, Hy — zwrócił się Dominic Cavello do swojego obrońcy. — Rozumiem, co czuje pani sędzina. Robi, co musi. Tylko że ja mam przyjaciół, którzy też mają swoje odczucia, a problem w tym, że robią, co wydaje im się słuszne.

— Czyja dobrze słyszę? — Seiderman przewierciła Cavella wzrokiem.

— Od samego początku próbuję uzmysłwić Wysokiemu Sądowi — powiedział Cavello — że ten proces nigdy nie dobiegnie końca. Nic dodać, nic ująć. To rzecz przesądzona.

Nie wierzyłem własnym uszom. Tego rodzaju groźba pod adresem sądu była czymś niebywałym, nawet jeśli padała z ust takiego oprycha jak Cavello.

— Agencje Pellisante — zwróciła się do mnie sędzina. Powieka jej nawet nie drgnęła.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Zarządzam przerwę do jutra. Proszę zwolnić przysięgłych do domu. Muszę się zastanowić, jak poprowadzić dalej ten proces.

Uznałem, że nadeszła pora, by wyrazić swoją opinię.

— Ława przysięgłych powinna zostać odizolowana, Wysoki Sądzie. Nie możemy brać dalej odpowiedzialności za bezpieczeństwo jej członków. Za bezpieczeństwo pani również. Przygotowaliśmy profilaktycznie kilka miejsc odosobnienia. Wystarczy jedno pani słowo, a zakwaterujemy przysięgłych w którymś z nich.

— Nick — zachichotał Cavello, odwracając się do mnie — to małe miasto. Zaraz, a może o swoje bezpieczeństwo też się powinieneś zatroszczyć, co?

Podskoczyłem do niego, żeby dać gnojce w mordę, ale Powstrzymał mnie w porę stojący za mną zwalisty strażnik.

— Ma pan rację, agencje Pellisante. — Sędzina kiwnęła głową. — Proszę podjąć stosowne kroki. Izolujemy ławę przysięgłych.

Rozdział 25

Dochodziła dziewiąta trzydzieści wieczorem, Andie układała ręczniki w szafie Jarroda. Jej ukochany syn siedział na łóżku w piżamie, z otwartym podręcznikiem na kolanach, ale patrzył w przestrzeń.

— Mamo, co to jest cypel? — zapytał w pewnej chwili.

Usiadła na łóżku obok niego.

— To wąski fragment lądu wybiegający w ocean.

— To w takim razie co to jest półwysep? — Przewrócił stronicę podręcznika.

Andie wzruszyła ramionami.

— Też fragment lądu wybiegający w ocean, tylko większy.

Dzisiaj, po raz pierwszy w tym tygodniu, sama odebrała go ze szkoły. Sędzina zwolniła ich przed południem i zaczęły się plotki. Komentatorzy prasowi i telewizyjni mówili o pogrożkach wysuwanych prawdopodobnie pod adresem niektórych przysięgłych.

Andie poprosiła sędzinę o chwilę rozmowy i powiedziała jej o roztrzaskanej przedniej szybie swojego samochodu. Miriam Seiderman uspokajała ją, że nie ma to prawdopodobnie żadnego związku ze sprawą, ale nie zabrzmiało to przekonująco i wcale nie czuła się teraz bezpieczna.

— To w takim razie każdy fragment lądu na świecie jest półwyspem, no nie? — Jarrod wzruszył ramionami. — Na

przykład taka Floryda. Albo Afryka i Ameryka Południowa. Przecież wszystko w jakimś tam miejscu wybiega w ocean.

— Też prawda. — Okryła go kocem i pogłaskała po jedwabistych, jasnobrązowych włosach.

— Przestań — zaprotestował, odsuwając się. — Nie jestem małym dzieckiem.

— Jesteś i zawsze będziesz moim dzieckiem. Przepraszam, ale nic na to nie poradzę...

Urwała na dźwięk dzwonka do drzwi. Jarrod usiadł na łóżku. Spojrzeli oboje na zegar. Było już po dziesiątej.

— Kto to może być, mammo?

— Nie wiem. Ale jedno wiem na pewno, Einsteinie. — Wyjęła mu podręcznik z rąk. — Gasimy światło. — Pochyliła się i pocałowała go.

— Dobranoc, mammo.

Wyszła do sieni, żeby otworzyć. Przekręciła klucz w zamku i uchyliła drzwi.

Zamurowało ją na widok przystojnego agenta FBI, którego widziała na sali rozpraw. Towarzyszył mu umundurowany policjant. Nie — dwoje policjantów, mężczyzna i kobieta.

Czego, u licha, od niej chcą po dziesiątej wieczorem?

Rozdział 26

Pokazał jej odznakę FBI.

— Przepraszamy, że tak bez zapowiedzi, pani DeGrasse. Możemy wejść? To pilna sprawa.

Andie otworzyła drzwi szerzej. Agent był gustownie ubrany — oliwkowy płaszcz, brązowa sportowa marynarka, granatowa koszula, krawat. Przemknęło jej przez myśl, jak strasznie musi sama wyglądać w tym jaskraworóżowym podkoszulku z literami DKNY na piersi i z przerzuconym przez ramię ręcznikiem.

— Nie spodziewałam się nikogo.

— Przepraszamy za najście. Nazywam się Nicholas Pellisante. Jestem agentem specjalnym FBI z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Kieruję śledztwem prowadzonym w sprawie Dominica Cavella.

— Widziałam pana w sądzie — wybąkała Andie. A potem ostrożnie dodała: — Czy aby przepisy nie zabraniają nam ze sobą rozmawiać?

— W zwyczajnych okolicznościach zabraniają. — Agent kiwnął głową.

— W zwyczajnych? Nie bardzo rozumiem. Co się stało?

— Procedury procesowe uległy zmianie. Sędzina Seiderman uznała — i ja się z nią zgadzam — że ze względów bezpieczeństwa lepiej będzie, jeśli członków ławy przysięgłych odseparujemy od świata zewnętrznego.

— Odseparujecie? — Andie zamrugła. Co to znaczy? Przesesała palcami rozwichrzone włosy.

— Sędzina zadecydowała o izolacji ławy przysięgłych. Niech się pani nie denerwuje. Nie ma żadnego bezpośredniego zagrożenia. To tylko dla pani bezpieczeństwa.

— Mojego bezpieczeństwa?

— Pani i pani synka.

Teraz Andie dopiero się zdenerwowała.

— Mam przez to rozumieć, że były jakieś pogrożki? — Przed oczyma stanęła jej strzaskana szyba samochodu. — Chodzi o ten incydent sprzed dwóch dni?

— Niczego takiego nie powiedziałem. Na zewnątrz czeka funkcjonariusz, który wam pomoże.

— W czym nam pomoże, agencie Pellisante? — Ciarki przeszły jej po plecach. — Mam dziewięcioletnie dziecko. Co się będzie z nim działo, kiedy weźmiecie mnie pod ochronę? Umieściecie go w jakiejś szkole z internatem czy jak?

— Zdaję sobie sprawę, jaki to ma wydźwięk, i wiem, że spada to na panią jak grom z jasnego nieba. Ale będzie się pani mogła regularnie z synem widywać. To dla dobra procesu.

— Dla dobra procesu?! — Andie pojęła wreszcie, do czego to wszystko zmierza. — Przecież to dopiero pierwszy tydzień. Ja się na coś takiego nie pisałam, agencie Pellisante.

Spojrzał na nią ze współczuciem, a jednocześnie z bezradnością w oczach.

— Niestety, nie ma pani wyboru.

Krew uderzyła jej do głowy. A jeszcze wczoraj miała szansę pożegnać się z tym procesem.

— Kiedy? — spytała, podnosząc na niego wzrok. I w tej samej chwili zrozumiała, co oznaczało to napomknienie o czekającym na zewnątrz funkcjonariuszu.

Przykro mi, ale bezzwłocznie. Proszę spakować najniezbędniejsze rzeczy.

Pan żartuje! — Andie wpatrywała się w niego szklonym

wzrokiem. — Mój syn już śpi. Co mam z nim zrobić? To jakaś paranoja.

— Czy ktoś może go wziąć do siebie na dzisiejszą noc? Ktoś z sąsiedztwa?

— Mam siostrę w Queens. Ale jest już po dziesiątej. Jak sobie to wyobrażacie, mam go tam wysłać taksówką?

— No dobrze — zdecydował po namyśle agent FBI. — Niech go pani zabierze ze sobą. Ale tylko na tę jedną noc. Jutro będzie mu pani musiała załatwić jakąś opiekę.

— Zabrać ze sobą? — Andie uśmiechnęła się sardonicznie. — A niby dokąd?

— Nie mogę pani powiedzieć, pani DeGrasse. Ale to niedaleko. I będzie się pani mogła z nim co jakiś czas widywać. Obiecuję to pani.

— Mówi pan poważnie? — Andie znowu przecesała palcami włosy, ł w tym momencie dostrzegła kątem oka Jarroda, który stał w przedpokoju w samej piżamie.

— Co się dzieje, mamó?

Podeszła i otoczyła go ramieniem.

— Ten pan jest z sądu. Pracuje w FBI. Mówi, że musimy przenieść się z domu w jakieś inne miejsce. I to natychmiast. Jeszcze dzisiaj.

— Dlaczego? — spytał oszołomiony Jarrod. — Dzisiaj? A gdzie?

Agent przykląkł przed nim na jedno kolano.

— Nie da się inaczej, jeśli twoja mama ma się czuć bezpiecznie. Chyba chcesz, żeby mamie nic nie zagrażało, prawda? Zrobiłbyś wszystko, żeby ją chronić?

— Jasna sprawa. — Chłopiec kiwnął głową. — Też mi pytanie.

— No to się cieszę. — Agent uściśnął jego ramię. — Mam na imię Nick, a ty?

— Jarrod.

— Nie będzie tak źle. — Uśmiechnął się agent, puszczając oko do Andie. — Jechałeś kiedyś policyjnym radiowozem, Jarrod?

Rozdział 27

Było po drugiej nad ranem, kiedy wreszcie dotarłem do domu.

Wyciąganie ludzi z łóżek, straszenie po nocy jakimś bliżej nieokreślonym zagrożeniem, nie wyjaśniając im jego natury, było zadaniem niewdzięcznym. Wszystkich przysięgłych zwieziono nieoznakowanymi samochodami do motelu naprzeciwko Holland Tunnel w Jersey City. Przez całą noc nad ich bezpieczeństwem miało czuwać ośmiu szeryfów.

Byłem wykończony i czułem się podle, że tak brutalnie wtargnąłem w ich prywatne życie. Ale klucz w zamku o tej nieludzkiej godzinie przekręcałem ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku.

Otworzyłem drzwi i zdębiałem. Światła w mieszkaniu były zapalone. Przemknęło mi przez myśl, że to pewnie Ellen wróciła wcześniej z dyżuru. No bo kto by to mógł być.

Ale Popeye nie wyszedł mi na spotkanie, jak to miał w zwyczaju. Nie było go też na sofie, gdzie zazwyczaj sypiał.

Oj, coś tu jest nie tak.

Sekunda, i przypomniała mi się pogróżka, którą usłyszałem dzisiaj na sali rozpraw z ust Cavella. Sięgnąłem po pistolet.

Jasny gwint! Jezu, nie.

Spojrzałem na drzwi sypialni.

— Ellen, jesteś tam? Ellen?

Szafa w korytarzu była otwarta na oścież. Ubyło z niej kilka płaszczy. Jej płaszczy. Znikły też dwie walizki, które trzymaliśmy zawsze na najwyższej półce. Na konsoli pod lustrem nie było już fotografii jej i jej rodziny.

— Ellen!

Pałące się w sypialni światło poraziło mi oczy. Łóżko było zasłane, tacka z perfumami i dezodorantami pusta.

Ogarnęło mnie dołujące poczucie beznadziei, odniosłem wrażenie, że wszystko wymyka mi się spod kontroli. Nie chciało mi się uwierzyć.

— Ellen... Ellen? — zawołałem jeszcze raz.

I wtedy zobaczyłem karteczkę leżącą na łóżku, na mojej poduszce. Karteczkę z jej służbowej papeterii.

Zamurowało mnie, kiedy przeczytałem pierwszą linijkę. Mój wielki, silny Nicku. Nigdy jeszcze nie przyszło mi pisać takich przykrych rzeczy...

Rozdział 28

Przysiadłem na brzegu łóżka. Poduszki były ułożone tak jak lubiła, w powietrzu unosił się jej zapach.

Wiem, że Cię to zaboli, ale ja po prostu muszę przez jakiś czas pobyc sama. Wiemy oboje, że nie jest już nam ze sobą tak wspaniale jak dawniej.

Mam nadzieję, że to Cię nieco pocieszy: przysięgam, że w moim życiu nie ma nikogo innego, powoduje mną tylko to dojmujące uczucie, że nie dajemy już sobie tego, czego byśmy pragnęli, czego nam potrzeba. Doszłam do wniosku, że muszę zastanowić się nad sobą i nad tym, czego konkretnie mi w naszym związku brakuje. Jesteś najlepszy, Nick. Jesteś inteligentny i odpowiedzialny, wrażliwy i silny. Taki dobry z siebie człowiek. I sam wiesz, w czym jeszcze jesteś najlepszy — nie, nie przesadzam!!!

Uszczęśliwiz na pewno jakąś dziewczynę. Ale to raczej nie będę ja. Bądźmy wobec siebie szczerzy, tak jak zawsze byliśmy. To rozstanie dobrze nam zrobi. Nam obojgu!

Proszę, nie dzwoń do mnie przez kilka najbliższych dni. Nie proś, żebym wróciła (nawet gdybyś tego chciał). Nie szukaj mnie. Nie bądź gliniarzem. Nie utrudniaj, bo i tak mi ciężko. Zatrzymałam się u przyjaciółki. Popeye jest ze mną.

Nasłuchałam się już od niego, jaka ze mnie skończona idiotka. (Ty masz w sobie coś, co działa nawet na facetów). Ja naprawdę Cię kocham, Nick. Któż mógłby Cię nie pokochać?

Odłożyłem list i sięgnąłem po stojącą na nocnej szafce fotografię przedstawiającą nas oboje w Vermont na nartach.

Cholera jasna, Ellen, przecież mogliśmy jeszcze dojść jakoś ze sobą do ładu. Mogliśmy przynajmniej porozmawiać.

Podniosłem słuchawkę telefonu i zacząłem wybierać numer jej komórki. Przerwałem w połowie.

Miała rację. Odwal się, Nick. Daj jej, o co prosi. Oboje to wiedzieliśmy. „Nie jest nam już ze sobą tak wspaniale jak dawniej...”.

Ściągnąłem krawat, zdjąłem marynarkę i rzuciłem je na łóżko. Potem położyłem się i przymknąłem oczy

Szukałem w sobie poczucia zdruzgotania, pustki. Zastanawiałem się, czy nie napić się szkockiej albo rzucić o ścianę krzesłem, tak jak to się robi w podobnych przypadkach.

Ale nie chciało mi się. Zwyczajnie się nie chciało!

Ellen miała rację. Nie jest nam już ze sobą tak wspaniale jak dawniej.

Ellen w niejednej sprawie miała rację.

Rozdział 29

Punktualnie o ósmej rano pod Garden State Inn podstawiono duży niebieski autokar.

Nad bezpieczeństwem wsiadających do niego przysięgłych czuwało trzech uzbrojonych strażników sadowych. Czwarty uzbrojony po zęby, czekał w środku. Migocząc kogutami na dachach, podjechały trzy policyjne wozy. Eskorta. Agent FBI odczytywał z listy nazwiska.

No, jeśli ta cała operacja miała nam zapewnić spokój ducha, pomyślała Andie, wspinając się po schodkach, to ja dziękuję.

Jej siostrę, Ritę, przywieziono wcześniej przydzielonym przez sąd samochodem. Zabrała Jarroda, żeby odstawić go do szkoły. Miał u niej zostać do zakończenia całej tej awantury. Andie nie mogła się nadziwić, że tak dobrze zniósł tę noc. Nie poskarżył się słowem, nawet po sobie nie okazał, że się boi. Ale rano zapał się, że z nią zostanie i w końcu się rozplakał. Jej mały synek, jej Jarrod.

— Ty masz swoje obowiązki, ja swoje — powiedziała, przytulając go i z pękającym sercem wsadzając do samochodu Rity. — I pamiętaj, Floryda to cypel, słyszysz?

— Półwysep — poprawił ją.

Pomachała im, kiedy odjeżdżali. Jedno było pewne — będzie miał co dzisiaj opowiadać kolegom w szkole.

W autobusie obok Andie usadowiła się Rosella. Zdener-

wowane, ściągnięte twarze wszystkich przysięgłych świadczyły, że na coś takiego nikt nie był przygotowany.

— Mój mąż jest bardzo zaniepokojony tym, co się wyprawia. Pal diabli te czterdzieści dorców, Rosie, mów, weź się wymelduj z tego procesu. A ty? Pewnie zamartwiasz się o syna?

— Jarrod jest dzielny — odparła bez specjalnego przekonania Andie. — Jakoś to przetrzyma. — Odwróciła się do siedzących za nimi O'Flynna i Hectora. — Już bardziej martwię się o was, chłopaki.

Autokar nie ruszył jeszcze spod motelu, a już rozbrzmiewał w nim chór niezadowolonych głosów. Co rozumiały. Hector wykrzykiwał, że to sprzeczne z prawem. Że w zaistniałej sytuacji powinni im dać możliwość wycofania się. Nie wolno przetrzymywać człowieka wbrew jego woli. Kilka osób rugało go, że nie ma racji.

— To coś w rodzaju Patriot Act. — Marc przewrócił oczami. — Nie wiecie, że po Jedenastym Września, dla naszego wspólnego dobra, każdego można zapuszkować?

Drzwi autokaru w końcu się zamknęły. Wozy policyjne ruszyły, migając kogutami. Kierowca zapuścił silnik i wielki autokar potoczył się wolno za nimi. Andie przyłożyła policzek do szyby. Posępny motel, jej nowy dom na kilka najbliższych tygodni, znikł po chwili z pola widzenia.

Tak bardzo chciałyby wiedzieć, czy tego wieczoru zobaczy Jarroda. Podejrzewam, że Sam Greenblatt też by się na coś takiego nie pisał, pomyślała.

Rozdział 30

Tej nocy nie przespałem chyba nawet trzech godzin. Swoje miejsce na sali rozpraw zajmowałem rano ogólnie rozbity, z piaskiem pod powiekami, wciąż jeszcze przygnębiony odejściem Ellen. Cavello siedział dzisiaj między dwoma ochroniarzami. Jeszcze jedno zagranie w tym stylu i po nim.

Joel Goldenberger podszedł do boksu dla świadków z plikiem kartek w ręku.

— Dzień dobry, panie Denunziatta — zagał. — Może zaczniemy od miejsca, w którym przerwaliśmy wczoraj. Zeznał pan, że kiedy wykonywano wyrok na Samie Greenblacie, był pan obecny w pobliżu miejsca tej zbrodni i że widział tam też Thomasa Mussinę. W samochodzie, w którym siedział ktoś jeszcze. Czy może pan przypomnieć ławie przysięgłych, kim był ten ktoś, panie Denunziatta?

— To był Dominic Cavello.

— Dobrze. — Oskarżyciel kiwnął głową i przewrócił kartkę. — Chciałem teraz przejść do wypadków, które nastąpiły potem. Czy powiedziałby pan, że pana i pańskich kolegów usatysfakcjonował sposób wykonania tego zlecenia?

— Z początku chyba tak. — Ralphie wzruszył ramionami — No bo załatwiliśmy faceta, zmylił się, nikt nie ucierpiał.

Z wyjątkiem pana Greenblatta, ma się rozumieć.

— No tak, z wyjątkiem pana Greenblatta. — Świadek pokiwał głową, uśmiechając się krzywo. — O ile sobie przypominam, to dopiero na drugi dzień zaczęły wychodzić na jaw pewne niedoróbki.

— Jakie niedoróbki, jeśli wolno spytać, panie Denunziatta?

— No ten facet dokooptowany do akcji, ten Stevie...

— Steven Mannarino — podpowiedział Joel Goldenberger.

— Właśnie. Dał pacan plamę. Miał skombinować czyste tablice rejestracyjne do trefnego wozu. Nie wyrobił się z tym na czas i musiał improwizować. — Denunziatta odchrząknął. — Przyuważył komplet starych tablic w śmietniku na podwórku Louisa Machii, no to je podprowadził.

— Z podwórka swojego znajomego, który uczestniczył w morderstwie, tak?

— Tak. — Denunziatta przewrócił oczami.

— Jak opisałby pan Steviego? — spytał oskarżyciel. — Miał w tych sprawach doświadczenie?

Świadek wzruszył ramionami.

— Porządny chłopak z dzielnicy. Chorował na astmę, czy coś tam. Bardzo garnął się do ludzi.

— Garnął się do ludzi?

— No, chciał być, jak to mówią, w klubie. Do najbystrzejszych nie należał, ale Louie go lubił. No to dawaliśmy mu rozmaite drobne zleconka. Chłopak zrobiłby wszystko, żeby tylko się wkręcić.

— I to była jego szansa, prawda? Jego wielki sprawdzian?

— Gdyby wszystko poszło, jak trzeba, to kto wie?

— I co stało się ze Steviem, panie Denunziatta? Kiedy się okazało, że jest winien wpadki?

— Z początku Louis chciał to załatwić po swojemu. Ktoś zapisał numery i jeszcze tego samego wieczoru zapukała do niego policja. Ale Louie miał własne kłopoty, a Stevie miał się tymczasem w panice i żądał, żebyśmy go ratowali, żebyśmy go gdzieś wywieźli. Gdzieś, gdzie gliny go nie dopadną. Tak naprawdę to nikt go nie widział na miejscu zbrodni, ale on się bał.

— I co pan powiedział Steviemu, panie Denunziatta?

— Obiecałem mu, że to załatwię. Spotkałem się z Tommym Łosiem. I z panem Cavellem. Wybraliśmy się na spacer po centrum handlowym Kings County Mail. Powiedziałem, że musimy wywieźć tego chłopaka z miasta. Mój wuj, Richie, miał dom w Poconos. Mógłby go tam zamelinować. Tommy przyznał, że to rozsądny plan.

Goldenberger kiwnął głową.

— I wywieźliście tam Stewego?

— Niezupełnie — mruknął Denunziatta i odchrząknął.

— Jak to? Pan kierował zabójstwem. Pański zwierzchnik wyraził zgodę. Nikt nie kojarzył Stewego z tym morderstwem, prawda? Dlaczego nie umieściliście go w Poconos?

— Bo nie zgodził się na to Dominic Cavello — powiedział Ralph Denunziatta, spuszcżając wzrok.

— Nie zgodził się?

— Ano nie. — Denunziatta wzruszył ramionami. — Szef powiedział, że Stewego trzeba się pozbyć.

— Że Stewego trzeba się pozbyć — powtórzył Joel Goldenberger, postępując dwa kroki w stronę świadka. — Dokładnie tak powiedział, panie Denunziatta? Tych właśnie słów użył? „Stewego trzeba się pozbyć”.

— No, niezupełnie. — Ralphie poprawił się na krześle i odchrząknął. Dwa razy. — O ile dobrze sobie przypominam, to powiedział: „Zaszlachtować spaślaka i upchnąć do jakiejś beczki, taka jest moja rada. Trzeba się gnojka pozbyć”.

Rozdział 31

— Zaszlachtować spaślaka i upchnąć do jakiejś beczki, taka jest moja rada. Trzeba się gnojka pozbyć. — Oskarżyciel zawiesił głos, żeby do przysięgłych dotarło w pełni znaczenie tych słów. Na sali rozpraw zaległa martwa cisza. — I słyszał pan na własne uszy, jak Dominic Cavello to powiedział, tak? Czy wydał panu bezpośrednie polecenie zamordowania Stevena Mannarina?

Świadek przełknął z trudem i zerknął na oskarżonego.

— Tak.

Obecni na sali rozpraw wstrzymali oddechy. A Cavello siedział wsparty łokciami o stół, z brodą złożoną na splecionych palcach, i patrzył w przestrzeń, zupełnie jakby go to wszystko nie dotyczyło. Jakby miał to w wielkim poważaniu.

— I Thomas Mussina go poparł? — drażył oskarżyciel.

— A co miał zrobić? Pan każe, sługa musi.

— A co zrobił pan, panie Denunziatta? Obiecał pan przecież Steviemu, że go gdzieś ukryjecie, nieprawdaż?

— Tak, obiecałem. — Świadek sięgnął po butelkę z wodą. — Zamelinował się chyba tymczasowo u swojej siostry. Kazałem jednemu ze swoich ludzi skontaktować się z nim, powiedzieć, żeby się spakował i przyjechał do Vesuvio's. To

taka knajpka w Bay Ridge, w której często bywaliśmy. I żeby nikomu nie mówił, dokąd jedzie. Nawet własnej matce.

— Proszę kontynuować.

— Czekaliśmy tam na niego. Wziąłem ze sobą Larry'ego Conigliera i Louisa DeMea. Stevie wysiadł ze swojego samochodu z taką obciachową małą torbą podróżną. Zapytał, jak długo to potrwa, a ja mu na to, że ze dwa, trzy tygodnie, dopóki sprawa nie przyschnie.

— Okłamał go pan, prawda? Nie mieliście najmniejszego zamiaru go ukrywać?

— Tak. — Ralphie kiwnął głową i pociągnął łyk wody.

— I co było dalej, panie Denunziatta? Po tym, jak pan Mannarino wsiadł już do waszego samochodu?

— Odjechali. Zawieźli go do garażu Larry'ego. Zbajerowali go, że chcą stamtąd zabrać parę kaset do posłuchania po drodze. Lany mówił mi potem, że Stevie niczego nie podejrzewał. Siedział spokojnie na tylnej kanapie, a on odwrócił się i go zastrzelił. Potem go poćwiartowali. Tak zrozumieli słowa pana Cavella. Na wszelki wypadek woleli trzymać się ściśle jego poleceń. Następnie zawieźli go do Poconos. O ile mi wiadomo, jest tam do dzisiaj.

— A pan zameldował panu Cavellowi o wykonaniu zadania — powiedział Joel Goldenberger. — O dokonaniu zabójstwa, które zlecił.

— Zameldowałem o tym Tommy'emu.

— I wkrótce potem został pan kapitanem?

— Tak. — Denunziatta kiwnął głową. — Po jakichś dwóch miesiącach.

— Czy pan Cavello powiedział, dlaczego tak szybko awansuje pana na kapitana?

Świadek spojrzął na Cavella.

— Zażartował, że w najbliższym czasie nie kupię sobie pewnie żadnej posiadłości w Poconos.

Nawet teraz, w tych okolicznościach, Cavello uśmiechnął się ubawiony swoim żarcikiem.

— Dziękuję, panie Denunziatta. — Oskarżyciel zamknął notes i wrócił na swoje miejsce. — Aha, jeszcze jedno. — Podniósł wzrok na świadka. — Czy Louis Machia wie, co stało się z jego kolegą?

Ralphie spuścił wzrok.

— Nie, panie Goldenberger, Louie do dzisiaj nie wie, co spotkało Steviego.

Rozdział 32

Tego wieczoru Andie próbowała się zrelaksować w swoim pokoju motelowym, ale bezskutecznie.

Zeznania Denunziatty zupełnie wytrąciły ją z równowagi. Im dłużej go słuchała, tym bardziej nienawidziła Dominica Cavella, chociaż wiedziała, że musi zachować obiektywizm. Leżała na łóżku, kartkując „Vanity Fair”, ale myślała o Steviem, ufnym naiwniaku ze szczoteczką do zębów i bielizną na zmianę w małej podróźnej torbie, który wierzył święcie, że wiozą go na melinę do Poconos. „Zaszlachtować spaślaka i upchnąć do jakiejś beczki, taka jest moja rada”.

Czuła się taka samotna. W telewizorze ze ściszoną fonią leciał jakiś serial detektywistyczny. Podniosła słuchawkę, wybrała numer siostry. Odebrał Jarrod.

— Cześć, kochanie — powiedziała radośnie.

— Cześć, mamó! — ucieszył się. Tak dobrze było usłyszeć jego głos. Rozmowy z synem zawsze poprawiały jej humor. Byli dobrymi kumplami.

— Co słysząc, koleś? Ciocia Rita dobrze cię traktuje? Nie głodzi cię?

— Nie. Fajnie mi tutaj. A jedzenia jest w bród.

— Czyli nie jest w końcu aż tak źle, masz kuzynów do towarzystwa i w ogóle...

— Nie narzekam. Tylko że... — Jarrodowi głos jakby się trochę zmienił. — Dlaczego ty musisz tam siedzieć, mamo?

— Umieścili nas tutaj, żeby nic nas nie rozpraszało, żebyśmy mogli skupić się bez reszty na tej sprawie.

— W szkole mówią, że ten mafioso się do nas dobierze. Że będzie próbował nas zastraszyć.

Andie usiadła na łóżku i wyłączyła telewizor.

— Co oni tam wiedzą, Jarrod. Nikt nie będzie się do nas dobierał. — Między innymi dlatego tu właśnie tkwiła, od separowana od świata zewnętrznego, samotna. Inna sprawa, że w całą tę aferę wciągnięty został jej syn.

Próbowała podnieść go na duchu.

— A poza tym ilu twoich kolegów miało okazję przejechać się policyjnym radiowozem w towarzystwie prawdziwego agenta specjalnego FBI?

— Tak, to było fajne.

Milczeli oboje przez kilka sekund.

— Wiesz co? — podjęła Andie. — Rozmawiałam z tymi, co nas tu trzymają. Powiedzieli, że będziesz tu mógł przenocować z wtorku na środę — w swoje urodziny. Podobno serwują tutaj, w Jersey, niezłą kuchnię włoską.

Podziałało. Jarrod ożywił się.

— I będę mógł zostać na noc?

— Przecież mówię, Jar, już to załatwiłam. Obiecali nawet, że rano odwieżą cię do szkoły policyjnym radiowozem.

— Super! Tęsknię za tobą, mamo.

— Ja za tobą też, Jarrod. — Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha i zakryła dłonią mikrofon. Czuła, że głos jej się zaraz załamie, a nie chciała, żeby Jarrod to usłyszał.

Tęsknię za tobą bardziej, niż sobie wyobrażasz.

Rozdział 33

W piątek, a potem w poniedziałek przedstawiliśmy sądowi jeszcze trzech ważnych świadków. Każdy dodawał od siebie coś, co coraz bardziej pograżało Dominica Cavella.

Jednym z nich był Thomas Mussina, osławiony Tommy Łoś, szef Ralphiego De, objęty aktualnie programem ochrony świadków.

Mussina potwierdził wszystko, co zeznali przed nim Machia i Ralphie: że Cavello wydał jednoznaczny rozkaz zabicia Sama Greenblatta; że rzeczywiście woził Cavella swoim szarym lincolnem w okolicy miejsca zbrodni w czasie jej popełniania; że kiedy usłyszeli strzały i zobaczyli odjeżdżających stamtąd swoich ludzi, Cavello zataił tylko dłonie i powiedział: „No, załatwione. Jajecznicza za mną chodzi, co ty na to?”.

Mussina potwierdził również to, co na temat losu Steviego zeznał Denunziatta. Użył tych samych słów: „Steviego trzeba się pozbyć”.

Potem opowiedział przysięgłym o tancerce Glorii, która pracowała w należącym do Cavella, eleganckim klubie striptizowym w okręgu Rockland w stanie Nowy Jork. Gloria chwaliła się swoim koleżankom, że ma odłożonych trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce. Nazywała to swoim „funduszem na międzystanową 1-70”. Mówiła, że któregoś dnia zabierze córkę i pojedzie przed siebie na zachód, żeby rozpocząć nowe życie.

— Kiedy pan Cavello się o tym dowiedział — ciągnął Tommy Mussina — strasznie się wkurzył. Doszedł do wniosku, że ta mała musiała go okradać. Wysłał do niej dwóch ludzi. Zgwałcili ją, udusili, a ciało wrzucili do rzeki. Dziecko było na szczęście w szkole.

— Znaleźli pieniądze? — spytał Goldenberger.

— Tak. — Mussina kiwnął głową. — W walizce stojącej w szafie. Trzydzieści patyków, tak jak mówiła. Oddali wszystko panu Cavellowi.

— Dlaczego?

— Bo ich zażądał. — Tommy Mussina wzruszył ramionami. — Roześmiał się i powiedział: „Co było kiedyś cesarskie, należy do cesarza”. Byłem przy tym.

Cały Cavello. Z zimną krwią i niepotrzebnie. Okrucieństwo do kwadratu.

— Czyli w końcu okazało się — powiedział oskarżyciel, kręcąc ze smutkiem głową — że te pieniądze rzeczywiście zostały ukradzione?

— Nie. Ona naprawdę je zaoszczędziła. Pan Cavello zwrócił je rodzinie z przeznaczeniem na fundusz powierniczy dla córki Glorii. Dobrze się przy tym ubawił. Przecież te pieniądze i tak należały do dziewczynki.

Rozdział 34

Po wysłuchaniu zeznań Mussiny członkowie ławy przysięgłych przeszli do swojej salki na lunch. Apetyt nikomu jakoś nie dopisywał.

— Widzieliście tego skubańca? — Hector gniewnie potrząsnął głową. — Siedział sobie spokojnie i nawet jeden mięsień mu nie drgnął. Zupełnie jakby miał pod kontrolą cały świat. Z nami włącznie.

— No to już niedługo nacieszy się tym kontrolowaniem, bo teraz ze mną ma do czynienia. — Rosella przeżegnała się. — Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. W piekle.

Andie usiadła i zerknęła na Marca. Pisarz opierał się o parapet okna zapatrzony w panoramę dolnego Manhattanu.

— Biedna ta tancerka — powiedziała Andie. — Jakiś fundusz powierniczy na odczepnego, co? Mam synka. Mnie też mogło to spotkać.

Marc pokiwał ze współczuciem głową.

— Mówiłaś, że w jakim klubie tańczyłaś na tej rurze?

— Bardzo śmieszne. — Andie skrzywiła się.

Ale ten żarcik rozładował napięcie i poprawił przysięgłym humory. Uśmiechnięci zaczęli zajmować miejsca przy stole. Rozdano talerzyki.

— Powinniśmy się gdzieś spotkać, kiedy to się już skoń-

czy — zaproponował O'Flynn, smarując masłem kromkę chleba. — Znam taką jedną farmę w Poconos. Mechanik Winston parsknął śmiechem.

— Tak, tylko trzeba tam uważać na kopce usypane ze świeżo wruszonej ziemi.

— Lorraine — powiedziała Andie. — Mam dla ciebie propozycję. Zrzucimy się po dziesięć dolarów, a ty zachichoczesz po swoim, kiedy Brewka następnym razem oświadczy, że Cavello jest porządnym obywatelem.

— Na takie coś nie ma ceny. — O'Flynn zarechotał. — Wchodzę. Podejrzewam, że nawet sędzina Seiderman dorzuci się do puli.

Lorraine musiała się spodobać ta propozycja, bo znowu zachichotała. Piskliwie i świdrująco. Wszyscy wybuchnęli śmiechem jeszcze głośniejszym niż za pierwszym razem.

Andie musiała przyznać, że zżyła się przez ostami tygodni z tymi ludźmi. Może sprawiły to okoliczności. Przesiadali całymi dniami w tej samej sali, wysłuchiwali tych samych mrożących krew w żyłach, przygnębiających zeznań.

Rozejrzała się po salce.

— Słuchajcie, jutro są urodziny mojego syna. Załatwiłam, że pozwolił mi ze mną przenocować. Nie wpadlibyście po kolacji do mojego pokoju na bezalkoholowego drinka i tort?

— O, impreza — podchwycił O'Flynn, kiwając głową za wszystkich.

— Przyjdziemy w czapczkach i z trąbkami! — wykrzyknęła Rosella. — Jak na sylwestra. Chłopak nigdy nie zapomni tych urodzin.

— I to wszystko na koszt rządu Stanów Zjednoczonych — dorzucił Marc. — W końcu są nam coś winni, no nie? Jak ma na imię małośni solenizant?

— Jarrod. — Andie uśmiechnęła się. — Wspaniale. Dziękuję wam. Aha, i jeszcze jedno. Obiecałam mu, że dostanie od każdego z was prezent.

Rozdział 35

Obserwowałem przysięgłych wracających na salę rozpraw na popołudniową sesję. Kilka minut później miejsce dla świadków zajął kolejny zeznający, były mafioso, Joseph Zaro, zasiadający kiedyś w Local 407, kontrolowanej przez Cavella komisji przetargowej z New Jersey.

Zaro zaczął opowiadać, jak to przez lata żaden przedsiębiorca budowlany nie dostał kontraktu bez uiszczenia łapówki. Jak do centrali związków zawodowych trafiały walizki z setkami tysięcy dolarów za to, żeby na budowę mogli wejść robotnicy. A jeśli przedsiębiorca, dla obniżenia kosztów, chciał zatrudnić ludzi nienależących do związku, musiał płacić dwadzieścia procent od spodziewanego zysku na tym manewrze.

Od dawna wiedzieliśmy, że to największy przekręt w New Jersey i że Cavello kosi na tym miliony. Nie potrafiliśmy mu tylko tego udowodnić.

— Ile kontraktów negocjował pan w imieniu pana Cavella? — zapytał Joel Goldenberger.

— Dziesiątki. Setki może? — Świadek wzruszył ramionami — Zresztą nie ja jeden się tym zajmowałem. Było jeszcze dwóch takich.

— Dwóch takich od negocjacji? To znaczy wymuszeń? — naciskał Joel Goldenberger.

Świadek znowu wzruszył ramionami, jakby to rozumiało się samo przez się.

— Tak.

— A jak przedsiębiorca nie chciał albo nie mógł zapłacić?

— To mógł sobie narysować kontrakt, panie Goldenberger.

— A jeśli nadal odmawiał wręczenia łapówki? I zatrudnił robotników z zewnątrz?

— Ma pan na myśli robotników nienależących do związku?

— Tak.

Zaro potoczył po sali błędnym wzrokiem, potem podrapał się po głowie.

— Widzi pan, panie Goldenberger, rozmawiamy tutaj o panu Dominicu Cavellu. Nie przypominam sobie, żeby do czegoś takiego doszło.

Z sali dobiegły śmiechy.

Goldenberger też się uśmiechnął.

— Czyli to był swego rodzaju monopol? Pan Cavello dyktował warunki dla całej branży budowlanej?

— W północnym Jersey ani w dużej części Nowego Jorku nie budowało się nic, w czym nie maczałby palców pan Cavello. — Świadek roześmiał się w głos

Nawet Cavello uśmiechnął się półgębkiem. Tak jakby był dumny ze swojej smykałki do biznesu. Mieliśmy go na widelcu. Morderstwo. Korupcja. Przekręty. Było to widać na twarzach każdego obecnego na sali rozpraw. Nawet na twarzy samego Cavella, chociaż starał się tego po sobie nie okazywać. Jego mina mówiła: „Możecie mi naskoczyć”.

Teraz oskarżyciel poprosił ostatniego świadka, świadka, który o jeszcze ciemniejszych sprawkach Dominica Cavella mógł powiedzieć najwięcej. Świadka, który na dobre mógł wbić gwóźdź do jego trumny.

Mnie.

Rozdział 36

Następnego popołudnia zająłem miejsce dla świadków.

— Proszę podać imię i nazwisko i imię — powiedział Joel Goldenberger, wstając — oraz określić pański związek ze sprawą.

— Nicholas Pellisante — przedstawiłem się. — Jestem starszym agentem specjalnym w nowojorskim oddziale FBI. Kieruję sekcją C-dziesiąt. Zajmujemy się przestępczością zorganizowaną.

— Dziękuję. I jako starszy agent kierujący tą sekcją, panie Pellisante, prowadzi pan śledztwo w sprawie Dominica Cavella, zgadza się?

— Zgadza. — Kiwnąłem głową. — Przy współpracy z zastępcą dyrektora i dyrektorem.

— Ma pan na myśli zastępcę dyrektora i dyrektora oddziału nowojorskiego? — Goldenberger przekrzywił głowę.

— Nie, panie Goldenberger. — Zawiesiłem głos i zwilżyłem usta łykiem wody. — Całego FBI.

Goldenberger uniósł brwi.

— Czyli cieszy się pan uznaniem przełożonych, agencie specjalny Pellisante. Nie od zawsze pan służył w FBI, prawda?

— Nie od zawsze. Byłem agentem w siłach specjalnych, wykładałem antropologię kryminalną na Uniwersytecie Columbia, pracowałem też w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Ukończyłem prawo.

— Gdzie je pan ukończył, panie Pellisante?

Zwlekałem z odpowiedzią, bo miała mnie jeszcze bardziej podnieść w oczach ławy przysięgłych. Wypiłem kolejny łyk wody.

— Na Columbii.

— Mówi pan, że zajmuje się przestępczością zorganizowaną. Od ilu lat, jeśli można wiedzieć?

— Od jedenastu. Przez pięć jako agent specjalny, od sześciu jako starszy agent specjalny.

— Czyli można śmiało założyć, że w swojej długoletniej karierze zawodowej miał pan do czynienia z niejednym łajdakiem i kanalią, prawda?

— Z najgorszymi z najgorszych. Kolumbijskie kartele narkotykowe, cosa nostra, rosyjska mafia. Prowadziłem dochodzenia przeciwko najbardziej zdemoralizowanym i najokrutniejszym organizacjom przestępczym, jakie działają na tej planecie. To, że tak powiem, moja specjalność.

Goldenberger uśmiechnął się z zadowoleniem.

— I jak, opierając się na swoim doświadczeniu, scharakteryzowałby pan oskarżonego Dominica Cavella?

— Scharakteryzował?

— Na tle innych znanych panu zbrodniarzy.

Odchrząknąłem.

— Pan Cavello to pozbawiony wszelkich skrupułów, najbezwzględniejszy morderca, z jakim się dotąd zetknęliśmy. Z tego, co nam wiadomo, osobiście wydał wyrok śmierci na ponad trzydzieści osób. To szatan w ludzkiej skórze.

— Sprzeciw! — Hy Kaskel zerwał się z miejsca. Spodziewałem się tego. — Z zarzutów postawionych oskarżonemu żaden nie dotyczy tych rzekomych zabójstw. Prowadzonymi przez władze dochodzeniami i roboczymi hipotezami sąd nie jest zainteresowany.

Joel Goldenberger machnął niecierpliwie ręką.

— Sformułuję to pytanie inaczej, Wysoki Sądzie. Czy, abstrahując od toczącego się śledztwa, ma pan wobec pana

Cavella jakiś osobisty uraz? Naraził się panu czymś, prawda?
Był pan naocznym świadkiem jego brutalności?

— Owszem. — Przeniosłem wzrok na Cavella. Nie patrzył na mnie. Oczekałem dłuższą chwilę, żeby poczuł na sobie moje spojrzenie, i powiedziałem: — Na własne oczy widziałem, jak pan Cavello popełnia morderstwo. Dwa razy.

Rozdział 37

Przyniosłem na to przesłuchanie setki nagrań z podsłuchów i zarejestrowanych rozmów, ale zaczęliśmy od mojej relacji z tego, czego byłem naocznym świadkiem.

— Czy może pan opisać sądowi okoliczności, w jakich odbyło się aresztowanie Dominica Cavella? — zwrócił się do mnie Goldenberger.

Zerknąłem na Carol, żonę Manny'ego Olivy, siedzącą w pierwszym rzędzie. Rad byłem, że przysła.

— Otrzymaliśmy informację, że dwudziestego trzeciego lipca dwa tysiące czwartego roku Cavello wybiera się na ślub swojej bratanicy do South Fork Club w Montauk. Mieliśmy na niego kilka nakazów aresztowań.

— Czy wcześniej próbowaliście już aresztować pana Cavella?

— Owszem. Ale Cavello jakby się pod ziemię zapadł. Po-dejrzewaliśmy nawet, że wyjechał z kraju.

— A więc po otrzymaniu tej informacji urządziliście na niego zasadzkę na weselu. Może pan scharakteryzować sądowi innych agentów, którzy wraz z panem w niej uczestniczyli?

— Oczywiście. — Przełknąłem z trudem i zacząłem od Manny'ego. — Manny Oliva był od trzech lat moim zastępcą w C-dziesiąt. Ściągnąłem go prosto z Quantico. Szybko awansował. Był żonaty, miał dwie córeczki, bliźniaczki.

— Był tam też z wami Edward C. Sinclair?

— Ed Sinclair był jednym z najlepszych agentów specjalnych, jacy kiedykolwiek pracowali w naszym wydziale. — Pozdrowiłem skinieniem głowy jego żonę Maryanne i syna Barta siedzących obok Carol Olivy.

— Może pan opisać sądowi przebieg tej akcji, agencie Pellisante? — Joel Goldenberger umieścił na sztaludze ustawionej przez boksem ławy przysięgłych powiększone zdjęcie lotnicze miejsca akcji. — Gdzie zajmowali wtedy stanowiska agenci Oliva i Sinclair?

Podszedłem do zdjęcia i wziąłem wskaźnik.

— Byli na plaży, poza terenami należącymi do klubu, odcinali Cavellowi drogę ewentualnej ucieczki. — Opowiedziałem, jak to Cavello ucharakteryzował się na starca na wózku inwalidzkim, a kiedy do akcji wkroczyli moi agenci, zerwał się z niego i rzucił do ucieczki. Jak zastrzelił jednego z agentów, Steve'a Taylora, który podszywał się pod kelnera. — Zbiegał w stronę plaży. Manny i Ed zajmowali stanowisko tutaj — pokazałem wskaźnikiem. — Uprzedziłem ich przez radio, że Cavello kieruje się na nich.

— I co nastąpiło potem? Zdaję sobie sprawę, że trudno panu o tym mówić, agencie Pellisante, i że trudno będzie tego słuchać obecnym na sali członkom rodzin tych agentów, ale...

— Usłyszałem strzały. — Zacisnąłem zęby. — Naliczyłem ich pięć, dwa jeden po drugim, potem trzy w nieco dłuższych odstępach czasu. Popędziłem wydmami w kierunku, z którego dobiegły, i już z daleka zobaczyłem dwa ciała na piasku.

Na sali rozpraw było cicho jak makiem zasiał. Odwróciłem się od zdjęcia. Wszyscy wlepiali we mnie oczy.

— I co pan wtedy zrobił? — spytał Goldenberger.

— Podbiegłem do ciał. — Odchrząknąłem. — Manny nie żył. Dostał w głowę. Ed był ranny w klatkę piersiową i szyję. Krwawił obficie. Widziałem, że umiera.

— Czy widział pan Dominica Cavella?

— Uciekał plażą postrzelony w ramię. W rękę trzymał coś,

co wyglądało na pistolet. Kierował się do stojącego na cyplu helikoptera. Wezwałem przez radio pomoc oraz helikopter ze statku Straży Przybrzeżnej, żeby odciął Cavellowi drogę ucieczki. Potem rzuciłem się za nim w pogoń, strzelając w biegu. Trafiłem go w udo. Pistolet musiał wyrzucić do oceanu, kiedy wzywałem pomoc.

— Rozumiem z tego, że broni nie znaleźliście?

— Nie. Do tej pory jej szukamy.

— Ale nie ma pan żadnych wątpliwości co do tego, kto zastrzelił podległych panu agentów, prawda?

— Najmniejszych. — Zdecydowanie pokręciłem głową i spjrzałem na oskarżonego. — Dominic Cavello. Kiedy usłyszałem strzały, w pobliżu Eda i Manny'ego nie było nikogo innego. A pocisk, który wydobyto z ramienia Cavella, został wystrzelony z pistoletu Eda.

— Żeby nie było żadnych niedomówień — oskarżyciel odwrócił się twarzą do sali, podnosząc głos — czy widzi pan tutaj człowieka, którego ścigał tamtego dnia na wydmach? Człowieka, który oddalał się biegiem od ciał martwych agentów?

— To on — wskazałem palcem na drugi rząd. — Dominic Cavello.

Od początku procesu Cavello zachowywał stoicki spokój i patrzył przed siebie, teraz jednak spojrzął na mnie.

I zaraz potem okazało się dlaczego.

Zerwał się niespodziewanie z krzesła i wgramolił na stół jak szaleniec w napadzie furii. Twarz miał czerwona, żyły na szyi.

— Pierdol się, Pellisante! Ty skurwysynu! Ty załgany zasrańcu!

Rozdział 38

Na sali rozpraw zapanował totalny chaos.

— Załgane sukinsyny! — darł się Cavello ochryplym głosem obłąkańca. Rąbnął pięścią w stół z taką siłą, że leżące aa nim papiery i dokumenty poleciały na podłogę. — I ten sąd też pierdołę! — Utkwił w sędzinie rozplómienny wzrok. — Nic na mnie nie macie. Wydaje wam się, że macie, bo przekupiliście moich starych wrogów, żeby przeciwko mnie zeznawali. Ale gównu wam z tego przyjdzie. Niedoczekanie!

Dopiero teraz ocknęli się zdębiali strażnicy sądowi. Dwóch podskoczyło, ściągnęli Cavella ze stołu i obalili na podłogę. Ludzie krzyczeli. Kilka osób rzuciło się do wyjścia.

Cavello walczył jak rozwścieczone zwierzę.

— Nic na mnie nie masz, Pellisante! Za to ja mam coś na ciebie!

Z odsieczą przyszedł trzeci strażnik i wreszcie udało im się obezwładnić mafiosa. Dwóch go przytrzymało, trzeci zatrzasnął mu kajdanki na nadgarstkach. A Cavello darł się wciąż na całe gardło:

— To kpiny, nie sąd! Cyrk! Nigdy mnie nie skażecie, choćbyście tu ściągali nie wiadomo ilu zdrajców i puszczałi nie wiadomo ile spreparowanych taśm niby to z podsłuchów. Żal mi, Nicky, twoich przyjaciół! Ale tego, co zastrzelił tych śmieci, serdecznie bym ucałował.

— Wyprowadzić go! — zawołała zza stołu sędzina Seiderman, usiłując przywrócić na sali spokój. — Panie Cavello. stracił pan przywilej brania udziału w tym procesie. Jest pan wyłączony. Od tej pory nie ma pan prawa wstępu na tę salę. Państwo przysięgli, proszę przejść do swojej salki. Woźny!

Tumult trwał nadal. Przysięgłych jakby zamurowało. Przedstawiciele prasy zbiegali z galerii, żeby dzwonić do swoich redakcji.

— A wyprowadzajcie mnie stąd! I więcej nie wpuszczajcie! — Cavello zrobił minę do sędziny. — Nie chcę tu siedzieć ani sekundy dłużej! — Jego ryk odbił się echem od ścian sali rozpraw. — To kpiny nie sąd!

Krew ciekła mu z wargi. Pedantycznie dotąd ułożone włosy miał potargane. Strażnicy dźwignęli go pod pachy z podłogi i powlekli w stronę bocznych drzwi. Kiedy przekraczali próg, Cavello szarpnął się wściekle i obejrzał. Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem.

Ten sukinsyn się uśmiechał.

Rozdział 39

Przysięgli nie mogli wciąż dojść do siebie po tym, co się wydarzyło. Zszokowani, wstrząśnięci, przeszli do swojej salki. Żadne z nich nie widziało jeszcze takiego obłąkańczego występu, jaki zgotował im na sali rozpraw Cavello.

— Ten dupek ułatwił nam pracę. — Hector pokręcił głową. Chyba wszyscy przyznali mu w duchu rację.

Pewnie wreszcie dotarło do drania, pomyślała Andie, że stoi na straconej pozycji. I załamał się.

Opuszczali dzisiaj gmach sądu wcześniej, niż to było planowane. Andie miała nadzieję, że Jarrod czeka już w holu na nią i na obchody swoich urodzin w tych szczególnych okolicznościach. Włoczono ich do windy i zwieziono na dół.

Kabina zatrzymała się na parterze, drzwi rozsunęły. Andie odetchnęła z ulgą na widok Rity i Jarroda w jego ulubionej koszulce z nadrukiem „Stephon Marbury numer 3”. Na szczęście przyszli wcześniej. Chłopiec podbiegł i rzucił się jej na szyję.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, synku! — Jak cudownie było widzieć jego uszczęśliwioną twarz, tulić do siebie i odciskać na policzku soczystego urodzinowego buziaka. Co tam Cavello i jego napady szału.

Coś się stało, mamó?

— Nic takiego, nie ma o czym opowiadać. — Przytuliła syna jeszcze mocniej.

Autokar czekał na nich na ulicy przed bocznym wyjściem Andie z Jarrodem wsiedli pierwsi i zajęli miejsca z tyłu. Przed nimi usiedli Hector i Rosella, którzy lubili sobie od czasu do czasu pogawędzić po hiszpańsku. O'Flynn ze zwinieństwem w trąbkę gazetą „Sports Illustrated” wcisnął się w kąty tylnego siedzenia.

— Opowiadaj, jak było w szkole — poprosiła Andie.

— Nie opowiem. — Jarrod uśmiechnął się szeroko. — Dziś są moje urodziny. Ani słowa o szkole, rozumiemy się?

— No dobrze, niech ci będzie.

Chcieli ich jak najszybciej zabrać spod gmachu sądu i Andie nie miała nic przeciwko temu. Do autokaru wskoczył strażnik sądowy i policzył pasażerów. Skrzywił się, kiedy wyszło mu o jedną osobę więcej niż zwykle.

— Okay! — powiedział do kierowcy, wyskoczył na chodnik i klepnął burtę autokaru na znak, że mogą ruszać. Kierowca zapuścił silnik.

Andie obejrzała się na gmach sądu. Przed bocznym wejściem stał ten agent FBI, Pellisante. To on wszystko załatwił, kiedy zwróciła się do niego z prośbą o zorganizowanie spotkania z Jarrodem w dniu jego urodzin.

Dziękuję. Andie pomachała mu przez tylną szybę.

On też do niej pomachał.

Autokar ruszył Worth Street poprzedzany przez dwa wozy policyjne. Do motelu przez Holland Tuneli było dwadzieścia pięć minut drogi. Niektórzy przysięgli oglądali się na Andie, pytając wzrokiem, czy mogą już zrobić temu sympatycznemu chłopcu niespodziankę, odśpiewując chórem Happy Birthday.

— Hej, Jarrod. — Siedzący za nimi O'Flynn wsunął głowę między Andie i Jarroda, i spojrzał na napis na przodzie koszulki chłopca. — Kibicujesz Knicksom?

— Tak, ale wolę Halo.

— Halo? — Była to bardzo popularna wojenna gra wideo,

dosyć brutalna, z dobrą grafiką. O'Flynn uśmiechnął się do Andie. — I mama pozwala ci w to grać?

— Mama nie pozwala — odparła za syna Andie. — Co innego ciotka, ale to już całkiem inna historia.

Kilka osób się roześmiało.

Autokar zatrzymał się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z Church Street

Andie spojrzała w okno. Wybiegała już myślami do przyjęcia i zastanawiała się, kiedy powiedzieć Jarrodowi, że wszyscy pasażerowie wiedzą już o jego urodzinach. Postanowiła, że uczyni to, kiedy zbliżą się do tunelu, efekt będzie lepszy. Rosella przygotowała transparent z napisem: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Jarrod”.

Ale będzie zaskoczony!

Obok autokaru zatrzymała się szara furgonetka z przesuwanymi drzwiami. APEX Electrical Systems. Astoria, Queens.

— I co zaplanowałaś, mamó? — spytał Jarrod. — Ty na wszystko masz zawsze jakiś plan.

Miała mu już odpowiedzieć, kiedy nagle jej uwagę przykuło coś osobliwego.

Kierowca furgonetki wyskoczył z wozu. Był w granatowym kombinezonie roboczym, spod naciągniętej na oczy baseballowej czapki sterczały blond włosy. Co dziwniejsze, człowiek siedzący w fotelu pasażera też wyskoczył na jezdnię.

Obaj puścili się biegiem.

Na przełaj, przez ruchliwe skrzyżowanie. Byle dalej od furgonetki. Znalazłszy się po drugiej stronie ulicy, przystanęli i obejrzel się. Ale nie na furgonetkę.

Patrzyli na nich! Na autokar.

— Mamó! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ziemia do mojej mamy. Odbiór!

I już wiedziała! Sparaliżował ją strach, ale tylko na chwilę.

— Niech pan szybko rusza! — krzyknęła do kierowcy. — Uciekajmy stąd! Natychmiast!

Ale czerwone światła wciąż się paliły. Tkwiły w ulicznym

korku. Do tego przysięgli gawędzili między sobą, nikt nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Jarrod spojrział na nią dziwnie i skrzywił się.

— Co jest, mamó?

— O Jezu. — Wzdrygnęła się niezdolna oderwać oczu od furgonetki. Objęła Jarroda. Przyciągnęła z całych sił do siebie. Zaraz wydarzy się coś strasznego.

— Boże, nie!

— Mamó?

Rozdział 40

Zdarza mi się często wracać myślami do tamtej chwili — do chwili tuż przed tragedią, której nie zdołałem zapobiec.

Gdyby tak można było cofnąć czas do tamtego momentu i zatrzymać go choć na sekundę. Zrozumieć to, co powinienem był wtedy zrozumieć.

Zrozumiałbym ten uśmiech. Nie, nie uśmiech Andie DeGrasse, która siedziała obok swojego syna w autokarze odjeżdżającym spod gmachu sądu.

Uśmiech Cavella. Na sali rozpraw, chwilę wcześniej.

Domyśliłbym się, co oznacza.

Wyszedłem za przysięgłymi z gmachu sądu i odprowadzałem wzrokiem autokar, którym odjeżdżali.

Odejście Ellen trochę mnie podłamało. Pomaganie tym dwojgu — DeGrasse i jej synkowi — podnosiło mnie w jakimś sensie na duchu. Dawało poczucie, że w całym tym szaleństwie robię dla odmiany coś zwyczajnego. Zauważyłem, że mi pomachała, zauważyłem jej uszczęśliwiony uśmiech. Też im pomachałem. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mały.

I wtedy cały świat stanął na głowie! Ich i mój świat.

Obok autokaru stojącego na czerwonym świetle zatrzymała się szara furgonetka. Wskoczyli z niej dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach.

Rzucili się do ucieczki.

Trzeba było sekundy, żeby umysł to zarejestrował i wyciągnął odpowiednie wnioski. Nawet umysł kogoś szkolonego w dopatrywaniu się najgorszego w każdej sytuacji. Ta sekunda upłynęła i nagle wszystko stało się dla mnie jasne jak słońce. I zdjął mnie strach.

— Uciekajcie! — usłyszałem swój wrzask. Lawirując między stojącymi na światłach pojazdami, pogałem w kierunku autokaru. — Wsiadacie, i w nogi!

Furgonetka eksplodowała, rozbłysk wybuchu rozlał się po całej ulicy. Podmuchał mnie na skrzynkę pocztową. W twarz uderzył żar.

O Boże, tylko nie to, nie to!

Patrzyłem bezradnie na płonący autokar z przysięgłymi. Jeszcze chwila, i na moich oczach wyleciał w powietrze.

Wyrzekałem z kieszeni krótkofalówkę i połączyłem się ze strażą sądową.

— Pellisante. Dziewięć-jeden-dziewięć na pełną skalę. Autokar z przysięgłymi wyleciał przed chwilą w powietrze! Róg Worth i Church. Powtarzam, autokar z przysięgłymi wyleciał w powietrze! Wezwijcie natychmiast pogotowie!

Potem popędziłem co sił w nogach w kierunku płonącego autokaru.

Źle to wyglądało. Bardzo źle. Z wraku furgonetki strzelały w górę płomienie. Gęsty dym kłębił się nad ulicą. Krzyki. Na chodniku leżeli oszołomieni ranni. Paliła się wywrócona przez podmuch do góry kołami taksówka.

Poszukałem wzrokiem tych dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach. Nie było ich. Wtopili się w tłum gapiów. Boże jedyny, z autokaru wiozącego przysięgłych pozostał już tylko osmalony, dopalający się korpus. W lewej burcie ziała wielka, rozżarzona, postrzępiona dziura.

Podbiegłem do drzwi. Wybuch wyrwał je z zawiasów. Uchwyty były rozgrzane do czerwoności.

W środku wszystko pokrywał pulsujący czerwienią żużel.

Kierowca nie żył. Mało, nie żył, urwało mu głowę. Boże. Starsza kobieta — o ile pamiętałem, siedziała w ostatnim rzędzie boksu ławy przysięgłych — ciśnięta podmuchem przeleciała nad kierowcą i zginęła w zderzeniu z przednią szybą. Nie pamiętałem jej nazwiska.

— FBI! — krzyknąłem, usiłując przebić wzrokiem kłęby gęstego, śmierdzącego ropą dymu. — Ktoś mnie tu słyszy?!

Wyteżyłem słuch. Ktoś musi się odezwać. No! Jakieś jęki, postękiwania, wołania o pomoc, jakieś przejawy życia.

Oslaniając się przedramieniem przed płomieniami, nasłuchiwałem takich odgłosów.

Na próżno. To właśnie zapamiętałem. To właśnie mnie od tamtej pory prześladowało. Ta grobowa cisza.

Rozdział 41

Serce podeszło mi do gardła. Modliłem się w duchu, nasłuchując. No, niech ktoś się odezwie. Krzyknie! Zawoła o pomoc!

Nic, tylko trzask płomieni i szary dym wypełniający wnętrze autokaru. Istny krajobraz po bitwie.

Zakryłem ręką twarz i ruszyłem w głąb przejściem między siedzeniami. Szaleństwo, ale musiałem. To był horror. Jakaś filigranową kobietę podmuch rzucił na boczną szybę. Zastygła w groteskowej pozycji. Reszta zginęła tam, gdzie siedziała. Paliły się na nich ubrania.

Niektóre twarze rozpoznawałem. Pisarz nie żył. Tak samo sympatyczna Latynoska, która bez przerwy robiła coś na drutach. Oboje usmażyli się na siedząco. Potem zobaczyłem rudego faceta pracującego w Verizon, O'Flynn się chyba nazywał.

— Czy ktoś mnie słyszy?! — krzyknąłem. Odpowiedziało mi martwa cisza.

Z zewnątrz dobiegło wycie syren. Nadjeżdżały służby ratownicze. Do autokaru wszedł ktoś jeszcze, policjant.

— Jezus, Maria — jęknął zduszonym głosem. — Przeżył tu ktoś?

— Wątpię.

Potknąłem się o jakiś wzgórek. To były chyba zwłoki tego mechanika z Jamajki. Spalone ubranie, on sam zwęglony.

Gęsty, kwaśny dym zaczynał robić swoje. Zakaszlałem, ściągnąłem koszulę, zwinąłem ją w kłęb i zakryłem sobie tą prowizoryczną maską nos i usta.

— Zaczekajmy lepiej na ratowników! — zawołał do mnie policjant.

Miał rację. Wszędzie kłęby duszącego dymu i ogień. Tylko patrzeć, jak autokar wyleci w powietrze. Próbowałem przebić wzrokiem dymną zawiesinę. Z tyłu też żadnego poruszenia.

I naraz coś usłyszałem. Jęk — może nie tyle jęk, ile skamlenie. Czyżby jednak ktoś przeżył?

— FBI! — krzyknąłem, rozpędzając wolną ręką oślepiające opary. — Gdzie jesteś? Słyszysz mnie?

Odpowiedział mi zdławiony pomruk.

— Idę do ciebie.

Postąpiłem krok i zobaczyłem go. Tego chłopca! Leżał w pozycji płodowej pod siedzeniem.

— Jarrod! — Pochyliłem się nad nim, pamiętałem, jak ma na imię. — Jarrod!

Padłem na klęczki i przyjrzałem mu się z bliska. Podłoga parzyła w kolana, parowała.

Ścisnęło mnie w dołku. Chłopiec nie żył. Był straszliwie poparzony. Zebrało mi się na wymioty. Przed oczyma stanęła mi jego rozradowana twarz na moment przed tym, jak jego matka pomachała do mnie przez okno ruszającego autokaru.

— Przykro mi, mały.

I znowu usłyszałem to skamlenie, ciche i słabe. Ktoś żył jeszcze.

Zacząłem spychać poskręcany metal i trupy na sam tył autokaru. Po topiących się winylowych obiciach siedzeń i plastikowych panelach pełgały płomyki ognia. Dym lgnął do mojej skóry smolistą zawiesiną.

— Jarrod... Jarrod — dobiegło mnie gdzieś z bliska.

To była Andie DeGrasse. Przygnieciona wyrwanym z podłogi siedzeniem. Włosy miała osmalone. Twarz całą we krwi. Wargi jej drżały.

— Jarrod... Jarrod — nawoływała rozpaczliwie syna.

— Już panią stąd wyciągam — powiedziałem, pochylając się nad nią.

Ona jedna przeżyła.

Rozdział 42

Richard Nordeshenko usłyszał potworny huk. Dokładnie o 14.03, z odległości trzech przecznic. Wybuch wstrząsnął powietrzem, zadrżała ziemia. No to stało się.

Kazał kierowcy swojej limuzyny poczekać, a sam wszedł do sklepu z elektroniką po prezent dla syna. Grę Mistrzostwa świata w pokerze.

Nordeshenko nie pierwszy raz słyszał taki wybuch. Podwójny wstrząs, dygoczący grunt. Na dobrą sprawę małe trzęsienie ziemi. Sprzedawca zdębiał, Nordeshenko powieka nawet nie drgnęła. Wiedział, co się stało. Nezzi nie bawił się nigdy w aptekarza. W furgonetce było z pewnością trzy razy więcej C-4 niż to konieczne.

Nordeshenko wziął pod pachę paczkę z nabytkiem i wyszedł ze sklepu. Myślami był już w domu. Miał upominki dla syna: iPoda i nową grę komputerową w pokera, którą chłopiec będzie na pewno zachwycony. A dla żony kolczyki z nowojorskiego Diamond District.

Tutaj zrobił już swoje. Poszło jak z płatka.

Szwajcarski bank przysłał mu już zawiadomienie o aktualnym stanie konta. Ponad dwa miliony dolarów. A w kolejce czekały jeszcze inne płatności. Ale solidnie zapracował na każdego centa. Po powrocie do domu zrobi sobie małą przerwę. Pora odpocząć.

— Co to, kurde, było? — spytał wsiadającego do limuzyny Nordeshenkę kierowca, oglądając się na Folley Square.

— Skąd mam wiedzieć. Coś wybuchło. Może jakiś rurowciąg. — W powietrzu nosił się smród benzyny i kordytu.

Dwa wozy policyjne na sygnale, z błyskającymi kogutami, przemknęły obok. Pędziły w kierunku gmachu sądu.

— To jakaś poważniejsza afera. — Kierowca włączył radio. — Nie w kij dmuchał.

Nordeshenko obejrzał się. Ponad budynki w głębi ulicy wznosiła się chmura czarnego dymu.

Włożył upominki dla syna do torby podróżnej. Odezwał się telefon komórkowy. Dwa sygnały. Reichardt i Nezzi byli już bezpieczni.

— Jedziemy — rzucił Nordeshenko do kierowcy. — Po słuchamy po drodze. Spieszę się na samolot.

Rozdział 43

Otworzyła oczy powoli, bardzo powoli.

Nic jej nie bolało. Tylko to oszołomienie i poczucie nierealności. Była tutaj, a jakby jej nie było. T ten ołowiany ciężar na piersi. Co to za miejsce? Co się stało? Odbiegały od niej jakieś rurki, jakieś przewody do czegoś popodłączane... Spróbowała się poruszyć, ale nie mogła.

Co jest? Żadnej władzy w członkach. Sparaliżowało ją czy co? Jak do tego doszło?

I nagle panika. Coś ciężkiego i grubego siedziało jej w gardle. Dławiła się. Chciała krzyknąć, ale ta blokada na to nie pozwalała.

Podeszła pielęgniarka. Sam widok twarzy tej kobiety powiedział jej, że stało się coś strasznego. Ale co?

— Andie, kochanie, nie próbuj mówić. Masz w gardle rurkę, która pomaga ci oddychać. Jesteś w Bellevue Hospital. Miałaś operację. Wszystko będzie dobrze.

Andie kiwnęła ledwie zauważalnie głową i strzeliła na boki oczami. Sala. Szpitalna sala.

I wtedy zaczęła jej wracać pamięć.

Autokar z przysięgłymi. Była w tym autokarze. Szara furgonetka zatrzymująca się obok...

Panika znowu ścisnęła jej krtań. Podniosła wzrok na stojącą nad łóżkiem pielęgniarkę. Co było potem?

Chciała coś powiedzieć, ale znowu zakrztusiła się i rozkaszała. Udało jej się jakoś namacać dłoń pielęgniarki. Chwyła ją za dwa palce i ścisnęła z całych sił.

Mój syn... Gdzie Jarrod?

— Uspokój się, proszę, Andie. — Pielęgniarka odwzajemniła uścisk.

Wiedziała, że stało się coś strasznego, coś nie do uwierzenia. Usiłowała wypowiedzieć imię Jarroda, ale nie pozwalały na to zablokowane drogi oddechowe. I w ustach miała przeraźliwie sucho. Błagam, błagam, mój synek...

Ale coś zmuszało ją do opuszczenia powiek i Andie nie potrafiła się temu czemuś przeciwstawić.

Rozdział 44

Kiedy znowu otworzyła oczy, przy łóżku stał ktoś jeszcze. Zamrugała sennie.

To ten z FBI, ten, co się tak ładnie uśmiechał.

Ale teraz się nie uśmiechał. Teraz wyglądał jak zdjęty z krzyża.

Budziły się wspomnienia. Autokar zatrzymał się na czerwonym świetle. Potem tamta furgonetka... Dwaj uciekający mężczyźni... Przygarnęła do siebie Jarroda...

Jarrod?

Spojrzała znowu na agenta FBI i próbowała bez powodzenia wykrzyczeć imię swojego synka. Nie rozumiesz? Nie czytasz tego w moich oczach?

Wytrzymał jej spojrzenie i pokręcił głową.

— Przykro mi.

Przykro? Powtórzyła w myślach to słowo, nic nie kojarząc. Co on wygaduje? Z jakiego powodu mu przykro?

Poczuła, jak agent dotyka opuszkami palców jej dłoni. A potem ją ściska. Ten uścisk wszystko jej powiedział.

Przywrócił pamięć. Ta panika, jaka ją ogarnęła na widok mężczyzn uciekających od furgonetki. Straszliwa eksplozja. Odrzuciło ją. Pamiętała jeszcze, jak wołała raz po raz Jarroda.

Jej ciałem wstrząsnął spazm.

Poczuła, jak coś gorącego żłobi jej policzek. To nie może być prawdą. To nie mogło się stać.

Agent FBI otarł jej łzę z policzka.

Nikt jej dotąd nie powiedział, co się wydarzyło. Teraz już nie musieli. Sama wiedziała. Widziała to w jego oczach.

O, mój biedny Jarrodzie.

Łzy popłynęły strużkami po policzkach Andie i zanosilo się na to, że ich źródło już nigdy nie wyschnie.

Rozdział 45

Do aresztu o tej porze zazwyczaj nikogo nie wpuszczano, nawet przedstawicieli prawa. Tego dnia zaszedłem tam prywatnie.

— Późno już, Nick — poskarżył się Trevor Ellis, naczelnik szóstego piętra manhattańskiego więzienia okręgowego, na którym przetrzymywano świadków i oskarżonych. Przekroczyliśmy razem próg elektronicznie sterowanych drzwi. Służbę zaczęła już nocna zmiana.

Za biurkiem siedział strażnik wpatrzony w monitory. Trevor pozdrowił go kiwnięciem głowy.

— Agent Pellisante jest tu za moim przyzwoleniem. Zrób sobie przerwę na kawę.

— To oficjalna sprawa — poinformowałem Trevora. Przeszliśmy jeszcze kawałek i zatrzymaliśmy się na końcu korytarza. Cela Cavella znajdowała się na samym końcu długiego skrzydła.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? — Ellis spojrział na mnie pytająco.

Tego popołudnia zginęło dziewiętnaście osób. W tym siedemnaścioro przysięgłych. Moich przysięgłych. Jedną z ofiar było dziecko obchodzące dzisiaj dziesiąte urodziny. Są sprawy, Które po prostu trzeba załatwić — bez względu na ryzyko czy konsekwencje.

— To sprawa oficjalna — powtórzyłem.

— Taaak — mruknął przeciągle. — Dołóż mu jeszcze jedną oficjalną sprawę z mojej kasy.

Szczęknął rygiel otwieranych elektronicznie drzwi celi Cavella.

Więzień leżał na pryczy na wznak z podciągniętymi kolanami i przedramieniem podłożonym pod głowę. Na mój widok zrobił wielkie oczy.

— O, Nicky! — zawołał z tym samym kpiącym uśmiechem, który widziałem u niego tyle razy na sali rozpraw. — Jezu, przed chwilą się dowiedziałem. Co za jatka! — Podniósł się powoli z pryczy. — Nawet nie wiesz, jak mi przykro...

Zaprawiłem go prawym sierpowym. Padł jak ścięty.

— No co ty, Nicky — wymamrotał, masując sobie szczękę. Podźwignął się z ziemi, podciągając po metalowej nóżce pryczy. Znowu się uśmiechał. — Wiesz, słyszałem o zastraszaniu członków ław przysięgłych, ale żeby aż do tego stopnia...

Przygrzałem mu jeszcze raz. Mocniej. Poleciał na betonową ścianę i osunął się po niej. Nadal patrzył na mnie z kpiącą arogancją, w jego oczach malowało się zwierzęce okrucieństwo.

— To twoja wina, Nicky. Czegoś się spodziewałeś? Bo chyba nie tego, że wezmę uszy po sobie i będę czekał potulnie, aż dadzą mi czapę? Wiedziałeś, że tak się to skończy. Przecież znasz mnie jak nikt. — Otarł grzbietem dłoni strużkę krwi sączącej się z nosa.

Podszedłem i podniosłem go za kołnierz na równe nogi. Był nadal w tej samej koszuli, którą miał dzisiaj na sobie na sali rozpraw.

— Wydaje ci się może, że wygrałeś, gnido, ale ja nie spocznę, dopóki cię na dobre nie udupię. Zginęło dziewiętnaście osób. A wśród nich dziesięcioletni chłopiec.

— To w autokarze był jakiś chłopiec? — wykrzyknął z udawanym zaskoczeniem. — Jezu, Pellisante, miałem cię za bardziej rozzagniętego!

Dałem mu z całych sił w zęby. Cavello znowu poleciał na ścianę celi. Straciłem kontrolę nad sobą. Nigdy jeszcze nie pałałem do nikogo taką nienawiścią.

— Dobra, Nick, wystarczy — usłyszałem za sobą. To był Trevor Ellis.

Zignorowałem go. Poderwałem Cavella z ziemi i pchnąłem na drugą ścianę. Zawadził biodrem o metalowy zlew i upadł. Podskoczyłem i znowu go podniosłem. Całą koszulę miał już zakrwawioną.

— Oni wypełniali tylko swój obywatelski obowiązek! — wykrzyczałem mu w twarz.

— No, dalej — zaszydził Cavello. — Bij mnie. Co ci szkodzi. Ale jedno ci powiem. Źle to rozegrałeś. A mówiłem, uprzedzałem. Na mnie nie ma mocnych. Grozisz, że mnie udupisz. — Splunął pacyną krwi. — Być może komuś się to uda, ale to nie będziesz ty. Widzisz te kamery pod sufitem? Zarejestrowały wszystko, co tu się przed chwilą działo. Jesteś skończony. O udupieniu mnie możesz sobie tylko pomarzyć. Za to sam siebie udupiłeś na bank, Nicky Makaroniarzu.

Przygrzałem mu znowu, i znowu poleciał na ścianę. Podbiegli do mnie Trevor Ellis i dyżurny strażnik. Jeden wykręcił mi do tyłu rękę, drugi osłonił więźnia własnym ciałem. Cavello pozbierał się z ziemi. Chwiał się na nogach, trzymał za bok.

— Weź się tylko zastanów — wykrztusił z ironicznym uśmiechem. — Wydaje ci się, że mnie dostałeś? To ty masz przechłapanę. To tobie śmierć tego dzieciaka będzie do końca życia spędzała sen z oczu. A ja dzisiaj będę spał jak niemowlę.

Trevor ze strażnikiem wywlekli mnie z celi, ale Cavello dalej wołał za nami. Jego krzyk i śmiech rozchodziły się echem po korytarzu.

— Jak dzidziuś, Pellisante. Słyszysz? Mnie po raz pierwszy od miesiąca ten cholerny proces nie spędzi snu z oczu.

Część druga

Ponowne rozpoznanie

Rozdział 46

Wsparty łokciami o blat biurka przyglądałem się grupie dwadzieściorga dwojga zdumiewająco aroganckich i pewnych siebie studentów pierwszego roku prawa.

— Czy ktoś potrafi mi wyjaśnić, dlaczego prawo zezwala przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości na uciekanie się do podstępu na etapie śledztwa, kiedy nie są jeszcze przekonani owinie podejrzanego, ale bezwzględnie zakazuje im jakiegokolwiek rozmijania się z prawdą na etapie procesu, choćby byli już absolutnie pewni, że podejrzany jest winien zarzucanych mu czynów?

Ułynęło pięć miesięcy. Wziąłem z Biura przedłużony bezpłatny urlop i od stycznia wykładałem etykę kryminalistyczną w John Jay College.

Też mi urlop. Staralem się, jak mogłem pozbierać do kupy. Wątpiłem, czy kiedykolwiek wrócę do pracy, a już o powrocie do C-10 po pobiciu Cavella w jego celi nie miałem co marzyć. Co tu jednak kryć. Zmartwień miałem więcej. O wiele więcej. Ten skurczybyk miał rację. Prześladowało mnie wspomnienie twarzy Jarroda w oknie autokaru odjeżdżającego z przysięgłymi spod gmachu sądu.

Rękę podniosła studentka z drugiego rzędu.

— Cel usłwęca środki — powiedziała. — Precedensy Mappa oraz Stanów Zjednoczonych przeciwko Russellowi świadczą,

że dopuszczalne jest stosowanie przez policję nieczystych metod, jeśli dowodów nie da się pozyskać w inny sposób. Bez tego mogłoby nigdy nie dojść do zakończenia śledztwa. To wybór mniejszego zła.

— No dobrze. — Kiwnąłem głową, wstałem i zacząłem się przechadzać po sali. — Ale jeśli policja w trakcie przed stawiania sądowi zebranych takim sposobem dowodów musi naginać fakty, żeby nie wyszło na jaw, jak zostały zebrane'?

Wkurzał mnie jeden drapichrust w ostatnim rządzie zainteresowany bardziej złożoną w kostkę i wetkniętą w podręcznik gazetą niż moją osobą. Podniosłem głos:

— Panie Pearlman, widzę, że pan ma coś na ten temat do powiedzenia.

Student rzucił się do nerwowego wertowania podręcznika.

— Ja? A, tak. Jasna sprawa. Żaden problem.

Podszedłem i wziąłem gazetę z jego ławki.

— My tu bierzemy pod lupę czwartą poprawkę do konstytucji, a pan Pearlman, jak widzę, studiuje kursy swoich akcji. W trosce o pańskich przyszłych klientów żywię nadzieję, że zna pan konstytucję na wrywki, a wszystkie kodeksy ma w małym paluszku.

Rozległy się chichoty. Typowa reakcja.

A mnie zrobiło się wstyd. Zachowałem się jak pierwszy lepszy z tych niedowartościowanych uniwersyteckich sadystów z profesorskimi tytułami, którego rajcuje demonstrowanie studentom na każdym kroku, co to nie on. A ja przecież taki nie byłem. Przed kilkoma miesiącami dawałem wycisk jednemu z najbardziej zatwardziałych przestępców w kraju. A teraz co? Pastwię się nad jakimś prostackiem z pierwszego roku prawa. Jezu, Nick!

— No dobrze, panie Pearlman — powiedziałem, podając mu gałązkę oliwną — orzeczenie Sądu Najwyższego stwierdzające, że stosowanie nieczystych metod w celu pozyskania dowodów jest dopuszczalne, wydane zostało w sprawie...?

— Mapp przeciwko stanowi Ohio, panie profesorze. U.S.643. 1961.

— Bardzo dobrze. — Uśmiechnąłem się i wetknąłem sobie gazetę pod pachę. — Ja też mam akcje.

Wkrótce potem zabrzączał się dzwonek. Podeszło do mnie kilku studentów z pytaniami w sprawach formalnych. Potem sala opustoszała i zostałem sam.

Sam siebie okłamujesz, Nick. Chcesz biec, ale sił ci nie starcza.

Tu nie chodziło o jakiegoś studencika sprawdzającego przeprowadzonych przeze mnie zajęciach stan swoich finansów. Ani o czwartą poprawkę, ani o metodologię pracy policji. Nie chodziło nawet o ten zamknięty, mroczny zakątek wszechświata, w który wdryfowałem, udając, że układam sobie nowe życie.

Nie. Rozłożyłem gazetę i w oczy rzucił mi się od razu jeden z nagłówek. Wyglądałem go od pięciu miesięcy.

OJCIEC CHRZESTNY, ODSŁONA II

Wielkimi literami.

Niedokończona sprawa — ot, co mnie gnębiło. Za tydzień wznawiano proces Cavella.

Rozdział 47

Starła się, jak mogła dojsć do siebie po tej osobistej tragedii, ale była to walka ciężka i prowadzona w osamotnieniu. I długa. I w zasadzie nie do wygrania. Jednak zaczynała powoli przynosić efekty.

Przez jakiś czas mieszkała z nią siostra, Rita. Andie miała pękniętą śledzionę, zapadnięte jedno płuco, liczne krwotoki wewnętrzne oraz poparzone nogi i ramiona. Ale te obrażenia szybko się goiły. Najgorszy do zaleczenia był ból po stracie. Ilekroć zajrzała do pokoju Jarroda, czuła jego zapach, którym przesiąkły książki, zabawki, piżama, poduszki.

No i ten gniew, którym dzień w dzień kipiła. Ta wściekłość, że jego zabójcy nie zostali dotąd doprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości. Pomimo że wszyscy wiedzieli, kto za tym mordem stał — Cavello! A sukinsynowi nie postawiono nawet zarzutu. Chodziło jej już nawet po głowie, żeby dostać się jakoś do jego celi i samej wymierzyć sprawiedliwość.

Nadszedł wreszcie taki dzień, kiedy odważyła się pozbyć części rzeczy Jarroda. Zapakowała je do pudeł, nie uroniwszy jednej łezki. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Poprosiła koronera o wycięcie fragmentu koszulki Knicksów, którą Jarrod miał tamtego dnia na sobie. Nosiła ten fragment w torebce.

MARBURY

3

Swój powrót do normalnego życia rozpoczynała od rzeczy najprostszych. Robienia korekt, chodzenia do kina. Zupełnie jakby od nowa uczyła się stawiać pierwsze kroki. Wmawiała sobie, że dobrze robi. Że życie mimo wszystko nie jest wcale takie złe.

Po jakimś czasie zaczęła znowu czytać gazety i oglądać telewizyjne wiadomości. Pewnego dnia sięgnęła nawet po „Variety”. Kilka tygodni później zadzwoniła do swojego agenta.

I pięć miesięcy po tragedii stanęła znowu przed drzwiami studia castingowego przy Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Ogłoszono właśnie nabór do rólki w jakiejś reklamie Cialis. Wystarczyło wyglądać na mniej więcej czterdzieści lat i w miarę seksownie się prezentować — coś dla niej.

— Idź — poradził jej agent. — Sprawdź się.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak stremowana. Zupełnie jakby pierwszy raz miała wziąć udział w castingu. Zbyt wielka odmiana. Jakoś nie wypada. O wiele za wcześnie.

Z windy za jej plecami wysiadła ładna blondynka.

— Wchodzi pani?

— Nie. — Andie pokręciła głową. Zalała ją fala paniki, ścisnęło w piersiach. Brakło jej tchu.

Nie czekała nawet na windę, zbiegła po schodach i wypadła na Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Nogi miała jak z waty, kolana się pod nią ugiwały. Z lubością wciągnęła w płuca głęboki haust powietrza.

To ci nigdy nie przejdzie, Andie. Zawsze będzie z tobą. Musisz nauczyć się z tym żyć.

Przechodnie zerkali na nią ukradkowo. Uświadomiła sobie, jak musi wyglądać.

Oparła się o zimną ścianę budynku, raz odetchnęła głęboko, a potem wsunęła rękę do torebki i namacała fragment koszulki Jarroda.

Zawsze będziesz przy mnie.

Weszła z powrotem do budynku, wjechała windą na trzecie

piętro i stanęła znowu przed drzwiami studia. Tuląc do piersi portfolio, głęboko odetchnęła. Trudne to było. Cholernie trudne.

Minęła się w drzwiach z jakąś wyraźnie rozczarowaną kobietą. Dobrze znała ten wyraz twarzy. Podeszła do recepcjonistki.

— Nazywam się Andie DeGrasse. Przyszłam na casting.

Rozdział 48

Przygryzając wargę, obserwowałem z klatki schodowej budynku po drugiej stronie Sto Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy wracającą do domu Andie DeGrasse. Wołałem jej się nie pokazywać. Strach pomyśleć, do czego mogłoby dojść, gdyby mnie jednak zauważyła.

Nawet ładnie wyglądała. Elegancko ubrana, z dużym portfolio pod pachą. Na pierwszy rzut oka można by odnieść wrażenie, że najgorsze ma już za sobą. Ale ja dobrze wiedziałem, co nadal przeżywa.

Przechodziłem tędy od czasu do czasu, sam właściwie nie wiedząc po co.

Może żeby uspokoić sumienie podtrzymywaniem kontaktu z kimś, kto jednak uszedł z życiem. Kilka razy wszedłem Bawet na górę i zapukałem do jej drzwi. Powiedziałem „cześć” albo „przyniosłem coś” — czyli garść informacji o postępach śledztwa. Zabawiałem przeważnie parę chwil, udając, że to oficjalna wizyta, a ja mam jej do przekazania coś, co nie da się ubrać w słowa. Miło było z kimś porozmawiać. Od czasu rozpoczęcia procesu prawie z nikim się nie spotykałem.

A może znowu sam siebie oszukiwałem. Może to po prostu sama Andie DeGrasse tak mnie intrygowała. Zazdrościłem jej samozaparcia, z jakim starała się poskładać swoje życie z powrotem do kupy po tym, co się wydarzyło. Byłem jej

wdzięczny, że ani razu nie wysunęła pod moim adresem żadnych pretensji, chociaż miała do tego wszelkie prawo — że nigdy nie spojrzała na mnie z płomieniem oskarżenia w oczach.

Może też przyczyniała się do tego świadomość, że mamy ze sobą coś wspólnego: już nigdy nie będziemy tacy jak dawniej. Mnie się tak przynajmniej wydawało.

Obserwowałem ją więc, jak wstępuje po schodkach do holu swojej kamienicy i otwiera kluczem wewnętrzne drzwi. Zajrzała do skrzynki pocztowej, upchnęła pod pachę kilka kopert i czasopism i zniknęła mi z pola widzenia. Chwilę później zapaliło się światło w oknach jej mieszkania. Co ja wyprawiam, bawię się w podglądacza? Nie, to nie to.

Przeszedłem w końcu na drugą stronę ulicy. Z kamienicy wychodził właśnie jakiś lokator. Udałem, że szukam kluczy po kieszeniach płaszcza, i w ostatnim momencie przytrzymałem zamykające się za nim automatycznie drzwi.

Zajmowała lokal 2B na pierwszym piętrze, z oknami od ulicy. Przypomniał mi się tamten wieczór, kiedy izolowaliśmy łąkę przysięgłych. Znieruchomiałem na kilka sekund przed jej drzwiami. Powiem, że co mnie sprowadza? Unosiłem już rękę, żeby zapukać, i nagle dotarło do mnie z całą mocą, że to przecież dziecinada, sztubackie podchody.

Cofnąłem się szybko i miałem już zrobić w tył zwrot, kiedy drzwi się otworzyły.

W progu stała Andie.

Rozdział 49

Miała na sobie popielatobłękitny sweterek, była boso, w rękę trzymała czarną plastikową torbę ze śmieciami. Zaskoczył ją mój widok.

— Och!

Próbowałem udawać równie zaskoczonego — zresztą nie musiałem się o to zbytnio starać.

— Wpadłem coś pani podzucić — wybąkałem, pokazując książkę, którą ze sobą przyniosłem. — Ja już ją przeczytałem. Chciałem ją pani pożyczyć. To znaczy, podarować.

— Don Miguel Ruiz. Cztery umowy. — Wyjęła książkę z brązowej koperty i pokiwała głową. — „Nie bierz niczego do siebie”, „Szanuj swoje słowo”. Już ją mam. Dostałam od siostry. Dobry wybór, agencie Pellisante.

— Rozwijam się. — Wzruszyłem ramionami. — I proszę mi mówić Nick.

— Z powodu tego rozwoju?

Uśmiechnąłem się.

— Jak leci?

— Byłam dzisiaj na przesłuchaniu. Do reklamówki Cialis. Wiesz, przychodzi w końcu taki moment.

— I jak poszło?

Uśmiechnęła się.

— Trudno powiedzieć. Miałam tylko wyglądać na w miarę seksowną babkę pod czterdziestkę. Coś z mojej półki, prawda? Ale przeczytałam swoją kwestię. To pierwszy raz... Rachunki trzeba płacić, nie?

Spojrzałam na nią ze zrozumieniem. Czasami nachodziła mnie pokusa objęcia jej i przytulenia. Tak po prostu, żeby wiedziała, że nie jest mi obojętna.

— Czyja wiem... jak na czterdziestolatkę wyglądasz kwitnąco. Szczerze.

— Do czterdziestki trochę mi jeszcze brakuje. — Uniosła brew i uśmiechnęła się. — Wróć za osiem lat, to podziękuję ci za ten komplement. A na razie... — Andie oparła się o framugę drzwi. — Jak tam na uniwersytecie?

Przed dwoma miesiącami napisałem do niej, że odchodzę z Biura i wracam na uczelnię. Wepchnąłem ręce głębiej w kieszenie płaszcza i wzruszyłem ramionami.

— Emocje nie te same co w poprzedniej pracy, ale przynajmniej nikt do mnie, jak na razie, nie strzela.

Andie znowu się uśmiechnęła.

— Słuchaj, Nick: albo wyrzucasz za mnie śmieci, wychodząc, albo wchodzisz do środka.

— Chętnie — mruknąłem.

— Chętnie co?

Przestąpiłem z nogi na nogę.

— Słyszałaś, że wznawiają proces? W przyszłym tygodniu zostanie wybrana nowa ława przysięgłych.

— Czytałam w gazecie.

— Znowu powołali mnie na świadka. Dowody są mocne. Tym razem go przywoźdzą.

Przyglądała mi się przez chwilę. Usta miała zaciśnięte, brązowe oczy ciskały błyskawice.

— To przyszedłeś mi zakomunikować?

— Nie. — Tyle obietnic już jej złożyłem, a żadnej nie dotrzymałem. Nie ujęliśmy dotąd ludzi, którzy zabili jej syna. Nie mieliśmy dowodów na to, że Cavello miał z tą zbrodnią

jakikolwiek związek. — Pomyślałem tylko, że może chciałabyś pójść ze mną na rozprawę. Cofnęła się o krok.

— Sama nie wiem. Nie wiem, jak bym się zachowała w obecności tego człowieka.

— Rozumiem. — Wyjąłem jej z ręki worek ze śmieciami. Tym gestem wyraziłem jasno swoją decyzję.

Uśmiechnęła się, jakby czytała w mych myślach.

— Nadal w służbie publicznej, co, Nick?

Wzruszyłem ramionami.

— Pracuję nad sobą.

Uśmiechnęła się.

— Hej, Pellisante — dobiegło mnie w połowie schodów jej wołanie. — Następnym razem stań może na wysokości zadania i wejdź, jak cię zapraszają.

Rozdział 50

Nazajutrz usiadłem za swoim biurkiem. W swoim gabinecie. W swoim mieszkaniu.

Robiłem to co zwykle w dni, w które nie miałem zajęć ze studentami ani wykładów. To, co robiłem od pięciu miesięcy w każdy wolny dzień: przekopywałem się przez wszystkie informacje w sprawie, jakie udało mi się zdobyć. Przez wszystkie dokumenty. Brałem pod lupę każdy strzęp zebranego materiału dowodowego.

W poszukiwaniu czegoś, co łączyłoby Dominica Cavella z wysadzeniem w powietrze autokaru.

Ktoś, kto zobaczyłby mój gabinet, moje zabałaganione biurko, pomyślałby pewnie, że znalazł się w legowisku jakiegoś owładniętego obsesją psychopaty. Boże jedyny! Gdzie tylko spojrzeć, poprzyklejane fotografie. Miejsca wybuchu. Furgonetki. Autokaru przysięgłych. Piętrzący się wysoko stos grubych opracowań FBI na temat rodzaju i ilości użytego materiału wybuchowego oraz sposobu jego odpalenia. Wywiady z przechodniami, którzy mogli widzieć i zapamiętać dwóch uciekających mężczyzn w roboczych kombinezonach.

Już nieraz zdawało mi się, że na coś natrafiłem. Na przykład skradzione tablice rejestracyjne stanu New Jersey doprowadziły do pewnego trenera koni, który miał powiązania z przestępczą rodziną Lucchese. Ale okazało się, że to tylko zbieg okoliczno-

ści. Nic z tego nie wynikło. Nie udało się stwierdzić, że był w jakikolwiek sposób powiązany z Dominikiem Cavellem albo jego ludźmi.

Kiedy, sącząc poranną kawę, przylapałem się w pewnej chwili na tym, że moje myśli dryfują ku Andie DeGrasse, zadzwonił telefon. Odebrałem.

— Pellisante.

To był Ray Hughes, agent, który zajął moje miejsce w C-10.

— O, Nick... — Zdawał się być zaskoczony faktem, że zastał mnie w domu. — Bardzo jesteś zajęty?

Spotykaliśmy się czasami na lunchu, żeby przekonsultować swoje problemy. Pomyślałem, że tym razem chce ze mną uzgodnić zeznania, jakie miałem złożyć podczas wznawianego procesu.

— W telewizji leci właśnie mój ulubiony sitcom, Ray, ale chyba mogę sobie darować ten odcinek. Zaraz do ciebie schodzę.

— Nie tutaj. W Teterboro czeka na nas rządowy samolot.

Jeśli Ray chciał mnie zaintrygować, to w pełni mu się to udało. Taki sam efekt przyniosłaby propozycja skonsumowania podeschniętej kanapki przy jego biurku w Javits Building.

— A dokąd tym samolotem lecimy, Ray?

Aktualny szef sekcji do walki z przestępczością zorganizowaną zawiesił na chwilę głos.

— Do Marion — usłyszałem w końcu.

Zerwałem się zza biurka, rozlewając niedopitą kawę na swoje robocze notatki.

Marion było więzieniem federalnym, w którym przetrzymywano Dominica Cavella.

Rozdział 51

Jakieś cztery godziny później rządowy lockheed wylądował na lotnisku w Carbondale w stanie Illinois. Czekał tam już na nas samochód, którym dojechaliśmy do więzienia federalnego Marion, ogromnej, ponurej fortecy z czerwonej cegły pośrodku moczarów na zupełnym odludziu. Był to jeden z największych federalnych zakładów karnych w Stanach Zjednoczonych. Po tym, co wydarzyło się w Nowym Jorku, władze wołały nie ryzykować z Cavellem, chociaż nie został jeszcze skazany.

Dyrektor Richard Bennifer zaprowadził nas na oddział o zaostrozonym rygorze, gdzie siedział Cavello. Była tam mała, przedzielona szybą, monitorowana przez kamerę salka widzeń. W kącie stał strażnik uzbrojony w paralizator. Trzymano tu dożywotników z karą co najmniej sześćdziesięciu lat, którzy już nigdy na wolność nie wyjdą. Humor mi się poprawił. Oczyma wyobraźni widziałem już Cavella dożywającego swych dni w takim jak to miejscu.

Ray Hughes i Joel Goldenberger pozostali na zewnątrz, ale mogli wszystko obserwować przez weneckie lustro. Ja wszedłem. Cavello już tam siedział. Był w pomarańczowym jednoczęściowym wdzianku, nogi miał skute w kostkach kajdanami. Zmizerniał i postarzał się od czasu, kiedy go ostatnio widziałem, szczęki porastała mu rzadka, siwa szpecina.

Został poinformowany o wizycie przedstawicieli strony rządowej, ale to nie była dla niego żadna nowina, bo często był

tu przez nich odwiedzany. Na mój widok zdębiał, ale zaraz ochłonął i uśmiechnął się do mnie jak do starego przyjaciela, za którym bardzo się stęsknił.

— Nicky, chłopie! — Odchylił się do tyłu razem z krzesłem. — Święto jakie czy co? A kto został z twoimi studenciakami?

Usiadłem naprzeciwko niego po drugiej stronie pancерnej szyby.

— Cześć, Dom. Jak szczęka?

— Pobolewa jeszcze. — Roześmiał się. — Wspominam cię, kiedy tylko myję zęby. — Obejrzał się na stojącego za nim strażnika. — Miej oko na tego gościa. Jak odwiedził mnie ostatnim razem w więzieniu, to potem przez parę miesięcy musieli mnie karmić przez słomkę. — Zachichotał. — To on powinien tu siedzieć, nie ja. Tak czy siak, dobrze wyglądasz, Nicky. Grywasz w golfa? Bo emeryturka ci się chyba kłania.

— Wzięli mnie z powrotem, Dom, na razie na jeden dzień. — Uśmiechnąłem się półgębkiem. — Żebym przekazał ci pewną wiadomość.

— Wiadomość, powiadasz? To się dobrze składa, bo jestem tu trochę odcięty od informacji. Kurczę, Nick, aż tak nisko upadłeś? Gońca sobie z ciebie zrobili? Ale nic, i tak się cieszę, że cię widzę. Lubię towarzystwo. Tylko zmizerniałeś mi jakoś. Pewnie przez tego chłopczyka, co? Jak ci się ostatnio sypia, hę?

Zacisnąłem mocno pięści. Wiedziałem, że znowu próbuje mnie sprowokować. Ale tym razem jego niedoczekanie.

— Sypiam dobrze, Dom.

— A co u tej laseczki? No wiesz, tej takiej ładnej, co była w tamtym autokarze. Słyszałem, że się jej upiekło. Chciałem jej przestać trochę kasy na otarcie łez. — Wzruszył ramionami. — Ale mój prawnik powiedział, że jak rozszyfrują, od kogo te pieniądze, to mi je odeślą. Wyobrażasz sobie? A ja chociaż raz chciałem zrobić coś przyzwoitego. Co za świat, co za ludzie?! Ale zaraz, panie goniec, jak na razie to tylko ja tu miałem ozorem, a pan siedzisz cicho. Jakież to wiadomości mi Pan przynosisz? Cały zamieniam się w słuch.

— Pomyśleliśmy sobie, że może cię zainteresuje, co zamierza rząd. A zamierza ci postawić dwa dodatkowe zarzuty.

— Jeszcze dwa? — Cavello westchnął teatralnie. — Ja już się całkiem w tym wszystkim pogubiłem.

— No to pomogę ci się odnaleźć, Dom. Chodzi o zabójstwo dwóch agentów specjalnych, Manny'ego Olivy i Eda Sinclaira.

Cavello ściągnął brwi.

— Myślę tak sobie i myślę... Czy ja ich w ogóle znam?

— Mamy narzędzie zbrodni, Dom. Znaleźli je w piasku poławiacze małży. Badania balistyczne nie pozostawiają żadnych wątpliwości. To pistolet, z którego zastrzelono obu agentów. Bekniesz za to, Dom. Masz to jak w banku.

Ironia malująca się dotąd na twarzy Cavella zaczynała ustępować z wolna miejsca wyrazowi poważnego zatroskania. To już nie były przelewki, zwłaszcza że odnalazło się narzędzie zbrodni.

— Poławiacze małży, powiadasz? Coś takiego. Minę masz taką, Pellisante, jakbyś los na loterii wygrał. W maliny mnie wpuszczasz, co?

— W malinach to ty się znajdziesz w przyszłym tygodniu, jak zacznie się proces, skurwielu. I mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. Proces odbędzie się w bazie wojskowej Fort Dix w New Jersey. Przy drzwiach zamkniętych. Pełna ochrona. Ława przysięgłych izolowana na czas procesu w bazie, personalia jej członków utajnione. Tym razem się do nich nie dobierzesz. Leżysz i kwiczysz, Dom. Za tymi drzwiami czeka prokurator krajowy Goldenberger, żeby ci przedstawić zarzuty. — Teraz to ja się uśmiechnąłem. Ponad dwa lata czekałem na tę chwilę. — Co ty na to, Dom?

Cavello podrapał się po zarośniętej brodzie.

— W bazie wojskowej, powiadasz. W Fort Dix. Czy to aby nie tam magazynują wszystkie materiały wybuchowe, Nickuś? To by ci dopiero był fajerwerk.

Rozdział 52

Richard Nordeshenko podszedł do opatrzonego napisem „Przylatujący” stanowiska służb imigracyjnych na nowojorskim lotnisku JFK. Wsunął przez szczelinę pod szybą paszport z wizą.

— Pan Kollich. — Czarny, zażywny urzędnik imigracyjny przekartkował wprawnie dokument i wystukał nazwisko na klawiaturze. — Poproszę o przyłożenie palca wskazującego do tego czytnika.

Nordeshenko zastosował się do polecenia. Powieka mu nawet nie drgnęła. Tym razem był Estończykiem. Nazywał się Stiepan Kollich. Farmaceuta. Urzędnik przeglądający jego paszport dowiódł się, że jest strudżonym podróżą biznesmenem, który nie po raz pierwszy odwiedza Stany Zjednoczone.

Pięciu ostatnich miesięcy Nordeshenko nie mógł zaliczyć do udanych. Pavel zachorował. Lekarz stwierdził grypę. Po jakimś czasie okazało się, że to cukrzyca. Po kilku miesiącach kuracji sytuacja została opanowana. Potem Nordeshence zaczęła dokuczać noga. Odzywała się stara rana od szrapnela odniesiona w Czeczenii. Dobijały go te długie podróże. Przystąpił niecierpliwie z nogi na nogę. Nawet buty musiał nosić specjalne.

I teraz abarot od nowa ta robota dla Cavella, którą uważał za wykonaną. Przecież tak dobrze poszło za pierwszym razem.

— W interesach czy turystycznie, panie Kollich? — spytał urzędnik imigracyjny, jeszcze raz porównując twarz ze zdjęcia w paszporcie z fizjonomią Nordeshenki.

— Jedno nie wyklucza drugiego — zauważył Nordeshenko.

Urzędnik uśmiechnął się.

Tym razem zanosilo się na rozpiarduchę na sto fajerek. Nordeshenko będzie musiał pójść na całość, włożyć w to całe swoje umiejętności. Plan miał już opracowany i wprowadził go w życie. Reichardt, Południowoafrykańczyk, był już w Nowym Jorku.

Staranne przygotowanie akcji to podstawa — tą zasadą wyrobił sobie reputację. I zero zleceń, których nie doprowadziłby do końca.

Urzędnik imigracyjny sięgnął po pieczętkę.

— Na długo do Stanów, panie Kollich?

— Na kilka dni. — Tutaj akurat nie skłamał.

Urzędnik podstemplował paszport, zebrał dokumenty, wysunął je przez szczelinę pod szybą i kiwnął głową.

— Witamy w Stanach Zjednoczonych, panie Kollich.

Rozdział 53

Zadzwoiłem do Andie DeGrasse.

— Są nowe ustalenia — oznajmiłem bez wstępów.

Chciałem jej zrelacjonować swoją wizytę u Cavella, powiedzieć o nowych zarzutach. Chciałem podtrzymać w niej nadzieję, że jeśli po tak długim czasie znaleźliśmy coś w sprawie Manny'ego i Eda, to i w sprawie ataku bombowego na autobus też jeszcze coś wypłynie. Tak przynajmniej tłumaczyłem sobie ten telefon. A prawda była taka, że od kilku dni dużo o niej myślałem. Prawda była taka, że chciałem ją znowu zobaczyć.

— Lubisz paellę, Pellisante? — spytała Andie, kiedy przekazałem jej już wszystko, co miałem do przekazania.

— Jeszcze jak — ożywiłem się. Kiedy byłem jeszcze z Ellen, bez ceregieli zakasywałem w weekendy rękawy i własnoręcznie przyrządzałem dla nas kolację. — Za dobrą paellę oddałbym konia z rzędem.

— To może spotkamy się jutro? Około siódmej? Opowiedziałbyś mi ze wszystkimi detalami, jak przebiegło to spotkanie z Cavellem. Bardzo jestem ciekawa.

— Dobrze, jutro — wybąkałem zaskoczony tym zaproszeniem.

— I jeszcze jedno, Pellisante — dorzuciła Andie—przyprowadź od razu tego konia z rzędem, bo moja paella to niebo w gębie.

Słuchawkę odkładałem z rozanielonym uśmiechem. Pierwszym takim od dłuższego czasu.

Rozdział 54

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Po części winna była temu Andie, po części nieopuszczająca mnie wciąż euforia, w jaką wprawiły mnie odwiedziny u Cavella w Marion.

Tyle czasu żyłem w przekonaniu, że zabójstwo dwóch moich najlepszych przyjaciół ujdzie mu płazem. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Wracając z Marion, zadzwoniłem z pokładu samolotu do żon Manny'ego i Eda. Powiedziałem im, że ten sukinsyn odpowie wreszcie przed sądem za zamordowanie ich mężów.

Byłem podminowany — senność zupełnie mnie opuściła. Po raz pierwszy od miesiący. Po poczuciu winy i wstydu, które dręczyło mnie od chwili, kiedy przysięgli zajęli miejsca w autokarze, pozostało już tylko wspomnienie. Musi być coś, co pozwoliłoby powiązać Cavella z tą eksplozją, powtarzałem sobie. Trzeba tylko zmienić tok rozumowania.

I nagle mnie oświeciło. Była równo druga na ranem, kiedy mój zamulony, buksujący umysł ni z tego, ni z owego wszedł na obroty. Zerwałem się z łóżka, wpadłem do gabinetu i rzuciłem się do gorączkowego wertowania stosu teczek z opracowaniami FBI piętrzącego się na moim biurku.

Szukałeś nie tam gdzie trzeba, Nick.

ŁŁD. Improwizowany Ładunek Wybuchowy. Bomba własnej roboty. To był klucz.

Jest! Teczka z ekspertyzą użytych materiałów wybuchowych. Przeglądałem ją już, pamiętałem z grubsza treść. Furgonetka wyladowana była ponad trzynastoma kilogramami C-4. A wystarczyłaby jedna dziesiąta tego. Zdobycie takiej ilości plastiku to nie w kij dmuchał.

To nie była robota pospolitych przestępców, Nick. To podpada pod terroryzm.

Moi koledzy z C-10 przesłuchali wszystkich nawróconych i informatorów z listy, i nie natrafili na żaden ślad, który wskazywałby na ludzi, których do tego rodzaju roboty wynajmował zwykle Cavello. Tutaj potrzebna była koordynacja o wiele bardziej wyrafinowana niż w zamachach, które zlecał do tej pory. Prekursorami zastosowanej tu techniki byli Czczeni.

A jeśli to rosyjska mafia?

Gdzieś w tym stosie teczek była i taka, w której znajdowało się przygotowane przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego zestawienie znanych przestępców przebywających prawdopodobnie w Stanach w czasie, kiedy doszło do zamachu.

Znalazłem ją i zacząłem od nowa przewracać strony ze zdjęciami osobników o twarzach bez wyrazu i z obco brzmiącymi nazwiskami. Andie twierdziła, że widziała uciekającego mężczyznę w baseballówce, spod której wystawały długie blond włosy. Czemu nie? A jeśli zamachu dokonała rosyjska mafia?

Siergiej Ogiłow nadal był szefem szefów w Brighton Bridge. Miałem z nim na pieńku — zapuszkowałem albo doprowadziłem do deportacji niejednego z jego ludzi. Ale chyba zgodzi się na rozmowę.

Mało prawdopodobne, ale co mi szkodzi sprawdzić tę hipotezę.

Prawdopodobieństwo odnalezienia pistoletu Dominica Cavella też było minimalne, a jednak się znalazł.

Rozdział 55

Monica Ann Romano była w trakcie odbywania najwspanialszego w swoim życiu stosunku płciowego. Inna sprawa, że lista jej dotychczasowych partnerów seksualnych nie była zbyt długa. Mężczyzna, którego poznała w restauracji, gdzie po pracy wpadła z przyjaciółmi na drinka, brał ją od tyłu. Był bardzo dobry, przynajmniej z jej punktu widzenia. Pozbawieni erotycznej wyobraźni księgowi i prawnicy, z którymi do tej pory sypiała, kończyli w dwie minuty i byli równie stremowani i niedoświadczeni jak ona. Do pięt mu nie dorastali.

— Jak ci, kotku? — sapnął. — Dobrze? Lubisz tak?

— O, tak, tak — wydyszała Monica. Czy musiała odpowiadać? Czuła zbliżający się orgazm. Już trzeci z rzędu.

O wiele za długo wracała z pracy sama, robiła kolację chorej matce, a potem do późnego wieczora oglądała z nią telewizję. Skończyła niedawno trzydzieści osiem lat. Zdawała sobie sprawę, że przybrała na wadze i praktycznie nikt się już za nią nie ogląda. Aż do dzisiaj była pogodzona z myślą, że nikogo sobie nie znajdzie.

A tu raptem — Karl.

Nadal nie chciało jej się wierzyć, że zwrócił na nią uwagę ktoś tak przystojny i światowy. Że ten wysoki, blondwłosy Europejczyk o seksownym akcencie spośród tłumu atrakcyjnych prawniczek i urzędniczek wybrał właśnie ją. Powiedział, że

jest Holendrem, ale jej było właściwie wszystko jedno, skąd przybywa. Liczyło się tylko to, gdzie był teraz — a był jakieś dwadzieścia centymetrów w niej.

Karl, zdyszany, zwiotczały i spocony, zsunął się z niej w końcu i przekreślił na wznak. Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i odgarnął włosy z twarzy.

— Jak było? Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziona?

— Było idealnie. — Monica westchnęła. — Poleciałabym cię paru koleżankom z biura, ale ani myślę dzielić się tobą z kimkolwiek.

— Nie chcesz się mną dzielić? — Uśmiechnął się. — Ach, ty samolubna syrenko. A wiesz, co ja na to?

— Co? — uśmiechnęła się. — Ty też nie chcesz się mną z nikim dzielić?

— Oto, co ja na to.

Ni z tego, ni z owego wbił jej kciuk w szyję. Szok usztywnił jej kręgosłup, ból był nie do zniesienia.

Karl ściągnął ją z łóżka. Monice oczy wychodziły z orbit. Przestań, to boli, chciała krzyknąć, ale z jej krtani wydobyło się tylko obrzydliwe charczenie. Spróbowała mu się wyrwać. Nic z tego. Dlaczego mi to robisz?

— Wiesz, co ci powiem, Monico? — Odgarnął z czoła długie jasne włosy. — Otóż cieszę się, że ci dogodziłem, Monico. Ale figle figlami. Teraz ty, dla odmiany, zrobisz coś dla mnie. Coś trochę poważniejszego. Coś... bardziej podniecającego.

Rozdział 56

— Pracujesz w sądzie federalnym, tak?

Ścisnął ją wciąż za szyję żelaznym chwytem. Monice brakło już tchu.

— Ttak... — wykrztusiła.

— I bardzo dobrze. — Karl kiwnął głową i poluznił nieco uścisk. — Założę się, że nie od wczoraj, mam rację? Znasz tam wszystkich. Te wszystkie inne tłuste krowy? Wszystkich pracowników ochrony? — Znowu zacisnął palce na jej szyi i Monice oczy wyszły na wierzch, a po policzkach pociekły łzy. — Znasz ich, Monico, prawda?

Pokiwała głową, płuca zaraz jej eksplodują. Tak, zna ich wszystkich. Widywała ich każdego ranka i popołudnia. Jeden z nich, Pablo, zawsze ją wesoło zagadywał, bo tak jak on lubiła Mike'a Piazzę i kibicowała Metsom.

— Dobra dziewczynka — mruknął Karl i wspaniałomyślnie pozwolił jej zaczerpnąć haust życiodajnego powietrza. — Ludzie ci tam ufają, prawda, Monico? Nie opuściłaś ani jednego dnia. Opiekujesz się matką w swoim małym domku w Queens. Musisz czuć się bardzo samotna, wracając dzień w dzień do domu, przygotowując jej papu, regulując dopływ tlenu. Wożąc biedną staruszkę do lekarza.

Po co on to mówi? Skąd tyle o niej wie?

Karl sięgnął wolą ręką do szuflady nocnej szafki i coś z niej wyciągnął. Co?

Fotografie! Podsunął ją jej pod sam nos. Przedstawiała jej matkę! Przed ich domem w Queens. Z pomocą Moniki schodziła z balkonikiem po schodkach. O co tu chodzi?

— Rozedma płuc? — Pokiwał współczująco głową. — Bidula, ma trudności z oddychaniem. Jaki los ją czeka, kiedy nie będzie miał kto się nią zająć. — Wbił znowu kciuk w szyję Moniki. Zimny prąd przebiegł jej po kręgosłupie.

— Czego ode mnie chcesz? — wyrzęziła. Ból rozrywał jej klatkę piersiową.

— Pracujesz w gmachu sądu. — Jego wodniste oczy pały złym blaskiem. — A ja muszę coś tam wnieść. Tobie nie sprawi to żadnych trudności. Bułka z masłem, jak to się mówi.

Do Moniki dotarło wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. A ona, idiotka, uwierzyła, że ten zbir się w niej zadurzył.

— Nie mogę. Tam jest ochrona.

— Naturalnie, że jest. — Karl uśmiechnął się i znowu zacisnął palce na jej szyi. — Dlatego właśnie zwracamy się z tym do ciebie, Monico.

Rozdział 57

Na widok otwierającej mi drzwi Andie oniemiałem z zachwytu. Wyglądała wprost rewelacyjnie. Była w czerwonym sweterku zapinanym na zamek błyskawiczny i spranych dżinsach. Włosy miała spięte z tyłu głowy spinką, na policzki opadało jej kilka niesfornych kosmyków. Oczy jej błyszczały — i mówiły, że cieszy je mój widok. Tak samo jak moje oczy jej widok.

— Znajomy zapach — wybąkałem, wciągając w nozdrza aromat mięczaków z pomidorami i szafranem. Zapowiadała się paella, że palce lizać.

— Nareszcie nie będę musiała przyłapywać cię na szwendaniu się pod domem — powiedziała z uśmiechem.

— Na obserwacji. To elegantsze określenie — mruknąłem, wręczając jej butelkę hiszpańskiego wina z okręgu Rioja.

— Obserwujesz mnie? A z jakiego to powodu?

— Powiedzmy, że o tym chciałem porozmawiać, przyjmując twoje zaproszenie.

— No to śmiało, zaczynaj. — Zatrzepotała z uśmiechem rzesami.

Jestem teraz przekonany, że przez sekundę usiłowałem sobie przypomnieć, jakie wrażenie robiła na mnie na procesie, gdy siedziała w boksie dla przysięgłych w tym swoim zwariowanym T-shircie, zanim doszło co do czego. Nasze spojrzenia kilka

razy się wówczas skrzyżowały. Chyba oboje się w tych momentach płoniliśmy. W każdym razie na pewno nieraz któreś z nas, jeśli nie oboje, uciekało spojrzeniem w bok.

— Mam akurat na ruszcie trochę zakąsek. Rozgość się.

Dała nura z powrotem do kuchni, a ja wszedłem do niewielkiego, gustownie urządzonego living roomu. Stała tam obita kwiecistą tkaniną sofa i mały stolik, na którym leżały numery „Architectural Digest” oraz „In Style”. Kieszonkowe wydanie Kochanie króla Philippy Gregory. Rozpoznałem muzykę, która leciała z odtwarzacza. Coltrane. Podszedłem do półki z książkami i wziąłem z niej płytę CD. A Love Supreme.

— Nieźle — pochwaliłem. — Kiedyś sam grałem trochę na saksofonie. Ale to było dawno temu.

— To znaczy kiedy? — zawołała z kuchni. — W latach pięćdziesiątych?

Wszedłem tam i usiadłem do stołu przy ladzie.

— Bardzo śmieszne.

Przesunęła w moim kierunku talerz z ptysiami nadziewanymi serem i empanadasami, czyli pysznymi pierożkami hiszpańskimi.

— Częstuj się. Czym chata bogata.

Nadziałem ptysia na wykałaczkę.

— Pycha.

Nalała mi z otwartej już butelki kieliszek pinot grigio i usiadła naprzeciwko.

Pachniała świeżością, kwiatami — lawendą, morelą, sam nie wiem. Czymkolwiek to miało być — kolacją, randką, spotkaniem informacyjnym w sprawie Cavella — podobało mi się już bardziej, niż chyba powinno.

Andie się uśmiechnęła.

— Hm, coś się nam rozmowa nie klei, prawda?

— Na wszelki wypadek nie gasiłem silnika w samochodzie.

— Na wypadek, gdybym zaczęła histeryzować.

— Na wypadek, gdyby nie smakowała mi twoja paella. Andie roześmiała się.

— Masz refleks. — Uniosła do ust kieliszek. — Mam nadzieję, że przynosisz mi dobre wiadomości.

— Bardzo dobre. — Stuknęliśmy się kieliszkami. — Tym razem Cavello już się nie wywinie. — Nagle relacjonowanie spotkania z gangsterem wydało mi się, nie wiem czemu, nie na miejscu. Jak do tej pory łączył nas tylko ten straszny proces. Znowu zaległo niezręczne milczenie. Upiliśmy po łyčku wina. Andie uśmiechnęła się i dała mi odpust.

— Nie musimy o tym rozmawiać. Możemy porozmawiać o twojej pracy na uniwerku. Albo o tym, co się wyprawia w Iraku. Albo o drużynie Yankees i tej, pozał się Boże, formie, jaką ostatnio reprezentują.

Przy kolacji zdecydowałem się jednak powiedzieć jej coś więcej o swoim spotkaniu z Cavellem. Świadomość, że ten sukinsyn będzie musiał jednak za coś odpowiedzieć, podniosła ją chyba na duchu. I paella była dokładnie taka, jaką lubię.

Potem pomogłem jej w sprzątaniu, wstawiając naczynia do zlewu. Ale pozmywać już mi nie pozwoliła. Powiedziała, że robi to później sama, i wstawiła wodę na kawę.

Stała plecami do mnie. Rozmawialiśmy o jej aktorstwie, kiedy naraz zobaczyłem na kuchennej ladzie fotografię. Ona z synem. Obejmowała chłopca za szyję, oboje byli uśmiechnięci. Miłość. Wyglądali na najszczęśliwszych pod słońcem.

Kiedy podniosłem wzrok, Andie patrzyła na mnie.

— Nie obraż się, Nick, że pytam, ale czemu wciąż tu przychodzisz? Co chcesz mi powiedzieć?

Zaskoczyła mnie.

— Sam nie wiem...

— Chcesz powiedzieć, że to boli? Tyle wiem sama. — Oczy jej błyszczały. — Chcesz powiedzieć, że żałujesz, jak bardzo nie możesz nic w tej sprawie zrobić?

— Nie wiem, co chcę powiedzieć, Andie. Wiem tylko, że chcę tu przychodzić i cię widywać.

I chciałem ją również przytulić. Chyba jeszcze nigdy tak nie pragnąłem wziąć kogoś w ramiona. I wydaje mi się, że ona też

tego chciała. Stała oparta o kuchenną ladę i patrzyła na mnie dziwnie.

W końcu się uśmiechnęła.

— Samochód nadal na chodzie?

Kiwnąłem głową. W ciągu ostatniej minuty temperatura w kuchni podskoczyła o dobrych kilkanaście stopni.

— Nie zrozum mnie źle, ale chyba podziękuję za tę kawę.

— Trudno. — Andie westchnęła. — Jak chcesz. Zabram z krzesła marynarkę, Andie odprowadziła mnie do drzwi.

— Wszystko było wyśmienite — powiedziałem. — Jak w reklamie. — Wziąłem ją za rękę i przytrzymałem chwilę. — A przychodzę, bo dobrze się czuję w twoim towarzystwie. Potrafisz mnie rozśmieszyć, a to od paru miesięcy jakoś się nikomu nie udaje.

— Wiesz, Nick, masz nawet miły uśmiech, kiedy się zapomnisz. Ktoś ci już to powiedział?

Sięgnąłem do klamki.

— Już dawno nie.

Zamknęła za mną drzwi. Spieprzyłeś sprawę, Nick, pomyślałem, odwracając się. Miałem ochotę powiedzieć to głośno, ale powstrzymało mnie podejrzenie, że ona nadal stoi po drugiej stronie drzwi. Prawie wyczuwałem jej bliskość.

I nagle usłyszałem:

— Co się stało, to się nie odstanie, Nick. Świat nie zmieni się na lepsze tylko dlatego, że ty byś tak chciał.

Odwróciłem się i przyłożyłem dłoń do zamkniętych drzwi.

— Próbować nie zaszkodzi.

Rozdział 58

Richard Nordeshenko z kamienną twarzą zajął pod zakryte karty, które wziął przed chwilą ze stołu. Para trójek. Gracz siedzący naprzeciwko, mężczyzna w czarnej koszuli i kaszmirowym blezerze, któremu przez ramię zaglądał przystojny towarzysz, rzucił do puli dwa tysiące dolarów. Trzeci gracz przebił.

Nordeshenko postanowił wejść do gry. Był dzisiaj do przodu. Zdecydowanie. Jutro zaczyna pracę. Postawi wszystko na jedną kartę. Wóz albo przewóz.

Rozdający odsłonił trzy karty: dwójka, dziewiątka trefl, czwórka. Nikomu to na pozór nie przypasało. Kaszmirowy blezer puścił oko do przyjaciela. Od początku podbijał stawkę.

— Cztery tysiące.

Nordeshenko szacował go na cztery trefle, podejrzewał, że idzie na kolor. Ku jego zaskoczeniu drugi gracz też przebił. Był potężnie zbudowany, milkliwy, nosił ciemne okulary. Trudno go było rozszyfrować. Wielkimi łapskami zadziwiająco wprawnie odliczył żetony.

— I jeszcze cztery tysiące — mruknął, przesuwając dwa słupki czarnych krążków na środek stołu.

Dobre przebicie, pochwalił go w myślach Nordeshenko. Wykosić trzeciego gracza — w tym przypadku jego. Ale on nie zamierzał pasować. Miał przeczucie. Dzisiaj wszystko układało się po jego myśli.

— Wchodzę. — Ustawił słupek z ośmiu czarnych żetonów i dosunął go do puli.

Rozdający odsłonił kolejne cztery karty. Tym razem była wśród nich para. Facet idący na kolor sprawdził. Przyszła kolej na zwalistego. Następne cztery tysiące. Nordeshenko przebił. Ku jego zdumieniu Kaszmirowy Blezer pozostał w grze.

W puli było teraz ponad czterdzieści tysięcy dolarów.

Rozdający odkrył ostatnią kartę. Szóstka pik. Zdaniem Nordeshenki nikomu nic nie dawała, ale miał jeszcze w pamięci, jaka przykra siurpryza go spotkała, kiedy był tu ostatnim razem. Poczł uderzenie adrenaliny.

Mężczyzna z przyjacielem wydał policzki.

— Osiem tysięcy!

Paru kibicujących zamruczało. Co on, u diabła, wyprawia? Przez cały wieczór podbija stawkę. Ale teraz chyba przegiął.

Zwalisty gracz bawił się żetonami. Nordeshence przemknęło przez myśl, że w pierwszym, zakrytym rozdaniu mogła mu wpaść para. Wyższa para. Facet sprawiał wrażenie przekonanego, że ma na ręku najlepszą kartę przy stole.

— Osiem tysięcy. — Kiwnął głową, układając dwa równe súpki po osiem czarnych żetonów każdy. — I jeszcze osiem.

Teraz pomruki przeszły w ciche okrzyki podniecenia. Nordeshenko złączył przed sobą czubkami palce obu dłoni i odechnął głęboko. Zwalisty najwyraźniej starał się wyrugować go z gry. I robił to przez dziewięćdziesiąt procent czasu jej trwania. To było widać. Jego niedoczekanie.

Nordeshenko czuł dzisiaj w sobie tę swoistą moc. Niebawem rzuca na szalę życie. Cóż będą znaczyły wszystkie pieniądze świata, jeśli noga mu się powinie? To dawało mu wolność Wyboru. Zresztą był niemal pewien, że idealnie rozpracował swoich przeciwników przy stole.

— To może dolejemy jeszcze co nieco oliwy do ognia? — zapytał. — Oto osiem pańskich tysięcy. — Spojrzał na Kaszmirowego Blezera. — I pańskich — dorzucił, przenosząc Wzrok na mężczyznę w ciemnych okularach i dosuwając

jednocześnie do żetonów piętrzących się pośrodku stołu kolejny słupek czarnych żetonów, a potem podwajając ostentacyjnie jego wysokość. — I jeszcze szesnaście.

Wokół stolika zaległa martwa cisza. W puli leżało teraz sto tysięcy dolarów!

Tylko stalowe nerwy pozwalają zachować zimną krew pod presją. Nerwy i instynkt. Szósty zmysł. To właśnie czyniło go najlepszym w branży. Nordeshenko patrzył beznamiętnie na mężczyznę w czarnych okularach. Niezdecydowanie? Strach?

Kaszirowy Blezer wymiękł. Czuł się wyraźnie jak idiota. Lepiej rzucić karty na stół, nie pokazując ich, niż zrobić z siebie jeszcze większego durnia.

— Ja odpadam — mruknął.

— Blefujesz pan — warknął Zwalisty, przeżykając z trudem. Przewiercał Nordeshenkę wzrokiem poprzez szkła ciemnych okularów.

Nordeshenko wzruszył ramionami.

— Grajmy dalej, to się okaże. — Był już przekonany, że mężczyźnie wystarczyłoby zrównoważyć swoimi żetonami pulę, a zgarnąłby całą.

Nie zrobił tego.

— Pokaż pan, co tam masz — wywarczał, odkrywając swoje karty. Para szóstek.

Nordeshenko pokazał swoją niższą parę.

— No i miał pan rację.

Rozległy się okrzyki. Rozdający pchnął w jego stronę górę żetonów. Wygrał ponad siedemdziesiąt tysięcy dolarów!

Co ważniejsze, odszyfrował prawidłowo każdy grymas, każdy manieryzm. To dobry znak. Przed jutrzejszym.

Bo jutro zaczyna się prawdziwa gra.

Rozdział 59

O dziesiątej rano na salę rozpraw sędziego Roberta Barnetta wprowadzono Dominica Cavella.

Eskortowało go czterech strażników. Jeszcze kilku stało w równych odstępach pod ścianami sali. Było to wstępne przesłuchanie, jeszcze przy Folley Square. Prawnicy Cavella starali się podważyć wszystkie dowody świadczące, że ich klient zamordował Manny'ego Olivę i Eda Sinclaira. Zażądali tego przesłuchania w celu ustalenia, czy są to dowody uprawnione, ale ja nie wątpiłem, że sędzia z miejsca dopatry się w ich taktyce gry na zwłokę.

Wprowadzany na salę Cavello odstawiał, jak to on, zupełnego luzaka. Mijając Joela Goldenbergera, pozdrowił go wesołym „Cześć”, spytał co u żony, jak dzieci. Z jednym ze strażników podzielił się uwagą, że w tym roku Metsi stanowią wreszcie zgraną drużynę. Dostrzegłszy mnie w tylnym rzędzie, puścił do mnie oko jak do starego kumpla. Patrząc na faceta, można było odnieść wrażenie, że to ktoś, kto popełnił jakieś drobne wykroczenie drogowe, a nie bandyta przywieziony z izolowanego oddziału więzienia Marion, który być może wróci tom z dożywotnim wyrokiem.

Otworzyły się drzwi i na salę rozpraw wkroczył sędzia Barnett. Barnett miał opinię człowieka bezkompromisowego. Podczas studiów na uniwersytecie w Syracuse grał w uniwer-

syteckiej drużynie footballowej na pozycji ofensywnego skrzydłowego, potem służył w Wietnamie jako pilot myśliwski. Gdzieś miał media i ich prawo do wolnego dostępu do informacji, nie robiły na nim wrażenia teatralne popisy prawników Cavella. Orzekał już w dwóch sprawach wniesionych przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego po Jedenastym Września i w obu przypadkach wydał najwyższy dopuszczalny prawem wyrok. Lepszego sędziego nie mogliśmy sobie wymarzyć.

Niecierpliwym gestem dał wszystkim do zrozumienia, że mają usiąść.

— Sąd zapoznał się ze wszystkimi wnioskami obrony, panie Cavello — zagał, poprawiając na nosie okulary do czytania w czarnej oprawce — i nie dopatrywał się w nich niczego, co stwarzałoby podstawę do odroczenia tego procesu.

— Rozumiem, Wysoki Sądzie. — Oskarżony podniósł się bez pośpiechu, nie okazując po sobie żadnej reakcji na tę decyzję.

— Przesłuchania na okoliczność zarzutów stawianych panu przez rząd Stanów Zjednoczonych rozpoczną się w najbliższy poniedziałek o dziesiątej rano. Z mocy prawa jest pan uprawniony do udziału w posiedzeniu niejawnym, podczas którego wybierany będzie skład pańskiej ławy przysięgłych, i które odbędzie się na tej sali. Na zewnątrz nie ma prawa wypłynąć ani jedno nazwisko wybranych przysięgłych. Zostaną oni natychmiast przewiezieni do bazy wojskowej Fort Dix w stanie New Jersey, gdzie, jak już pan wie, będzie się toczył pański proces. Pan, podobnie jak przysięgli, zostanie tam internowany na czas jego trwania. Proces od początku do końca prowadzony będzie przy drzwiach zamkniętych. I jeszcze jedno, panie Cavello. — Sędzia spojrzał groźnie na oskarżonego.

— Słucham?

— Sąd ostrzega pana z tego miejsca i więcej nie będzie powtarzał. Jakakolwiek próba zakłócenia rozprawy — dajmy na to, przewrócenie szklanki z wodą — i będzie pan oglądał własny proces w telewizji sądowej. Czy oskarżony zrozumiał?

— Ani mi w głowie żadne zakłócanie, Wysoki Sądzie —
zachnął się Cavello.

— Panie Cavello, sąd nie pyta, co oskarżony ma w głowie. — W głosie sędziego pojawiły się nutki irytacji. — Pytanie brzmiało, czy oskarżony zrozumiał.

— Ależ naturalnie. — Dominic Cavello skłonił się z szacunkiem. — W stu procentach, Wysoki Sądzie.

Rozdział 60

Telefon dzwonił i dzwonił, a Monica Ann Romano siedziała bez ruchu na sofie. Bała się odebrać.

Domyślała się kto to. Bo któż inny dzwoniłby do niej w niedzielny wieczór o tak późnej porze? Karmiła się złudną nadzieją, że jeśli nie odbierze, to tamten da za wygraną. I wszystko wróci do stanu sprzed najwspanialszego aktu seksualnego, jaki w życiu odbyła.

Siedziała więc nieruchomo i patrzyła na dzwoniący telefon.

— No, odbierz wreszcie! — ponagliła ją matka. Oglądały telewizję, i to natarczywe dzwonicie zagłuszało fonię.

Monica, chcąc nie chcąc, wstała w końcu i wyszła z aparatem na korytarz. Ręce jej drżały.

— Ha... alo?

— Witaj, kotku. — Na dźwięk tego głosu krew zakrzepła jej w żyłach.

Jak mogła wplątać się w tę bryndzę? Jak mogła być tak beznadziejnie głupia i uwierzyć, że zrobiła na nim wrażenie? Powinna odłożyć teraz słuchawkę i zadzwonić na policję. Zrozumieliby; w pracy nadal by jej ufano. I postąpiłaby tak, gdyby nie matka, wmawiała sobie raz po raz. Tak by właśnie zrobiła!

— Czego chcesz? — warknęła.

— Kiedyś inaczej reagowałaś na mój głos, Monico —

rozległo się w słuchawce. — Ranisz mnie. Czego chcę? Tego samego co ty, Monico. Chcę, żebyście ty i twoja matka żyły długo i szczęśliwie.

— Daruj sobie te żalose teksty — wyszczała. — Mów, do czego ci jestem potrzebna.

— Wedle życzenia. — Ta rozmowa wyraźnie go bawiła. — Może spotkalibyśmy się na kawie jutro rano, zanim pójdziesz do pracy? W tym barku po drugiej stronie placu, gdzie się poznaliśmy? Powiedzmy punktualnie o ósmej trzydzieści. Tam ci wszystko zreferuję.

— Dobrze. — Ścisnęło ją w dołku. — Ale obiecaj mi, że to tylko ten raz.

— Bądź grzeczną dziewczynką, a nigdy więcej nie usłyszysz mego głosu. Ale jeden warunek, Monico. — Karl przybrał ton ojca upominającego knąbrne dziecko. — Żadnych numerów. Bo zrobię, co powiedziałem. Obiecuję. Szczerze mówiąc, gdybym tak nie wierzył, że okażesz się grzeczną dziewczynką, zrobiłbym to już teraz. No, wracaj do living roomu. Mamusia czeka.

Wbiegła do pokoju, w którym matka oglądała telewizję.

Za oknem rozbłyły reflektory samochodu. Potem ryknął klakson. Raz, drugi, trzeci... Monica zaczęła dygotać. Trzęsło nią tak, że niemal słyszała grzechot własnych kości.

Rozdział 61

Bardziej zaostrzonych środków bezpieczeństwa od tych, które zastosowano tego poniedziałkowego poranka, nie widziałem jeszcze na żadnym procesie. Ojciec chrzestny, Część II.

Wyglądało to na demonstrację siły ze strony organów ścigania. Dziesiątki policjantów, część w kamizelkach kuloodpornych, wyposażonych w sprzęt do tłumienia zamieszek i broń automatyczną, obsadzały zapory, którymi odgrodzono od świata Folley Square. Przed wejściem do gmachu sądu stała kolejka kandydatów na przysięgłych, policjanci z psami szkolonymi do wykrywania materiałów wybuchowych kursowali wzdłuż niej, sprawdzając dokumenty, zaglądnijąc do toreb. Na Worth Street parkowało kilkanaście furgonetek stacji telewizyjnych.

Wszystko jak z podręcznika, sam bym tego lepiej nie zorganizował. Ale w gmachu toczyło się aktualnie kilka innych procesów, każdy z prawnikami, świadkami, przysięgłymi, personelem pomocniczym, i tak dalej, i z tysiąca powodów coś mogło pójść nie tak.

Instynktownie zajrzałem do pokoju ochrony gmachu sądu usytuowanego na parterze. Strażnicy wpatrywali się w monitory przekazujące obrazy z kamer zainstalowanych na każdym piętrze, we wszystkich wejściach, przed windami, w podziemnym garażu i w łączącym gmach sądu z manhattańskim

więzieniem okręgowym korytarzu, którym miał być doprowadzony, a potem odprowadzony, Cavello. Próbowalem sobie wmawiać, iż nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

— Nick! Nick! — zawołał za mną ktoś, kiedy wracałem przez hol na salę rozpraw.

To była Andie. Przytrzymywali ją dwaj strażnicy. Machała do mnie.

— Nick, oni nie chcą mnie wypuścić!

Podszedłem do wejścia.

— W porządku — powiedziałem do strażnika, pokazując mu swoją legitymację. — Ona jest ze mną. Biorę na siebie odpowiedzialność.

Wyciągnąłem ją z kłębiącego się za drzwiami tłumu.

— Miałeś rację, Nick. Musiałam tu przyjść. Nie mogę stać z boku. Jeśli nie dla siebie, to robię to dla Jarroda.

— Przede mną nie musisz się tłumaczyć, Andie. Wystarczy, że jesteś.

Weszliśmy do jednej z wind i nacisnąłem guzik ósmego piętra. W kabinie było jeszcze kilka osób — dwoje prawników, stenotypistka sądowa. Jazda dłużyła się niemiłosiernie. Scisnąłem Andie za rękę.

— Hm — mruknęła. Tylko tyle.

Drzwi rozsunęły się wreszcie na ósmym piętrze. Odciągnąłem Andie na bok, przepuszczając innych wysiadających. A potem ją przytuliłem. Od wczoraj to za mną chodziło. I o mało jej nie pocałowałem. Wykazała się nie lada odwagą, przychodząc tutaj. Pokazując swoją twarz. Ale czułem, jak wali jej serce.

— W porządku, Andie. Cieszę się, że tu jesteś.

Pokazałem swoją legitymację strażnikowi stojącemu przy wejściu i wprowadziłem Andie na salę rozpraw. Było tu jeszcze pustawo. Dwaj strażnicy sądowi gawędzili o czymś, asystent prokuratora okręgowego rozkładał formularze wyboru ławy przysięgłych na stołach, za którymi zasiada niebawem prawnicy.

Andie nagle się rozkleiła.

— Wiesz, teraz, kiedy już tu jestem, straciłam pewność, czy dam radę.

— Usiądziemy tutaj — powiedziałem, sadzając ją w ostatnim rzędzie galerii. — Będę przy tobie, kiedy on wejdzie. Może mu nawet pomachamy.

— Tak, albo pokażemy środkowy palec.

Uścisnąłem jej dłoń.

— Spokojnie. Dowody są jeszcze mocniejsze niż za pierwszym razem. Niedługo go tu wprowadzą i wybierzemy dwunastu gniewnych ludzi. A potem wsadzimy go na resztę życia za kraty.

Rozdział 62

Monica Ann Romano domyślała się, co zawiera małe zawiniątko, które niosła, i zbierało jej się na wymioty.

Dostała je od mężczyzny, któremu kiedyś zaufała. Teraz. cała w nerwach, szła w kierunku gmachu sądu przez otoczony zaporami plac, okazując swoją legitymację policjantom na punktach kontrolnych. W całym swoim życiu nie była taka roztrzęsiona.

Stała wreszcie na końcu kolejki pracowników sądu. Zaglądano tu do każdej torby, teczki i torebki. Nawet prawnikom i ich asystentom. Monica wiedziała, kto zaszczyca dzisiaj ten gmach swoją obecnością: Dominic Cavello.

— Ale dzisiaj kocioł, słonko — zaświergotał Mike, wąsaty strażnik z holu, który przeprowadził ją przez kłębiący się tłum do kolejki personelu autoryzowanego.

— Uhu. — Monica pokiwała nerwowo głową. Uśmiechnęła się do kilku znajomych.

Stojący przed nią mężczyzna, prawnik z brodą i długimi włosami, otworzył teczkę. Zbliżała się jej kolej. Pablo, ten, który zawsze przekomarzał się z nią, wygłaszając rozmaite uszczypliwe uwagi na temat drużyny Metsów, przechwycił jej spłoszone spojrzenie i uśmiechnął się. Serce waliło jej jak młot. Zawiniątko ciążyło jak gruda ołowiu. A jeśli każą je rozpakować?

Poprzedzający ją prawnik zamknął teczkę i przeszedł. Znalazła się teraz oko w oko z Pablem. Czy słyszy, jak serce jej wali? Wstrzymała oddech i podeszła do bramki.

— Jak tam weekend, koleżanko? — Strażnik przejrzał po-bieżnie zawartość jej torebki. — Mecz Metsów się oglądało?

— A jakże. — Kiwnęła głową i zamknęła oczy, pewna, że zaraz zapiszczy przeraźliwie alarm. I to będzie jej koniec. Nie zapiszczał. Przeszła. Tak jak każdego innego dnia. Zalała ją fala ulgi. Dzięki Ci, Boże.

— Zobaczymy się na lunchu — powiedział Pablo.

Ruszyła spieszenie przed siebie.

— Hej, Monica! — zawołał za nią.

Zastygła w pół kroku, a potem odwróciła się powoli.

Strażnik puścił do niej oko.

— Twarzowy masz kapelusz.

Rozdział 63

Na sali rozpraw byli już prawnicy. Był również Cavello. Sędzia Barnett popatrzył na stremowanych, zdeprimowanych kandydatów na przysięgłych, których przed chwilą wprowadzono.

— Nie sądzę, żeby była na tej sali osoba, która by nie wiedziała, po co się tu zebraliśmy — zagaił.

Każdemu z kandydatów przypisano numer. Zajęli miejsca. Spojrzeli na wymizerowanego, siwowłosego mężczyznę, który, założywszy nogę na nogę, siedział przed nimi. I szybko, wyraźnie speszeni, jedno po drugim spuszczały oczy. To ten Cavello, mówiły ich miny.

Zerknąłem na Andie, która przed chwilą widziała, jak wprowadzają tego sukinsyna. Cavellowi zdjęto kajdanki. Rozejrzał się po sali i zatrzymał wzrok na Andie. Można było odnieść wrażenie, że spodziewał się ją tu zobaczyć. Pozdrowił ją lekkim skinieniem głowy.

Andie powieka nawet nie drgnęła. Jej oczy zdawały się mówić: „Teraz niczym mnie już nie zranisz”. Zaparła się, że nie da mu tej satysfakcji i nie okaże strachu. Zacisnęła dłonie na poręczy balustrady. W końcu odwróciła wzrok. Po chwili podniosła oczy i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się blade. W porządku; trzymam się. On idzie na dno.

— Nie sądzę również, by wśród obecnych znalazła się

osoba, która marzyła o znalezieniu się tutaj — ciągnął sędzia Barnett. — Niektórzy z państwa zastanawiają się może, co tu w ogóle robią. Niektórzy nawet się boją. Zważcie jednak, że czynny udział w tym procesie jest waszym nałożonym przez prawo obywatelskim i moralnym obowiązkiem. I dwanaścioro z was weźmie w nim bezpośredni udział, a sześciorgu dalszych przypadnie rola przysięgłych rezerwowych. Moim obowiązkiem jest rozwianie wszelkich obaw i frustracji, jakie niektórzy z państwa mogą odczuwać, mając w pamięci dramatyczne wydarzenia towarzyszące poprzedniemu procesowi oskarżonego. W związku z tym wasze nazwiska i adresy, wszelkie informacje o rodzinie i wykonywanym zawodzie zostaną utajnione — nie poznają ich nawet członkowie tego sądu. Wybrani do składu ławy zostaną internowani na najbliższych sześć do ośmiu tygodni w bazie wojskowej Fort Dix w New Jersey, gdzie będzie się toczył proces. — Przerwał na moment. — Zdaję sobie sprawę, że nikomu nie uśmiecha się rzucić z dnia na dzień wszystko i rozstać na tak długo z rodziną i bliskimi. Ale oskarżonego trzeba osądzić i zostanie osądzony, a o jego winie zadecyduje ława przysięgłych — to nasz obowiązek. Każdego, kto bez uzasadnienia odmówi jego wypełnienia, sąd będzie miał w pogardzie. — Tu sędzia dał znak głową urzędnikowi.

— Czy jest na tej sali ktoś, kto z racji jakichś wcześniej podjętych zobowiązań albo innych przeszkód uważa, że nie jest w stanie rzetelnie wypełnić tego obowiązku?

W górę niemal równocześnie wystrzeliły ręce wszystkich kandydatów.

Po sali rozpraw rozeszła się fala tłumionych chichotów. Nawet Cavello, widząc ten las rąk, uśmiechnął się pod nosem.

Kandydatów wzywano pojedynczo przed stół sędziowski. Samotne matki. Drobnii przedsiębiorcy. Ludzie żalący się, że mają już wykupione wczasy albo okazujący zaświadczenia lekarskie o złym stanie zdrowia. Dwoje prawników utrzymywało, że powinni zostać wykluczeni automatycznie.

Ale sędzia Barnett był nieprzejednany. Uznał usprawiedliwienia tylko kilku osobom, i te czym prędzej opuszczały salę, dyskretnie pokazując gest zgiętą w łokciu ręką — yes, yes, yes — i uśmiechając się od ucha do ucha. Inni z ponurymi minami wracali na swoje miejsca.

Na sali zostało ostatecznie około stu pięćdziesięciu zrezygnowanych osób.

Cavello nawet na nich nie spojrział. Patrzył w przestrzeń, bębniąc palcami w stół. A mnie przypomniały się słowa, które wykrzyczał, kiedy w dniu zamachu na autokar wyciągano mnie z jego więziennej celi: „A ja dzisiaj będę spał jak niemowlę... Jak dzidziuś, Pellisante. Słyszysz? Mnie po raz pierwszy od miesiąca ten cholerny proces nie spędzi snu z oczu”.

— Panie Goldenberger, panie Kaskel — zwrócił się sędzia do prawników. — Zapewne mają panowie jakieś pytania do tych zacnych ludzi.

Rozdział 64

Richard Nordeshenko bez przeszkód dostał się do gmachu sądu. Zdobyć standardowego formularza wezwania do stawienia się na wybory składu ławy przysięgłych nie nastręczyło Reichardtowi żadnych trudności. Pozostawało tylko wpisać datę i nazwisko. Staął na końcu posuwającej się wolno kolejki idących jak na ścieżce kandydatów i jako ostatni, jak gdyby nigdy nic, wszedł do środka.

Siedział przez jakiś czas w zatłoczonej salce przysięgłych, przeglądając czasopismo i przysłuchując się, jak wywoływane są, zgodnie z numeracją, kolejne osoby. Większość tych ludzi nie kryła zdenerwowania, rozmawiali między sobą półgłosem, co to będzie, jeśli zostaną wybrani i zmuszeni do orzekania w procesie Cavella. Każdy miał jakąś wymówkę, którą uważał za niepodważalną.

Słuchając tego, Nordeshenko chichotał w duchu.

Nikommu z was nie będzie potrzebne żadne usprawiedliwienie.

Spojrzał na zegarek. 10.15. Nezzi wjeżdża już pewnie skradzioną furgonetką firmy cateringowej do podziemnego garażu. Nezzi był w tym najlepszy na świecie. Ale w tej branży nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak skomplikowaną akcję.

Poprzedniego wieczoru Nordeshenko napisał długi list do żony i syna. Zostawił go w pokoju hotelowym, na wypadek gdyby nie wrócił.

W liście wyznawał im, że nie był wcale takim dobrym człowiekiem, za jakiego go zawsze uważali, i że to, co mogą o nim usłyszeć, będzie najpewniej prawdą. Napisał, jak bardzo mu przykro, że przez tyle lat musiał ją przed nimi ukrywać. Ale nikt, dodawał, nie może o sobie powiedzieć, że jest z gruntu zły albo kryształowo uczciwy. Napisał, że jedynym dobrem, jakie go w życiu spotkało, SA oni. Że bardzo ich oboje kocha. A zakończył adresowanym do syna żartobliwym mottem, że do przedkładania pokera nad szachy trzeba dorosnąć.

Podpisał list: „Wasz kochający mąż i ojciec, Kola Riemlikow.”

Tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko.

Nazwisko, którego żadne z nich nie znało.

Punktualnie o 11.40 Nordeshenko odłożył czasopismo, wyszedł z salki przysięgłych i zjechał windą na trzecie piętro. Mieściły się tam głównie biura sądu i administracji budynku. Skręcił do męskiej toalety przy windach. Potężnie zbudowany czarny mężczyzna z pokaźnym znamieniem na policzku kończył właśnie myć ręce. Nordeshenko odkręcił wodę i czekał, aż tamten wyjdzie.

Kiedy za czarnym zamknęły się drzwi, zdjął wieko z kubła na śmieci, pogrzebał w wypełniających go zużytych, zgniecionych w kłębki papierowych ręcznikach i wyciągnął starannie opakowane zawiniątko. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że je tam znajdzie. Na słowie Reichardta można było polegać.

Wszedł do kabiny i odpakował zawiniątko: heckler and koch, kaliber 9 mm, preferowany przez niego pistolet. Sprawdził magazynek. Pełny. Dokręcił tłumik.

Wiedział, że sędzia jest skrupulantem, jeśli chodzi o gospodarowanie swoim czasem. Zawsze kilka minut przed 12.30 opuszczał salę rozpraw i udawał się na lunch. Opowiadano, że kiedy zbliżała się ta pora, potrafił przerwać prawnikowi w kluczowym momencie jego wywodu.

Jeszcze tylko kilka minut.

Nordeshenko wyjął z kieszeni mały telefon komórkowy.

Jeden, jak wszyscy, oddał na punkcie kontrolnym ochrony, ale drugi ukrył i wniósł. Żadnych SMS-ów. Oznaczało to, że wszystko gotowe, a Nezzi zmył się już z garażu.

Wprowadził kod, który rozpęta piekło. Teraz pozostawało tylko wydać polecenie „Wyślij”.

Wyszedł z kabiny i jeszcze raz przejrzał się w lustrze. Puls mu przyśpieszył. Spokojnie, Remi. Przecież wiesz, jak zareagują ludzie. Znasz ludzką naturę jak nikt. Masz po swojej stronie element zaskoczenia. Wszystko pójdzie po twojej myśli tak jak dziesiątki razy wcześniej.

Przemknęło mu przez myśl, że z tymi ufarbowanymi włosami, przyklejoną bródką i w okularach może za kilka minut zginąć, tak jak zawsze się tego obawiał: nierozpoznany. Pod nie swoim nazwiskiem. Trzeba by było porównywać linie papilarne, a i to niewiele by dało. Zwykły sierżant rosyjskiej armii, dezertier. Upłynęłyby tygodnie i miesiące, zanim rodzina dowiedziałaby się, że nie żyje.

Ale nigdzie nie jest powiedziane, i Nordeshenko uśmiechnął się na tę myśl, że nie przeżyje. Odbezpieczył hecklera i wsunął go do kieszeni.

Zupełnie jak popychać na środek stolika wszystkie swoje pieniądze. W tym przypadku honorarium w wysokości dwóch i pół miliona dolarów.

Całkowitą pewność zyskuje się dopiero po odkryciu ostatniej karty.

Rozdział 65

Dominic Cavello również zerknął na zegar wiszący na ścianie sali rozpraw. Czczą gadaninę sędziego puszczał mimo uszu. Wiedział, że za parę chwil nie będzie miała większego wpływu na dalsze jego życie. Za moment sędzia Barnett nachylił się do mikrofonu i obojętnie, kto akurat będzie przy głosie, zapytał, czy nie wypadałoby zarządzić przerwy.

I stało się. O 12.24 sędzia wpadł w słowo oskarżycielowi przepytującemu kandydatów na przysięgłych.

— Panie Goldenberger...

Cavello poczuł, jak przyśpiesza mu puls.

— Sayonara — prychnął. — Gra skończona. Mały Dom idzie zaraz do domu.

Gdy sędzia pouczył kandydatów na przysięgłych, że mają się stawić z powrotem na sali punktualnie o czternastej, zaczęli powoli wychodzić.

— Strażnicy, wyprowadźcie oskarżonego.

Cavello wstał. Gównu go obchodziło, co się za chwilę stanie. Nawet ułatwiał im robotę.

— W porządku, chłopaki. — Do więzienia odprowadzali go ci sami konwojenci, którzy rano go stamtąd przyprowadzili. Ten barczysty z sumiastym wąsem wyciągnął kajdanki. — Sorry, Dom.

Cavello podał mu rękę.

— Nie ma sprawy, Eddie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Znał ich imiona. Sporo o nich wiedział. Ten czarny by i dowódcą czołgu w „Pustynnej burzy”. Ten z sumiastym wąsem miał syna, którego przyjęto na uniwersytet stanu Wisconsin, bo grał dobrze w futbol. Teraz zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach Cavella.

— Kurczę, chłopaki, tak traktować porządnego obywatela. Hej, Hy — zawołał do swojego prawnika — zamówcie sobie na mój koszt soczysty duży stek. Widzimy się tu o drugiej.

Strażnicy wyprowadzili go bocznym wyjściem do korytarzyka prowadzącego do windy, którą zjadą do podziemi. Trasę z odległego o dwie przecznice więzienia do gmachu sądu i z powrotem przebył już tyle razy, że na dobrą sprawę mógłby ją już śmiało przemierzać wte i wewte z zamkniętymi oczami.

— Wiesz, co jest najgorsze w dożywotniej odsiadce? — Cavello mrugnął do wąsatego strażnika, kiedy szli korytarzykiem. — Żarcie! Zwłaszcza w tym zasranym Marion. A wiesz, co trzyma tam ludzi przy życiu? — Trącił go łokciem. — Kara śmierci. Zastrzyk trucizny. — Zachichotał. — To jedno daje człowiekowi jakąś nadzieję!

Trzeci strażnik z krótkofalówką w rękę przytrzymał im drzwi, kiedy wsiadali do kabiny.

— Zjeżdżają — burknął do mikrofonu.

Eddie, czarnuch i Cavello wsiedli.

Czarny wduśił przycisk „-1”, czyli podziemia. Cavello wiedział, że po wybraniu tego przycisku kabina nie zatrzyma się na żadnym z mijanych po drodze pięter, chyba żeby ktoś zatrzymał ją od wewnątrz. Zasunęły się drzwi.

— Lubisz pizzę, Bo? — zwrócił się Cavello do małomównego czarnego strażnika. — Czarni zajadają się pizzą, nie?

— Tak, lubię pizzę, Dom — odburknął czarny strażnik.

— No jasne, wszyscy gliniarze lubią pizzę. — Cavello westchnął. — Słuchajcie, wiecie, co mi wpadło do głowy? Chrzaimy to odprowadzanie do więzienia. Przystopujmy windę

na parterze i wyskoczmy na półtorej godzinki do starego Brooklynu. Co wy na to? Pokazałbym wam prawdziwą włoską kuchnię. No? Na drugą odstawiłbym was z powrotem. Nikt by się nawet nie kapnął, gdzie byliśmy. — Tracił łokciem Eddiego. Winda ruszyła. — To by był numer, co, Eddie? Oczy całego wolnego świata skierowane na nas, a my siedzimy sobie u Pritzego, wtranżalamy cielęcinkę z papryką i popijamy piwkiem. No, jak ci się to widzi? Zwalisty strażnik uśmiechnął się.

— Kuszący plan, Dom.

— Prawda? — Cavello śledził malejące numery pięter na wyświetlaczu zjeżdżającej windy. — Ale tylko plan.

Rozdział 66

Andie czekała na mnie w korytarzu. Powiedziała, że ma już dosyć. Że nic tu po niej.

Zjechałem z nią i kilkorgiem kandydatów na przysięgłych na parter. Byliśmy oboje jacyś skrępowani. Pochwaliłem ją, że miała odwagę przyjść. W nagrodę cmoknęła mnie w policzek.

— Dziękuję, Nick. To był dobry pomysł.

Wracając na górę, zjrzałem do pomieszczenia ochrony, żeby sprawdzić, co z Cavellem. Zwożono go w tej chwili windą do podziemi. Widziałem ponad ramieniem wpatzonego w monitor agenta, jak, czekając w asyście strażników na kabinę, wesoło ich zagaduje. Wszystko było pod kontrolą. Dowódca ochrony miał bezpośrednią łączność ze wszystkimi punktami na trasie, którą będą wracali do więzienia.

— Obiekt w drodze — rzucił do mikrofonu.

Nagle ziemia się zakołysała. To było jak trzęsienie ziemi. Na podłogę posypały się plastikowe kubki z kawą, długopisy, notatniki.

— Jezu, tam coś się stało?! — krzyknął jeden z agentów, wskazując na ekran monitora. — W garażu! Kurwa mać, coś pierdyknęło!

Stłoczyliśmy się przed monitorem i z zapartym tchem czekaliśmy, co będzie dalej. Ekran zaczęły wypełniać kłęby szarego dymu. Po chwili zupełnie poczerniał.

Zatrzeszczała krótkofalówka.

— Coś tu u nas wybuchło! — meldował z podziemi z przejęciem któryś z ochroniarzy. — Cały garaż w ogniu! Mogą być ofiary. Mało co widzę! Wszędzie dym, kupa dymu!

Kapitan porwał mikrofon.

— Tu Meachem. Coś się dzieje w garażu! Zdetonowano ładunek wybuchowy! Dawajcie tu migiem antyterrorystów, straż i karetki. I chcę wiedzieć, co się tam, u diabła, dzieje.

Nie musiałem patrzeć na ekran. Ja wiedziałem, co się dzieje.

Ekran y migały, przekazując obrazy rejestrowane przez coraz to inną z kamer zainstalowanych w garażu. Chwyciłem Meachema za ramię.

— Kapitanie, tu nie chodzi o garaż. Tu chodzi o Cavella! Postawcie na nogi wszystkich agentów. On tam właśnie zjeżdża!

Przebiegłem na drugi koniec konsoli i spojrzałem na monitor przedstawiający sytuację w windzie.

Jezu, tylko nie to!

Oczy wyszły mi na wierzch z przerażenia. Nie chciało mi się wierzyć w to, co widzę, nie ulegało jednak wątpliwości, że historia się powtarza.

Rzuciłem się do drzwi.

Rozdział 67

Cavello był już w windzie, żartował ze strażnikami, tryskał wprost dobrym humorem. I co chwila zerkał na wyświetlacz pięter: 7, 6, 5...

Teraz!

Podszybował do panelu sterowania i z całej siły docisnął kciuk do termoczułego kwadracika z numerem 3.

— Co, u diabła?! — Kabiną szarpnęło, zatrzymała się na tym nieoczekiwanym przystanku. Czarny strażnik odciągnął Cavella od panelu i całą masą swego ciała przyparł do ściany. Drzwi się rozsunęły, ktoś wszedł.

Strażnik wybałuszył oczy.

— Co, u...?

Pocisk trafił go między oczy i odrzucił na ścianę kabiny. Osunął się po niej, ciągnąc za sobą po fornirze ciemnoczerwony ślad. Dwa kolejne pociski ugodziły Eddiego w pierś. Po jego białej koszuli rozplynęły się dwie plamy koloru śliwki. Drugi strażnik z przejmującym jękiem puścił Cavella, usiadł na podłodze i podniósł wzrok na strzelca.

— Mam dzieci.

— Przykro mi, Eddie — powiedział Cavello.

Padły kolejne dwa stłumione strzały i strażnik znieruchomiał.

— Szybko — warknął Izraelczyk, naciskając klawisz parteru i rzucając Cavello torbę. — Czas pogania.

Cavello znalazł w torbie ciemną damską perukę i płaszcz. Nordeshenko nasadził mu perukę na głowę i narzucił na ramiona płaszcz, drapując go tak, żeby nie było widać kajdanek. Czasu rzeczywście mieli mało. Eksplozja w podziemnym garażu odciągnęła uwagę tylko na kilka sekund.

Cavello poprawił perukę.

— Wszyscy na stanowiskach?

— Miejmy nadzieję — mruknął Nordeshenko, chowając się za Cavellem, żeby ukryć pistolet. — Gotowy? Bo uprzedzam z góry, że to jeszcze nic pewnego.

— Cokolwiek się stanie — odparł Cavello — lepsze to niż więzienie.

— Też prawda.

Drzwi ponownie się rozsunęły. Byli na parterze. Na winde czekały dwie osoby.

— Ta jest zepsuta — warknął do nich Nordeshenko, popychając przed sobą przebranego za kobietę gangstera w kierunku długiego korytarza prowadzącego do bocznych drzwi wychodzących na Worth Street. — Ściągnijcie sobie drugą.

Za ich plecami odkryto już ciała dwóch strażników w windzie. Ludzie krzyczeli, ale Nordeshenko nawet się nie obejrzał.

— Szybciej! Bo obaj tu marnie zginiemy. Mam alergię na więzienia.

Korytarzem do posterunku ochrony było jakieś czterdzieści kroków, ale im wyszło o wiele więcej, bo musieli lawirować między ludźmi, którzy zatrzymywali się i odwracali zaalarmowani zamieszaniami przy windach. Nordeshenko dostrzegł przy wyjściu Reichardta i dwóch ludzi Cavella, którzy udawali dziennikarzy. Postawił Cavellowi kołnierz płaszcza i obaj przyspieszyli kroku.

Jeszcze piętnaście metrów. Tylko piętnaście.

Byli już blisko, kiedy zatrzeszczała krótkofalówka.

— Coś się tam stało! — krzyknął jeden ze strażników. — Zamknąć drzwi, szybko!

Reichardt wyciągnął zza pazuchy kurtki ciemny metaliczny

przedmiot. I rozpętało się piekło. W holu gmachu sądu huknęły strzały z broni automatycznej. Dwaj strażnicy padli, zanim zdążyli sięgnąć po pistolety. Ich koleżankę, kobietę o blond włosach szarpiącą się jeszcze z kaburą, Reichardt posłał serią z pistoletu maszynowego na marmurową ścianę. Osunęła się po niej martwa.

Nordeshenko i Cavello biegiem dopadli do posterunku ochrony.

— FBI! Wszyscy na ziemię! — krzyknął ktoś.

Nordeshenko obejrzał się i na końcu korytarza zobaczył składającego się do strzału mężczyznę z pistoletem trzymany w wyciągniętych rękach. Cholera. Przyciągnął do siebie Cavella. Pocisk ze świstem przemknął mu przed twarzą i ugodził w pierś jednego z ludzi Cavella. Reichardt odpowiedział ogniem. Zakotłowało się. Piski, wrzaski. Ludzie miotali się w panice, szukając jakiegokolwiek osłony.

Nordeshenko zasłonił Cavella własnym ciałem. Taka praca. Wypchnął klienta przez drzwi. Byle tylko znaleźć się na zewnątrz.

Tam też panował chaos. Policjanci biegli w kierunku wjazdu do podziemnego garażu. Zdetonowanie bomby zrobiło swoje. Ku niebu wznosił się kłęb czarnego dymu.

Zatrzymał się przy nich młody, zdezorientowany policjant.

— Jesteśmy ranni — wyjącał Nordeshenko. — Niech pan tylko spojrzy.

I kiedy policjant zbliżył się, żeby spojrzeć, Nordeshenko przystawił mu lufę hecklera do piersi i pociągnął za spust. Policjant stęknął i zwałił się na trotuar.

Przy krawężniku przyhamował z piskiem opon czarny bronco. Otworzyły się na oścież tylne drzwiczki i Nordeshenko, Cavello i Reichardt zanurkowali do środka.

Siedzący za kierownicą Nezzi ruszył z kopyta.

Tam, gdzie przed chwilą stał bronco, zatrzymała się ciężarówka dostawcza, blokując jezdnię i w ten sposób skutecznie uniemożliwiając ewentualny pościg.

Na skrzyżowaniu trafili na zielone. Wpadli na pełnym gazie w St. James, przejechali dwie przecznice, przecięli Chatham Square, skręcili w Catherine i już byli w Chinatown. Jeszcze jeden ostry zakręt w prawo, w Henry, i Nezzi wprowadził bronco na pusty parking.

Nordeshenko wyskoczył z wozu i wciąż osłaniając Cavella własnym ciałem, odsunął drzwi granatowego miniwana. Wepchnął gangstera do środka. Sam zajął miejsce za kierownicą. Reichardt z Nezzim wsiedli do beżowej acury zaparkowanej po drugiej stronie ulicy. Nordeshenko im zasalutował.

Po raz pierwszy tego dnia poczuł przyływ ostrożnego optymizmu. Nikt ich nie ścigał. Nikt do niech nie strzelał.

Oba pojazdy ruszyły.

Przecznice dalej wyminęły ich trzy wozy policyjne z migającymi kogutami. Pędziły w przeciwnym kierunku. Nordeshenko uśmiechnął się pod nosem. Kiedyś o tej ucieczce będą krążyły legendy.

— Jesteśmy już bezpieczni? — spytał z tylnego siedzenia Dominic Cavello, unosząc głowę.

— Paka szto — odparł Nordeshenko. — Ale naprawdę bezpieczni będziemy dopiero wtedy, kiedy wydostaniemy się z tej wyspy. A to jeszcze nic pewnego.

Rozdział 68

Wypadłem na ulicę, zatrzymałem się jak wryty i patrzyłem bezradnie za oddalającym się na pełnym gazie bronco. Na skrzyżowaniu wóz skręcił, wmieszał się w rzekę sunących przecznicą pojazdów i po chwili znikł mi z oczu.

Byłem zrozpaczony i załamany. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezsilny. W pościg za uciekającymi ruszyły dwa wozy policyjne, ale było już za późno, a na dodatek musiały ominąć wielką ciężarówkę dostawczą, która zatarasowała jezdnię.

Zawróciłem do wejścia, mignąłem przed nosem swoją legitymacją zdezorientowanemu policjantowi i wyrwałem mu krótkofalówkę.

— Tu agent specjalny FBI, Nicholas Pellisante. Dominic Cavello zbiegł z gmachu sądu federalnego przy Folley Street. Jedzie Worth Street na wschód czarnym bronco na niezidentyfikowanych tablicach rejestracyjnych, kieruje się zapewne do Chinatown. Podejrzani mają broń i są zdeterminowani. Jest wiele ofiar śmiertelnych.

Na chodniku leżał zastrzelony policjant z patrolu. Nie wyglądał mi na więcej niż dwadzieścia pięć lat. Oszołomieni przechodnie rozbiegali się na wszystkie strony. Wiele osób zasłaniało dłońmi twarze. Czyżby usiłowali ukryć szok, jakiego doznali?

Wbiegłem z powrotem do gmachu sądu. Załoga karetki próbowała reanimować jednego z postrzelonych strażników. Stał nad nimi poblady kapitan Meachem. Krótkofalówka zaskrzeczała jakąś bzdurną policyjną gadaniną. Naszła mnie ochota roztrzaskania jej w drobny mak o ścianę, i Wróciłem do pomieszczenia ochrony. Zastałem tam agenta specjalnego Michała Douda. Dowodził zespołem FBI do spraw systemów ochrony obiektów publicznych i przeglądał właśnie zarejestrowane przez kamerę wideo krwawe sceny, Jakże rozegrały się w windzie.

— Widziałem samochód, którym uciekli — poinformowałem go. — Czarny bronco. Ale rejestracji nie udało mi się odczytać.

Doud odetchnął głęboko.

— Mam bezpośrednią łączność z biurem burmistrza. I z szefem policji. Zarządzono natychmiastową blokadę wszystkich tuneli i mostów, którymi można się wydostać z Manhattanu, obowiązują procedury najwyższego alertu kryzysowego. Wątpię, żeby zdołali opuścić wyspę.

— Obyś się nie dziwił — mruknąłem, zgrzytając zębami.

Usiadłem przy najbliższym stoliku i sfrustrowany rąbnąłem pięścią w blat. Nagle zrobiło mi się strasznie słabo. Co, u diabła? Przyłożyłem dłoń do boku. Poczulem pod palcami coś lepkiego i ciepłego.

Jezu, Nick.

Krwawiłem, i to jak!

Rozdział 69

Doud popatrzył na mnie z niepokojem, potem obaj spojrzeliśmy na podłogę, na którą skapywała moja krew.

— O kurwa — wykrztusiłem, rozpinając marynarkę. Na koszuli rozlewała się coraz szerzej plama przesiąkającej przez materiał krwi.

— Dawajcie tu tych z karetki! — krzyknął Doud do jednego z ochroniarzy.

— Pozazdrościć refleksu. — Kiwnąłem głową i odchyliłem się na oparcie krzesła.

— Chyba ich namierzylіśmy! — zaskrzeczało z krótkofalówki. Była to otwarta linia bezpośredniej łączności z centrum kryzysowym burmistrza. Widziano czarnego bronco skręcającego z Dziesiątej Alei w kierunku wjazdu do Lincoln Tunnel, który łączy Manhattan z New Jersey.

— Wjazd do tunelu mamy obstawiony — zapewnił głos z centrum kryzysowego. — Port Authority posłała tam antyterrorystów.

Centrum kryzysowe przesłało linią telefoniczną na jeden z naszych monitorów obraz przekazywany przez kamerę zainstalowaną nad wlotem do tunelu. Czarny bronco był dziesiąty w kolejce.

— Jest!

Kamera dokonała zbliżenia. Przed wjazdem do tunelu

tworzył się korek, ponieważ jezdnia zwężała się do dwóch pasów ruchu.

Trzymałem się za bok, ale ani myślałem teraz stąd odchodzić. Nie odrywałem oczu od czarnego bronco. To ten? W każdym razie bardzo podobny.

— Podejrzany pojazd ma tablice z Jersey — oznajmił głos z krótkofalówki. — EVX-trzy-sześć-dziewięć.

Na moment wszyscy wstrzymaliśmy oddechy. Czyżby szczęście się do nas uśmiechnęło? Nagle coś mi się przypomniało. Porwałem mikrofon.

— Tu agent specjalny Pellisante. Ci ludzie mają broń automatyczną i niewykłuczone, że również materiały wybuchowe. Samochód może być pułapką. Cavella może już w nim nie być. Niech antyterroryści zrobią, co w ich mocy, żeby odizolować pojazd.

Zapomniałem już zupełnie o ranie. Wlepiałem wzrok w ekran, na którym grupa z Port Authority zaczynała otaczać samochód, utrzymując na razie bezpieczną odległość. Operacja, z uwagi na miejsce, w którym ją przeprowadzano, wymagała zachowania jak najdalej posuniętej ostrożności. Wokół mrowie samochodów, a w nich setki niewinnych, niespodziewających się niczego ludzi.

W kadr kamery wsuwały się powoli sylwetki w czarnych hełmach i kombinezonach. Bronco był już w czwartym rzędzie wjeżdżających do tunelu. Antyterroryści z gotową do strzału bronią zacieśniali krąg. Bronco miał przyciemniane szyby. Ci, którzy w nim siedzieli, musieli już widzieć zbliżających się policjantów.

Bronco podjechał kawałek i znalazł się w pierwszym rzędzie. W tym momencie drogę zjechał mu rozjeżdżony wóz policyjny, blokując wjazd do tunelu.

I nagle zaroilo się od przygarbionych, podbiegających do bronco antyterrorystów.

Widziałem wszystko jak na dłoni. Samochód otoczyło co najmniej dwudziestu uzbrojonych po zęby policjantów.

Przednie drzwi auta otworzyły się z impetem. Wytężyłem wzrok.

— Niech to będzie on — wyszeptalem, zaciskając pięści. — Niech to będzie on...

Z bronco, z uniesionymi w górę rękami, wysiadali pasażerowie. Ubrany na czarno mężczyzna. Potem kobieta w kapeluszu z obwisłym rondem. Mały chłopczyk. Chłopczyk płakał; czepiał się spódniczki kobiety.

— Kurwa mać! — doleciał mnie z radia czyjś okrzyk. Ale to, co widziałem, nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

To nie był ten samochód. Zgubiliśmy Dominica Cavella.

Rozdział 70

Dwaj młodzi sanitariusze z karetki musieli mnie opatryć prowizorycznie w pomieszczeniu ochrony gmachu sądu, bo nie chciałem stamtąd wyjść, dopóki nie obejrzą tej taśmy wideo. Taśmy, na której zarejestrowany został mężczyzna z windy — ten, który uprowadził Cavella.

Obejrzałem ją kilkanaście razy.

Facet był średniego wzrostu, niezbyt dobrze zbudowany. Wiek trudno było określić. Wypatrywałem jakichś znaków szczególnych. Miał brodę, ale chyba sztuczną. Krótkie czarne włosy, okulary. Jedno nie ulegało wątpliwości, znał się na swojej robocie. Ani sekundy zawahania. To nie jakiś wynajęty cyngiel, to profesjonalista w każdym calu. Wziął nas z zaskoczenia, pomimo że gmach sądu obstawiony był kilkunastoma najlepszymi w Nowym Jorku agentami FBI.

— Możesz mi dać zbliżenie na tę twarz? — poprosiłem technika z ochrony obsługującego magnetowid.

— Proszę. — Jedno dotknięcie przycisku i już miałem powiększenie.

Podniosłem się z krzesła i nachyliłem do ekranu. Obraz zrobił się ziarnisty, ale widziałem wyraźnie zimne, stalowe oczy profesjonalnego zabójcy wsiadającego do windy. Wryły mi się w pamięć. Technik przesuwiał nagranie klatka po klatce.

W pewnym momencie padły strzały. Dwaj strażnicy zwalili się na podłogę kabiny.

— Prześlij ten materiał policji i do centrum kryzysowego — polecił technikowi Mike Doud. — Niech rozlepią zdjęcie tej gęby na wszystkich mostach, w każdym tunelu, niech nosi je przy sobie każdy policjant patrolujący ulice.

— To strata czasu — mruknąłem, opierając się o stół. — On już tak nie wygląda.

— A masz lepszy pomysł? — warknął wyraźnie sfrustrowany Doud.

— Może i mam. Poszukaj tej twarzy na filmie wideo z pierwszego procesu Cavella. Przeglądaj go klatka po klatce, jeśli będzie trzeba. Eliminuj osobników noszących broń i okulary. Założę się, że on tam był.

Medycy stracili wreszcie cierpliwość i dosłownie wywlekli mnie z pomieszczenia ochrony do czekającej pod budynkiem karetki. Po raz ostatni spojrzałem na twarz widniejącą na ekranie monitora. Chciałem mieć pewność, że ją rozpoznam, kiedy znowu spotkam na swej drodze tego człowieka.

Byłem przekonany, że to ten sam, który wysadził w powietrze autokar z przysięgłymi, mordując tylu Bogu ducha winnych ludzi.

Rozdział 71

Leżałem w karetce wiozącej mnie na sygnale przez dolną East Side do Bellevue Hospital, kiedy zadzwonił telefon.

Byłem rozebrany do pasa, do ramienia miałem podłączoną kroplówkę, a do piersi przymocowane czujniki EKG, poprosiłem więc, żeby podali mi z kieszeni komórkę.

— Właśnie się dowiedziałam — wyrzuciła z siebie Andie z przejęciem w głosie. — Siedzę w kawiarni i tu jest włączony telewizor. Boże kochany, Nick, trąbią o tym we wszystkich dziennikach.

— Przykro mi, Andie. — W rzeczywistości było mi bardziej niż przykro. Ileż razy mogę jej to powtarzać?

— Jasna cholera, Nick, tam przecież była cała nowojorska policja.

— Wiem. — Odetchnąłem głęboko. Sanitariusz chciał mi odebrać telefon, ale go odepchnąłem. Powierzchnowa rana w boku już tak nie bolała. Bardziej doskwierały wzbierająca we mnie złość i poczucie przegranej.

— Ten sukinsyn zabił mi syna, a teraz jest na wolności.

— Nie na długo — zapewniłem ją. — Dopadniemy drania. Wiem, co sobie teraz pomyślałaś, ale dopadniemy. — Do szpitala było już tylko kilka przecznic. — Osobiście go dorwę.

Andie milczała. Nie wiedziałem, czy mi uwierzyła, ale w tym momencie mało mnie to obchodziło. Bo szanuję swoje słowo.

Dorwę go.

— Cześć — bąknąłem i rozłączyłem się, bo miałem wrażenie, że zaraz zemdleję. Karetka zatrzymywała się właśnie przed szpitalem.

Nie powiedziałem Andie, że jestem ranny.

Rozdział 72

Richard Nordeshenko utknął srebrnym voyagerem w potężnym korku na podjeździe do mostu Jerzego Waszyngtona. Ten zator nie był dla niego żadnym zaskoczeniem. Włączył radio i dla zabicia czasu przeleciał kilka stacji informacyjnych. Wszędzie o tym samym.

Gdzie tylko spojrzeć, migające koguty wozów policyjnych. Sprawdzano każdy pojazd, zaglądano do bagażników. Ciężarówkom i furgonetkom kazano zjeżdżać na pobocze, gdzie dokładnie przeczesywano ich ładunek. Nordeshenko usłyszał warkot krążącego nad miastem policyjnego helikoptera i spojrział w niebo. Niedobrze.

Już dwa razy zmienili samochody. On odlepił brodę i zdjął okulary, które nosił w gmachu sądu. Chyba nie ma powodu do obaw, prawda? Wystarczy zachować spokój. Cavello leży ukryty we wnęcie pod tylnym siedzeniem. Nawet gdyby odnaleźli już bronco, to co by im to dało? Wszystko w najlepszym porządku. Nikt nie mógł ich powiązać z pojazdem, który teraz prowadził. Chyba że znaleźliby w nim Cavella.

Pół kilometra przed nim majaczyły wysokie, stalowe pylony mostu. Jacyś policjanci wracali do swojego samochodu. Typowa reakcja na alarm czerwony. Antyterrorysty i psy szkolone w wykrywaniu materiałów wybuchowych. Wyszkolone może i dobrze, ale bez doświadczenia, którego nabywa się w praktyce.

— Czemu stoimy? — dobiegł z tyłu zduszony głos. — Co tam się dzieje? Wszystko w porządku?

— Spokojnie. Powinieneś być z siebie dumny. To z twojego powodu całe zamieszanie.

— Ciasno tutaj. I duszno. Już ponad godzinę tu siedzę.

— Na pewno nie tak ciasno i duszno jak na zamkniętym oddziale więzienia federalnego, dobrze mówię? A teraz cicho. Przed nami ostatni punkt kontrolny.

Do voyagera podchodzili dwaj policjanci w kamizelkach kuloodpornych, z automatycznymi karabinami. Jeden z nich zastukał lufą w szybę.

— Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę. I niech pan otworzy tył.

Nordeshenko wręczył mu dokumenty, z których wynikało, że mieszka w Bayonne przy 11 Barrow Street, a furgonetka jest zarejestrowana na firmę Lucky George Maintenance Service z siedzibą w Jersey City.

— Wiadomo już coś? — zagadnął. — Słyszałem, co się stało. W radiu aż o tym huczy.

Policjant sprawdzający dokumenty nie odpowiedział. Drugi otworzył tylne drzwi i zajrzał do przestrzeni bagażowej. Zobaczył tam tylko wielki profesjonalny odkurzacz, maszynę do prania dywanów i zestaw środków czyszczących na styropianowej palecie. Nordeshenko wstrzymał jednak oddech, kiedy funkcjonariusz wspiął się do środka i zaczął obmacywać ładunek.

Nordeshenko miał przypięty do kostki pistolet. Poprzedniego dnia przejechał na próbę tę trasę i miał już obmyślony plan działania na okoliczność wypadki. Skasuje kontrolujących furgonetkę policjantów. Przebiegnie między czekającymi na wjazd na most samochodami na drugą stronę jezdni, gdzie zjeżdżających z mostu nikt nie zatrzymywał. Wyciągnie z pierwszego lepszego samochodu kierowcę, zajmie jego miejsce za kółkiem i da nogę. Pal diabli Cavella.

— A to co? — burknął jeden z policjantów. Odsunął sprzęt i podważył klapę wnęki podpodłogowej.

W pierwszym odruchu Nordeshenko chciał już sięgnąć do kostki, ale się opanował. Jeszcze nie teraz. Serce podeszło mu do gardła. Kropnąć obu i w długą.

— Zgodnie z kodeksem drogowym, powinien pan tu wozić koło zapasowe — zauważył policjant. — Bo co będzie, jak ta kupa złomu rozkraczy się panu gdzieś w trasie? — Opuścił klapę.

— Racja, panie władzo. — Nordeshenko, odetchnął w duchu z ulgą. — Przekażę szefowi. Powiem mu, że jesteśmy panu winni darmowe czyszczenie dywanów.

Policjant oddał mu dokumenty, drugi zeskoczył na jezdnię i zatrzasnął tylne drzwi.

— Gównu mi jesteście winni — powiedział. — A następnym razem chcę tu widzieć koło zapasowe.

— Ma pan to jak w banku. Mam nadzieję, że go złapiecie. — Z tymi słowami Nordeshenko podkreślił szybko i ruszył. Po kilku minutach, kiedy punkt kontrolny został już daleko za nimi, na jezdni zrobiło się luźniej i można było przyspieszyć. Przejechali przez most. Ale odetchnął z ulgą, dopiero kiedy zobaczył znak drogowy informujący, że kończy się Nowy Jork, a zaczyna stan New Jersey.

— Moje gratulacje! — zawołał. — Najgorsze za nami. Jutro o tej porze będziesz już na zabitej dechami wsi.

— Nareszcie. — Cavello wygramolił się spod tylnego siedzenia. — Ale nastąpiła zmiana planów. Muszę coś wpierv załatwić. Mam rachunek do uregulowania.

Rozdział 73

Cavello kazał mu jechać na zachód do Paterson w stanie New Jersey — wysadzanego drzewami osiedla klasy średniej. Nordeshenko zatrzymał wóz przed skromnym, ładnym, szaro--białym domem w wiktoriańskim stylu. Był już kwiecień, ale pośrodku małego podwórka od frontu, na podwyższeniu, stała nadal bożonarodzeniowa szopka.

— Zaczekaj w samochodzie — powiedział Cavello, zatykając za pasek pistolet, który dał mu Nordeshenko.

— Moje honorarium tego nie obejmuje — zauważył. — A ryzyko niewąskie.

— Spokojna głowa — odparł Cavello, wysiadając i stawiając kołnierz płaszcza. — Stratny nie będziesz.

Zaszedł posesję z boku i pchnął furtkę w ogrodzeniu z drucianej siatki prowadzącą na podwórko od tyłu. Był coraz bardziej podniecony.

Zawsze dotrzymywał słowa. Dzięki temu był, kim był. Ludzie wiedzieli, że jak Elektryk coś obieca, to się z tego wywiąże. A ta obietnica była szczególna.

Podszedł do werandy z tyłu domu zabezpieczonej siateczką przeciwko owadom. Tam się zatrzymał. W domu grał telewizor. Kanał dziecięcy. Słyszał śpiewne głosy i radosne oklaski. W fotelu, tyłem do okna, siedziała kobieta.

Wstąpił na schodek i otworzył siatkowe drzwi prowadzące

na werandę. No nie, śmiechu warte. Inna sprawa, że na tym osiedlu nikt nie potrzebował instalacji alarmowej. Było chronione. Chronione przez niego! Kto by spróbował jakiegos numeru w tym lasku, miałby przerypane do końca życia.

— Rosie, herbatka z cytrynką? — doleciał z głębi domu kobiecy głos.

— Z malutką — odrzyknęła kobieta w fotelu. — W lodówce powinno być jeszcze trochę. — I po chwili: — Hej, popatrz tylko na to małe jagniątko, na małego Stephiego. Jak robi małe jagniątko? Beee... Beee...

Cavello wszedł do środka. Na jego widok kobieta w fotelu pobladała.

— Dom?!

Trzymała na kolanach niespełna roczną dziewczynkę.

— Witaj, Rosie — powiedział z uśmiechem Dominic Cavello.

Na twarzy kobiety odmalował się paniczny strach. Była po pięćdziesiątce, miała na sobie szlafrok w kwiatki. Włosy upięte w kok, na szyi medalion ze świętym Krzysztofem. Otoczyła ramionami dziecko.

— Mówili w telewizji, że uciekłeś. Po co tu przyszedłeś, Dom?

— Obiecałem coś Ralphiemu, Rosie. A wiesz, że ja obietnic zawsze dotrzymuję.

Do pokoju weszła kobieta z herbatą na tacy. Cavello uniósł rękę i strzelił do niej z zaopatrzonego w tłumik pistoletu. Po prawym oku pozostała jedna krwawa rana.

Kobieta upadła, metalowa taca z głośnym brzękiem uderzyła o podłogę.

— Matko Boska! — wykrztusiła siostra Ralpha Denunziatty, tuląc dziecko do piersi.

— Ładny dzieciak, Rosie. Chyba Ralphięgo, sądząc po tych pucołowatych policzkach.

— To moja wnuczka, Dom. — Rosie Scalpia popatrywała ze zgrozą to na niego, to na leżącą na dywanie przyjaciółkę,

z której oczodołu wyciekał ciemnoczerwony śluz. — Ma dopiero roczek. Rób to, po co tu przyszedłeś, Dom, ale jej nie krzywdź. To córka Simone, nie Ralphiego. Błagam, rób, co masz zrobić, ale nie mścij się na mojej wnuczce.

— Dlaczego miałbym się mścić na twojej małej nipotina. Rosie? — Cavello postąpił krok. — Ja tylko chcę wyrównać rachunki z twoim skurwionym braciszkiem. I w tej materii nie ma zmiłuj.

— Błagam cię, Dom — zakwiliła przerażona. — Błagam!

— A kto powiedział, że ja nie życzę twojej wnuczce długiego życia w zdrowiu i pomyślności, Rosie? — wymierzył pistolet w jej twarz. — Powiadają, i nie bez racji, że nigdy nic nie wiadomo, kochana.

Pociągnął za spust i wierzch głowy Rosie znikł, a rozbryzgi mózgu zmieszane z odpryskami kości koloru tapioki zrosiły firankę.

Dziewczynka zaczęła płakać.

Cavello ukląkł i dotknął palcem wskazującym jej brzuszka.

— No, nie płacz. Milusia jesteś, co, kociaczkule? — Zagwizdał czajnik zostawiony na gazie. — Woda się zagotowała, słyszysz? No, chodź. — Wyjął dziecko z ramion martwej babci. Mała przestała płakać. — Grzeczna dzidzia. — Pogłaskał ją po plecach. — A teraz pójdziesz na mały spacerek z wujkiem Domem.

Rozdział 74

Jeszcze tego samego dnia wypisano mnie ze szpitala na moje żądanie. Wyszedłem stamtąd z obandażowaną klatką piersiową, fiolką vicodinu i przykazaniem, że mam się udać prosto do domu i położyć.

Nie da się ukryć, że miałem cholerne szczęście. Pocisk ledwie mnie zadrasnął. Ale bok bolał, mimo to, jak diabli.

Po opatrzeniu przesłuchiwali mnie dwaj agenci z Departamentu Spraw Wewnętrznych. Maglowali mnie i maglowali. Chcieli wiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami, co działo się w gmachu sądu od momentu, kiedy, patrząc w monitory w pomieszczeniu ochrony, zorientowałem się, co jest grane, do chwili, kiedy wybiegłem do holu. Wystrzelałem cały magazynek. Jeden z ludzi Cavella zginął od mojej kuli. No i szykowała się afera, bo nie byłem wtedy na służbie.

Ale bardziej niż bok doskwierała mi świadomość, że minęło już pięć godzin, a nie natrafiono jeszcze na żaden ślad ani Cavella, ani czarnego bronco, którym odjechał spod gmachu sądu. Zablokowaliśmy wszystkie możliwe drogi ucieczki. Wzięliśmy pod obserwację wszystkie znane nam kontakty Cavella. I nic. Sukinsyn przepadł jak kamień w wodę.

Nie zważając na moje protesty, pielęgniarka ze szpitala Bellevue zwiozła mnie na parter na wózku inwalidzkim, z którego przelazłem niezdarnie do czekającej przed wejściem taksówki.

— Róg Zachodniej Czterdziestej Dziewiątej i Dziewiątej Alei — rzuciłem do kierowcy i wzdychając z ulgą, odchyliłem głowę na zagłówek, i zacisnąłem mocno powieki. Przed oczami miałem wciąż czarnego bronco znikającego mi z oczu za rogiem. I siebie, jak bezradnie odprowadzam go wzrokiem. Jak, u diabła, tego dokonali? Kim był strzelec z windy? A w ogóle jak to możliwe, że przy środkach bezpieczeństwa, które zastosowano, udało im się wnieść do budynku broń?

Rąbnąłem nasadą dłoni w szybę oddzielającą mnie od kierowcy taksówki z taką siłą, że o mało nie złamałem sobie nadgarstka.

Kierowca — Sikh w turbanie — obejrzał się przez ramię.

— Ja pana bardzo proszę, to nie moja taksówka.

— Przepraszam...

Sam nie wiedziałem, za co przepraszam. Formalnie rozsadzało mnie od środka. Krew tętniła w skroniach. Skręciliśmy w Czterdziestą Piątą. Już wiedziałem, czego się tak boję. Powrotu do swojego mieszkania, trzasku zamykanych drzwi, pustych pokoi — stosu teczek z niedawno jeszcze materiałem dowodowym, a teraz zwyczajną makulaturą. Samotności.

No nie, nie zdzierzę. Szlag mnie zaraz trafi, i będzie po krzyku!

Skręciliśmy w Dziewiątą Aleję. Widziałem już swoją kamienicę. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Zapukałem w szybę.

— Zmiana planów — powiedziałem. — Jedź pan dalej.

— Okay. — Taksówkarz wzruszył ramionami. — To do kąd teraz?

— Na Bronx, Sto Osiemdziesiąta Trzecia Zachodnia.

Rozdział 75

Naciskałem raz po raz guzik dzwonka, waląc jednocześnie pięścią w drzwi.

— Chwileczkę — usłyszałem wreszcie głos Andie. — Już otwieram... jedną chwileczkę.

Otworzyła. Była w szlafroku, z dekoltu wyzierała bawełniana koszulka w różowe paski. Włosy miała rozczochrane i mokre. Pewnie brała właśnie prysznic. Na mój widok zrobiła wielkie oczy.

Lewa ręka zwisająca bezwładnie wzdłuż boku, rozmemłany, w oczach prawdopodobnie dzikość...

— Jezu, Nick, co ci?

Nie odpowiedziałem, bo w tym momencie nie mogłem po prostu wydobyć z siebie głosu. Przystąpiłem próg i popychając Andie przed sobą, przyparłem ją do ściany i pocałowałem w żarem, który nie wiadomo skąd się we mnie wziął. Niech się dzieje, co chce...

O dziwo, oddała mi ten pocałunek z takim samym żarem. Ściągnąłem z niej szlafrok i wsunąłem rękę pod koszulkę w paski. Jęknęła. Pachniała rozkosznie cytrusowym żelem pod prysznic.

— Jezu, Pellisante — wydyszała. Otwarte szeroko oczy płonęły jej jak pochodnie. — Nie dasz się nawet dziewczynie pobierać z myślami. Ale przyznaję, że ma to swoje dobre strony.

Zacząłem wyciągać koszulę ze spodni. Ona zabrała się do rozpinania mi paska.

I nagle skrzywiłem się — z bólu. Zupełnie jakby ktoś przejechał mi po boku papierem ściernym.

— Jezu, Nick, co ci się stało?

Oderwałem się od niej i oparłem plecami o ścianę.

— Drasnęło mnie dzisiaj... w sądzie.

Podciągnęła mi ostrożnie koszulę i zobaczyła bandaż.

— Co cię drasnęło?

— Przelatujący pocisk. — Wydałem z siebie pełen frustracji jęk.

— Pocisk?! — Patrzyła na mnie ze zgrozą. — Ktoś do ciebie strzelał?

— A strzelał. Jak widać na załączonym obrazku.

Pomogła mi dojść do kanapy. Usiadłem — a właściwie zwałem się na nią — już o własnych siłach. Andie ostrożnie rozpięła mi koszulę.

— O Boże, Nick.

— To tylko draśnięcie. Wygląda może paskudnie, ale do wesela się zagoi.

— Tak, widzę — powiedziała, kiwając głową. Uniosła mi nogi na stolik. — Czyli kiedy dzwoniłam, wieźli cię do szpitala, tak? Nick, co ty tu robisz? Co powiedział lekarz?

— Żebym szedł do domu i odpoczął. — Zdobyłem się na krzywy uśmiezek.

— To co cię przygnało do mnie?

— Nadzieja, że uznasz mój heroizm za seksowny. Albo że się chociaż nade mną użalisz.

Wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem. Nie śmieszyły jej jakoś moje grepsy. Rozchyliła mi koszulę, przesunęła palcem po krawędzi opatrunku i wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem... może to i trochę seksowne.

— A widzisz!

— Wariat. — Ściągnęła mi buty i podłożyła poduszkę pod głowę. — Chcesz coś?

— Nie. Nafaszerowali mnie środkami przeciwbólowymi. —
Przyciągnąłem ją do siebie. — Ciebie. Ciebie tylko pragnę.

— Ach, już rozumiem. Pod odurzającym wpływem leków
zebrało ci się na amory, zapukałeś więc do pierwszych lepszych
drzwi, gdzie spodziewałeś się zaspokoić swoje chucie.

Wzruszyłem ramionami.

— I co? Dobrze trafiłem?

Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek, a potem musnęła
wargami usta.

— Może. Ale nie musiałeś dać się w tym celu postrzelić.
Wystarczyło przyjść z butelką wina.

— Cholera. — Zajęczałem z zawodem. — Że też o tym nie
pomyślałem!

Przyłożyłem kciuk do jej karku i nacisnąłem lekko.

— Nie mogę wrócić do siebie, Andie. Nie wytrzymałbym
tam dzisiaj.

Kiwnęła głową, odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

— To zostań. Nie musimy niczego robić. — Położyła mi
głową na ramieniu.

Zamknąłem oczy. Starałem się nie myśleć o horrorze, którego
byłem dzisiaj świadkiem, nie rozpamiętywać gniewu, z jakim
patrzyłem za uciekającym Cavellem. Bok bolał jak diabli. I
prawdę mówiąc, to sam nie wiedziałem, po co właściwie tu
przyszedłem.

— Bogu dzięki — wyszeptała Andie. — Bogu dzięki, że
nic ci nie jest.

— Jedno jest pewne. Ci mafiosi to straszne zakapiory, ale
nie da się ukryć, że strzelcy z nich marni.

— Nie żartuj, proszę. To poważna sprawa, Nick. Ktoś
próbował cię zabić.

Poczułem łzę, jej łzę, lądującą na mojej piersi.

— Cavello jakby się pod ziemię zapadł — odezwałem się
po jakimś czasie. — Wierzyć się nie chce, ale do tej pory nie
udało nam się natrafić na jego ślad.

— Wiem — szepnęła.

Ponownie zamilkliśmy. Zaczynała mnie ogarniać senność.
Może po tym vicodinie. Może dawało o sobie znać zmęczenie.

— Nie zostawię cię tak, Andie. Chyba już wiesz, prawda?
Znajdziemy go, żeby nie wiem co. Obiecuję ci.

— Wiem — szepnęła znowu.

I tym razem wyczułem, że mi uwierzyła.

Rozdział 76

Obudziłem się nazajutrz przykryty pledem, z poduszką pod głową, na kanapie w living roomie Andie. Pora się zmywać.

Spała w swojej sypialni. Zajrzałem tam. I zamiast się wycofać, zostawić jej na stole w kuchni karteczkę z podziękowaniem za gościnę i wyjść po cichu, przysiadłem na krawędzi łóżka i pogłaskałem ją po głowie. Otworzyła oczy.

— Muszę lecieć.

— Dokąd? — spytała, biorąc mnie za rękę.

— Coś ci wczoraj wieczorem obiecałem. Słowo się rzekło.

Kiwnęła głową, oczy jej błyszczały.

— Chodź.

Miała ten seksowny, kuszący, wczesnoporanny głos, od którego ból w boku przeszedł mi jak ręką odjął. Przez sekundę walczyłem z pokusą, żeby zrzucić ubranie i wleźć jej do łóżka.

— Jestem ci winien drinka — mruknąłem.

— To i nie tylko... Jak rana?

— Już lepiej. — Uniosłem rękę. Ale nie za wysoko.

— Co zamierzasz, Nick? — Spojrzała na mnie z powagą.

Wiedziałem, co zrobię na początek. Nie mogłem dalej stać na uboczu.

— Odchodzę z uniwerku. — Uśmiechnąłem się, uściśnąłem ją za ramię, wstałem i ruszyłem do drzwi.

— Pellisante! — zawołała za mną.

— Tak?

— Wyświadcz mi przysługę i nie daj się zastrzelić. Ani nawet do siebie strzelać.

— Jeszcze o tym porozmawiamy. — Uśmiechnąłem się.

Wróciłem do siebie wziąć prysznic i zmienić ubranie. Luba się skończyła. Wracałem do Javits Building. Zadzwoiłem z taksówki do swoich kumpli z Biura.

Nie natrafili jeszcze na ślad Cavella. Nie dziwiło mnie to. Plan odbicia więźnia bandyci mieli opracowany do perfekcji, tak samo musiało być z planem ewakuacji.

Ale znalazł się samochód, którym uciekli. Stał na opustoszałym parkingu przy Henry Street, niecałe cztery przecznice od gmachu sądu. Ustalono, że został skradziony przed dwoma dniami spod centrum handlowego na Staten Island. Tablice z rejestracją Jersey też były kradzione. Pod obserwacją wzięto praktycznie całe Wschodnie Wybrzeże. Każde lotnisko i most. Każdy port od Bostonu po Baltimore.

Ale szukaj wiatru w polu. Cavello mógł być już teraz właściwie wszędzie.

— I coś jeszcze, Nick. — Ray Hughes odetchnął głęboko. — Wczoraj znaleziono martwą siostrę Ralphi Denunziatty. Została zamordowana w swoim domu strzałem między oczy. Sąsiadka, która pewnie wpadła do niej z wizytą, też nie żyje.

— Jezu!

— Dziewięć milimetrów, ten sam kaliber, którego użyto w sądzie. Przeprowadzamy badania balistyczne. Ale nie będę przed tobą ukrywał, że robi się coraz gorzej.

— Gorzej? Jak może być jeszcze gorzej?

— Tam było dziecko. Policja znalazła w kuchni roczną siostrzenicę Denunziatty.

— Nie zalewaj, Ray.

— Mała żyje. Ale ma bardzo poparzoną buzię i rączki. Wrzątkiem, Nick. Jaki wynaturzony potwór mógł się tego

dopuścić? Na śliniaczku dziecka nabazgrano kilka słów. Charakter pisma analizują teraz nasi specje od grafologii.

Wezbrała we mnie niepoohamowana, ściskająca wnętrzości wściekłość.

— Co tam było napisane?

— „Ja zawsze dotrzymuję obietnic”.

Rozdział 77

Rozsadzało mnie od środka, formalnie ponosiło.

Wróciłem do domu i wziąłem prysznic. Przez cały czas myślałem o siostrze Ralphiego i tym nieszczęsnym, rocznym dzieciaczku. Do całej fury powodów, dla których czułem się, jak czułem, doszedł jeszcze ten horror. Siedziałem owinięty w ręcznik kąpielowy i wpatrywałem się w zdjęcia tego degenerata Cavella przypięte pinezkami do kuchennej ściany. Stosy zebranych dowodów, i dupa blada.

W końcu nie zdzierzyłem.

Ubrałem się, wyszedłem i wsiałem do swojego saaba, którego zostawiłem na parkingu przy Jedenastej Alei. Ale nie pojechałem do Biura.

Było mi już wszystko jedno, czy postępuję zgodnie z przepisami, czy je łamię.

Przejechałem tunelem Lincolna pod rzeką i skręciłem w drogę numer 3 na Secaucus w New Jersey. Secaucus zawsze pierwsze przychodziło mi na myśl, kiedy słyszałem, że New Jersey to „zadupie wszechświata”. Kilometry za kilometrami blaszanych supermarketów i budek z fast foodami, a wszystko to upchnięte między smrodliwe moczary i drogę szybkiego ruchu Jersey Turnpike.

Półtora kilometra dalej skręciłem na parking przed dobrze

mi znanym, piętrowym obdrapańcem z pustaków. Siedzibą Związku Elektryków stanu New Jersey.

Lokal 407. Centrala Cavella.

Pchnąłem przeszklone drzwi i przeparadowałem przed zaskoczoną sekretarką, migając jej przed nosem odznaką FBI.

— Ja do Frankiego Delsavia.

Sekretarka zerwała się z miejsca.

— Przepraszam, nie może pan tak bez...

Nawet nie czekałem, aż skończy.

Dwaj barczyści faceci uznali widocznie, że trafia im się robota, do której zostali stworzeni i powołani, bo powstałi z foteli, żeby zastąpić mi drogę.

— Ani się waż! — warknąłem do tego, który wyciągnął w moim kierunku rękę. Moje oczy ciskały błyskawice, podejrzewam nawet, że malowała się w nich dzikość. — Zrozumiano?

— Pana Delsavia nie ma — wyburczał goryl jakby żywcem Wyjęty z planu Rodziny Soprano. Kurwa, ale wielki! Jemu też podetknąłem pod nos odznakę FBI.

— Po raz ostatni mówię po dobroci. Z drogi!

Napędzany adrenaliną wbiegłem na górę po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. W budynku wszyscy się chyba znali. Federalni nie wpadali tu nigdy w pojedynkę, bez wsparcia.

Na pięterku urzędowali działacze związku. Ludzie Cavella na ciepłych posadkach, których jedynym obowiązkiem było inkasowanie i liczenie pieniędzy. W asyście osiłeków z holu ruszyłem korytarzem. Sekretarki podnosiły na nas zdziwione oczy.

Drogę zastąpił mi jeszcze jeden gość. W ciemnych okularach, rozchełstanej pod szyją koszuli i poliestrowym garniturze.

— Pan do kogo!?! — Odchylił połę marynarki, żeby mi zademonstrować swojego gnata.

Nie czekałem, aż go wyciągnie. Wyciągnąłem swojego.

Przydusiłem gangsterowi nos lufą i pchnąłem zdębiałego na ścianę. Przystawiłem mu do oczu legitymację FBI.

— Tu jest napisane, że mogę, do kogo chcę.

Ludzie za moimi plecami podnosili się z biurek. Zauważyłem kątem oka, że dwaj goryle, którzy towarzyszyli mi z parteru na górę, sięgają po broń.

— Proszę pana, to jest legalnie działająca, prywatna organizacja — wyrecytował ten pod ścianą. — W głębi korytarza znajdują się pomieszczenia naszej rady zakładowej. A pan wpada tu z ulicy, bez zapowiedzenia, nie wiadomo w jakim celu. Proszę mi pokazać sądowy nakaz przeszukania, agencje specjalny, albo fora ze dwóra.

Wcisnąłem mu lufę pistoletu w policzek.

— Chcę się widzieć z Frankiem Delsaviem.

— Przecież powiedziałem. — Tu spojrzął mi głęboko w oczy. — Pana Delsavia nie ma, a co za tym idzie, nie może się pan z nim zobaczyć.

W tym momencie otworzyły się drzwi w końcu korytarza i wyszedł z nich potężnie zbudowany mężczyzna o rumianych policzkach, z włosami zaczesanymi na pożyczkę, w krótkiej nylonowej kurtce i rozpiętej pod szyją koszuli — Frank Delsavio we własnej osobie.

— O, agent Pellisante! — wykrzyknął schrypniętym głosem. — Sallie, dlaczego mi nie powiedziałaś, że to agent specjalny Pellisante? Ależ proszę, proszę, zapraszam w skromne progi mojego gabinetu. Niech pan nie zwraca uwagi na tych obiboków, nawet nie zauważyli, że już wróciłem.

Rozdział 78

— Znaczy nadal agent specjalny, tak? — Delsavio uśmiechnął się. — Czy raczej tytułować pana profesorem? Bo słyszałem, że wyklada pan na uniwersytecie.

Frankie był długoletnim numerem dwa Dominica Cavella, i teraz, pod nieobecność szefa, pełnił jego obowiązki. W rodzinie nazywano go Zastępcą. Był od trzydziestu lat żonaty z jedną z siostrzenic Vita Genovese'a. Kariera, można by rzec, w królewskim, cosanostrowskim stylu. Prawdopodobnie zlecił dziesięć do dwudziestu morderstw, ale nie mieliśmy na to dowodów.

Wszedłem za Frankiem do gabinetu. Stało tam tandetne biurko obstawione fotografiami członków rodziny. Na ścianach wisały jakieś spłowiałe widoczki z Włoch i opatrzone autografem zdjęcie Dereka Jetera zaspokajającego głód w jednej z restauracji Frankiego. Pod ścianą stało kilka rur ze zwiniętymi w trąbkę architektonicznymi projektami. Uśmiechnąłem się. Wątpiłem, żeby Frankie Delsavio zabłądził kiedykolwiek w okolice placu budowy.

— Pan wybaczy — gestem ręki zaprosił mnie do zajęcia miejsca w fotelu. — Nie jestem na bieżąco. Dopiero co wróciłem z Atlantic City. Oglądałem tam działkę, którą ostatnio kupiliśmy. Proszę mi powiedzieć, agencje Pellisante — uśmiechnął się krzywo — jak tam proces?

— Co ty mi tu pierdzielisz, gnido zasrana. — Złapałem go za kołnierz kurtki, poderwałem ze skórzanego fotela i po pchnąłem na ścianę. — Gadaj, gdzie on jest!

Na podłogę spadło kilka książek i bibelotów. Z twarzy Franka Delsavia spęzł przyimilny uśmiech. Miał o sobie wielkie mniemanie i nie życzył sobie być poniewierany, nawet przez gliniarzy.

— Zaprosiłem cię tu po przyjaźni, Nicky Makaroniarzu. Tam, za drzwiami, waruje kilkunastu ludzi, którzy niewiele mają w życiu do stracenia. Gotowi są łeb ci rozwalić. Nie jesteś nawet na służbie, Pellisante. Naprawdę dobrze się zastanowiłeś, co robisz?

— Pytałem o Cavella — warknąłem, przypierając go jeszcze mocniej do ściany.

— A skąd ja mam wiedzieć, Nicky, gdzie on jest? Powiedziałem ci przecież, że nie jestem na bieżąco. Poza tym Szeff nie spowiada mi się z każdej decyzji, jaką podejmuje.

— Nie spowiada ci się, powiadasz. — Uśmiechnąłem się, chociaż szlag mnie omal nie trafił. — Wiesz, Frankie, dlaczego nie zapuszkowałem cię do tej pory? Tylko dlatego, że uważam cię za jedyne w całej tej zapowietrzanej bandzie oprychów, kogo natura obdarzyła poczuciem humoru. Gdyby nie to, czekałbyś już pod celą na swój proces, tak samo jak on. Ale przymknę cię, Frankie. Choćby jutro. Mam na ciebie niejednego haka, możesz mi wierzyć. Skasujemy cały ten szemrany interes. Pożegnacie się wszyscy ze swoimi szpanerskimi beemkami, z ciepłymi posadkami.

— Wiesz co, Nicky? — Frankie uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową. — Wydaje mi się, że działasz w tej chwili bez upoważnienia, na własną rękę. Podejrzewam nawet, że nie prowadzisz już tej sprawy. Wpuściłem cię do siebie tylko przez wzgląd na twoją dawną pozycję. A teraz, z łaski swojej, przestań mi gnieść koszulę, bo zawołam naszego prawnika, który urzęduje w pokoju obok, i ten pozwie do sądu ciebie i Biuro pod zarzutem napastowania. Nie zostanie to dobrze przyjęte na twoim uniwersytecie, prawda, Nicky?

— Tu nie chodzi o jakieś duperele, Frankie. — Mocniej ścisnąłem w garści przód jego koszuli. — To się po kościach nie rozejdzie. To jak z bin Ladenem. Radzę ci nie wdeptywać w to gówno. Dam ci tydzień, a potem zrobię, jak powiedziałem. Skasuję ten interes. — Puściłem go, ale wciąż patrzyłem mu w oczy. — Twój szefunio oblał wrzątkiem roczne dziecko, Frankie. Co byś powiedział, gdyby to była twoja wnuczka?

Delsavio poprawił kołnierz koszuli.

— Nie wiem, gdzie jest Dominic Cavello. Naprawdę. A tak nawiasem mówiąc, Nicky, mojej wnuczce to nie grozi, bo ja go nigdy nie zakapuję. — Uśmiechnął się, rozprostowując ramiona. — Ale gdyby do mnie przypadkiem zadzwonił albo przysłał pocztówkę, to obiecuję, że ty pierwszy się o tym dowiesz. Jeszcze przed jego żoną i dziećmi, Nicky Makaroniarzu. — Uśmiechnął się. — Mam mu coś od ciebie powtórzyć? No wiesz, gdyby się ze mną skontaktował?

— Jedno. — Wyglądziłem na nim kurtkę. — Powiedz mu, że ja też dotrzymuję obietnic.

Rozdział 79

Godzinę później stanąłem przed Michaeliem Cioffim, zastępcą dyrektora nowojorskiego oddziału FBI.

— Chcę wrócić — oznajmiłem.

Cioffi był moim szefem. To on wysłał mnie na bezterminowy urlop, kiedy pokpiłem sprawę z Cavellem. Nie licząc polityków z Waszyngtonu, był jedną z największych szyszek w FBI.

— Nick. — Cioffi odchylił się na oparcie fotela. — Nikt nie obciąża cię odpowiedzialnością za to, co się wczoraj stało.

— Nie w tym rzecz, Mike. Tu chodzi o Cavella. A ja wiem o nim więcej niż ktokolwiek w Biurze. Poza tym obaj wiemy, że z moją wysługą lat emerytura mi jeszcze nie przysługuje.

Zastępca dyrektora uśmiechnął się, wstał i podszedł do okna. Widać stąd było Ground Zero — ogromną pustą przestrzeń. A dalej Statuę Wolności.

— A jak tam żeberka?

— Całe i zdrowe. — Uniosłem rękę. — Myślałem, że premię za ranę odniesioną podczas pełnienia obowiązków służbowych mam już w kieszeni, a tu proszę, nie zatrzymali mnie w szpitalu nawet na jedną noc.

— Z tą premią byłby problem, nawet gdyby cię zatrzymali. — Cioffi znowu się uśmiechnął, ale tym razem jakoś sztucznie. Wsparł się rękami o parapet. — Nie byłes na

służbie. A twoim wydziałem od paru miesięcy kieruje Ray. I tu właśnie jest pies pogrzebany. Ja też wstałem.

— Ani mi w głowie wygryzać Raya, Mike. Nie zależy mi na powrocie na poprzednie stanowisko, mogę być jego podkomendnym. Byleby dalej pracować przy tej sprawie. Przydam się wam. — Spojrzałem błagalnie na człowieka, który szefował mi od ośmiu lat. — Zrozum, Mike, ja muszę.

Zastępca dyrektora popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie, wrócił za biurko i wziął z niego kartonową teczkę. Wyglądała mi na raport operacyjny.

— Doszły mnie słuchy, że złożyłeś dzisiaj rano wizytę w siedzibie pewnego związku w New Jersey. Jesteś aktualnie zawieszony w obowiązkach służbowych, Nick. Nie wolno ci działać na dziko, według własnego widzimisię. Sprawę prowadzą nasi ludzie. Nie możesz wchodzić im w paradę.

— Wiem o tym, Mike. I dlatego właśnie chcę, żebyś mnie odwiesił.

Cioffi usiadł. Myślałem, że za chwilę kiwnie głową, a on westchnął ciężko i powiedział:

— Nie mogę.

— Jak to? — Zastępca dyrektora nie mógłby mnie bardziej zaskoczyć, nawet wyciągając teraz pistolet i przesywając kilkoma pociskami moją pierś. — Mike, co ty?

— Jesteś jednym z najlepszych moich agentów, Nick, ale masz do tej sprawy za bardzo emocjonalny stosunek. O wiele za bardzo emocjonalny. A to nie jest polowanie na czarownicę, Nick, to prowadzone przez FBI dochodzenie.

Odmawiam.

Siedziałem z rozdziawioną gębą, a jego słowa, jedno po drugim, docierały powoli do mojej świadomości.

— Jeśli chcesz wrócić, to przydzielę cię do jakiejś innej sprawy. Przekrety na Wall Street. Antyterroryzm. Jest ich do wyboru, do koloru. Ale do tej nie.

Do tej nie. Własnym uszom nie wierzyłem. Tropiłem tego

skurwysyna od lat. Przyskrzynyłem go wreszcie, tracąc przy tym dwóch ludzi. Nie chciałem przydziału do innej sprawy.

— Proszę cię, Mike... — Głos mi się załamał.

— Nie. — Zastępca dyrektora pokręcił jeszcze raz głową. — Przykro mi, Nick, ale stanowczo odmawiam. I zdania nie zmienię.

Rozdział 80

Richard Nordeshenko, przeszedłszy bez problemu przez gęste sito kontroli, którym na amerykańskich lotniskach podawany jest każdy pasażer, odleciał z Waszyngtonu przez Londyn do Tel Awiwu. A stamtąd, biegnącą wzdłuż wybrzeża drogą, pojechał do Hajfy.

Podziwiając zza kierownicy audi S6 kwitnące akacje, wspiął się do swojego domu na szczycie góry Karmel, skąd roztaczała się zapierająca dech w piersiach panorama na Morze Śródziemne. Dodatkowe paszporty spalił jeszcze przed opuszczeniem Stanów; nie będą mu już potrzebne.

— Tato! — zawołał z zachwytem Pavel na widok przekraczającego próg ojca.

Z kuchni wybiegła żona, Mira.

— Richardzie! To ty?

Spodziewali się go dopiero za dwa dni.

— A ja. We własnej osobie. — Uścisnął oboje. Trzy dni temu nie miał wcale pewności, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy. — Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Powiedział to z przekonaniem. Głęboki turkus Morza Śródziemnego za szklanymi drzwiami tarasowymi działał na niego jak balsam. No i ta bliskość rodziny. Już nigdy ich nie oszuka. Finansowo jest zabezpieczony do końca życia, więcej pieniędzy

mu nie potrzeba; wycofuje się z branży. Tak czy owak, to robota dla młodych, a on już swoje lata ma.

— Chodź szybko, tato, coś ci pokażę. — syn pociągnął go za rękę. — Obmyśliłem obronę na hiszpańskie otwarcie Kasparowa. Rozpracowałem je!

— No, popatrz tylko, jaki nowy Einstein nam tu rośnie — zażartował Nordeshenko, zwracając się do Miry.

— Nie Einstein, tylko Kasparow — skorygował Pavel. wciągając go do swojego pokoju.

Był zmęczony. I to nie tylko podróżą. Odstawił Cavella do bezpiecznego domu, który przygotowali wcześniej pod Baltimore. Potem zapakowali tę swołocz do skrzyni i załadowali na frachtowiec. Płynący dokąd? Nordeshence śmiać się chciało, ilekroć wspomniał port przeznaczenia. Nawet Interpol nie pomyśli, żeby go tam szukać.

Był zadowolony, ale nie tak do końca. Ten degenerat nie zabijał z podyktowanej interesami konieczności, lecz dla samej przyjemności zabijania. Miał to we krwi. W Rosji ludzie spluwaliby przez ramię i nazywali go diabłem. No nic, on z kontraktu się wywiązał. Miał nadzieję, że nie zobaczy już nigdy tego śmiecia.

— Spójrz, tato. — Pavel zaciągnął go do szachownicy i podniósł gońca od strony królowej. — Widzisz?

Nordeshenko kiwnął głową, ale tak naprawdę to nic mu to nie mówiło. Był taki skonany, że analiza sytuacji na szachownicy przerastała jego siły. Szachy również były grą dla młodych. Uśmiechnął się i poczochnął syna po głowie.

— Zajrzyj do torby. Coś ci przywiozłem.

Chłopiec pośpiesznie rozpakował prezent. I oczy omal nie wyszły mu z orbit.

Mistrzostwa świata w pokerze. Na twarzy Pavla odmalował się zachwyty.

— Chodź, tato! — wykrzyknął z entuzjazmem, odsuwając na bok szachownicę. — Zagrajmy.

— Mój mały Einstein chce zagrać w pokera? No dobrze.

Ale tylko trzy rozdania. Potem się kładę i będę spał przez tydzień! — Przyciągnął sobie krzesło, wspominając swój wielki blef podczas partii rozgrywanej w Nowym Jorku. Wydawało mu się, że to było lata temu. — A jak się obudzę, to opowiem ci coś niecoś o pokerze.

Stopy strasznie mu spuchły. Odnosił wrażenie, że co najmniej dwukrotnie zwiększyły swoją objętość.

— Zaczekaj, ściągnę tylko buty.

Rozdział 81

Przez bity tydzień nie ruszałem się z domu. Przeglądałem do znudzenia taśmę, na której zarejestrowana została ucieczka Cavella. Scena z windy. Trwała dokładnie czterdzieści siedem sekund. Oglądałem ją do końca, potem przewijałem do początku i znowu odtwarzałem. I tak w kółko.

Co jakiś czas dzwonił telefon. A to mój lekarz z zapytaniem, jak się czuję. A to dziekan mojego uniwersyteckiego wydziału. A to ktoś z Biura, gdzie nadal ślimaczyło się śledztwo. To znowu Andie — ona zadzwoniła kilka razy na moją komórkę.

W końcu przestałem odbierać, nawet komórkę. Oddałem się bez reszty oglądaniu nagrania. Za każdym razem widziałem to samo. Cavello doskakuje do panelu sterowania i naciska przycisk. Dwaj strażnicy usiłują go obezwładnić. Drzwi się rozsuwają. Wsiada brodaty facet. Strażnicy są kompletnie zaskoczeni. Nie mają nawet czasu, żeby zareagować. Facet kładzie ich trupem i przebiera Cavella za kobietę. Po chwili już ich nie ma.

Skupiłem całą uwagę na facecie z brodą. Studiowałem w zbliżeniu jego twarz. Staralem się zapamiętać każdą zmarszczkę, każdy charakterystyczny rys. Wertowałem albumy ze zdjęciami znanych przestępców udostępnione mi przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Sam nie wiedziałem, czego szukam. Ale szukałem. Gdzieś tu musiał być jakiś punkt zaczepienia.

Cavello przypadł. Prawdopodobnie nie było go już w kraju. Można przecież wsiąść na pokład jakiegoś frachtowca odpływającego z Newark albo z Baltimore; można, nie zgłaszając planu lotu, przeskoczyć prywatnym odrzutowcem granicę i wylądować na jakimś lotnisku polowym w Meksyku. Paszport łatwo podrobić.

Starałem się nie zapominać, iż jestem agentem FBI, że od jedenastu lat to jest mój świat, moje życie. Że ślubowałem przestrzegać prawa i nie wolno mi tych ślubów złamać.

Ale do myślenia dawało mi coś, co powiedziała kiedyś Andie.

„Świat nie zmieni się na lepsze tylko dlatego, że ty tak chcesz”, wyszeptwała wtedy przez zamknięte drzwi.

Za oknem znowu zapadł zmierzch. Pociągnąłem łyk piwa z puszki. Przewinałem taśmę do początku.

Pamiętałem, co jej odpowiedziałem, też przez zamknięte drzwi:

„Ale próbować nie zaszkodzi”.

Rozdział 82

Dzwonek do drzwi omal nie przyprawił mnie o zawal. Przemknęło mi przez myśl, żeby puścić go mimo uszu.

Siedź, nie otwieraj. Ktokolwiek to jest, pójdzie sobie w końcu.

Pociągnąłem kolejny łyk piwa i przełknąłem wolno.

Dzwonienie nie ustawało. Było natarczywe, irytujące, w końcu zaczęło mnie doprowadzać do szewskiej pasji.

— Nick, nie wygłupiaj się, otwórz. — To była Andie.

Może wstydziłem się spojrzeć jej w oczy po tym, co jej naobiecowałem, a teraz nie byłem w stanie tych obietnic spełnić? Może bałem się jeszcze bardziej ją zranić albo wciągnąć w to, co sobie właśnie postanowiłem? Andie nie dawała za wygraną, dalej naciskała guzik dzwonka.

— Nick, proszę. Nie rób sobie jaj.

Nadal nie reagowałem. Może z obawy, że gdybym jej teraz otworzył, to już by tu została. A tego się trochę obawiałem. A może wcale nie trochę.

Ależ się przykleiła do tego przeklętego dzwonka!

Zatrzymałem taśmę i wyszedłem do przedpokoju. Stałem przez chwilę pod drzwiami, wciąż niezdecydowany. Znowu zadzwoniła.

— Jeden momencik! — zawołałem, odsuwając wreszcie zasuwę. — Już otwieram.

Była w zielonym pulowerku i džinsach.
— Wyglądasz okropnie — powiedziała.
— Wielkie dzięki. — Wpuściłem ją do środka. — Jak mnie...? — zacząłem, ale nie dopuściła mnie do słowa.
— Wyglądasz tak, jakbyś od tygodnia nie zmieniał ubrania, a ogolić też byś się mógł.
— Jak mnie znalazłaś?
Zatrzymała się w przedpokoju i rozejrzała.
— Myślisz, że jest jakiś drugi Nicholas Pellisante, którego przywieziono z raną postrzałową do Bellevue Hospital? Nie odbierałeś moich telefonów.
— Byłaby z ciebie dobra gliniara — mruknąłem, wchodząc do living roomu.
— A z ciebie jest kiepski przyjaciel.
— Masz rację. Przepraszam.
— Wsadź sobie gdzieś swoje przeprosiny. Z tej nory, gdyby się trochę przyłożyć, wyszłoby całkiem sympatyczne mieszkanko.
Zdjęła płaszcz i apaszkę. Przewiesiła je przez oparcie krzesła. Usiadłem na kanapie, wciskając się między oparcie a poręcz.
— Po wyjściu od ciebie pojechałem do Biura poprosić, żeby przydzielili mnie z powrotem do tej sprawy.
— No i...?
— Usłyszałem, że nie ma mowy. Że mogę to sobie wybić z głowy.
Spojrzała na mnie ze zdumieniem.
— Jak to? Dlaczego?
— Powiedzieli, że mam do niej za bardzo emocjonalne podejście. Że każda inna, byle nie ta.
— To formalna granda. I co teraz zamierzasz?
Popatrzyłem na nią. W te fascynujące oczy. Na piersi wypychające sweter.
— Szczerze mówiąc, to nie wiem, Andie.
— Wiesz co, Pellisante — stanęła przede mną i wzięła w dłonie moją twarz — ty do wszystkiego podchodzisz zbyt emocjonalnie. Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca.

Musnęła wargami mój policzek. Potem oko, drugie, usta... Przyciągnąłem ją do siebie. Wargi miała miękkie i ciepłe, wyborne w smaku. Tym razem pocałowała mnie naprawdę z całym zaangażowaniem. Moja ręka zawędrowała pod jej sweter. Zatrzymała się na staniku. Pociemniało mi w oczach. Zjeżyły się włoski na karku. Andie miała bardzo gładką skórę, bardzo jędrne piersi.

Pocałowała mnie znowu, rozpinając mi guzik po guziku koszulę. Przesunęła językiem po moich ramionach i piersi, polizała brzeg rany. Potem jednym szybkim ruchem ściągnęła przez głowę sweter. Czy to aby dobry pomysł? A co mi tam! Niech się dzieje, co chce.

Pociągnąłem ją na kanapę, rozpiąłem jej dzinsy. Ona, obypując mnie pocałunkami, rozpięła moje. Jej gęste włosy zakryły mi twarz.

— Myślę, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, Nick — wyszeptwała, dotykając ustami mego policzka. — Nie wiem do czego, ale tak już jest.

Ściągnąłem pośpiesznie spodnie i wszedłem w nią delikatnie. Nareszcie! Było mi jak w niebie. Zafalowaliśmy zgodnym rytmem.

— Co tu ukrywać. Cieszę się, że przyszłaś.

— Ja dopiero dochodzę... ale to już długo nie potrwa...

Rozdział 83

Za pierwszym razem kochaliśmy się jak dwoje wyposzczonych ludzi, którzy nie mogą się sobą nasycić, którzy od dawna z nikim nie byli. Co akurat się zgadzało. Była to ociekająca potem, gorączkowa jazda bez hamulców, której tempa nie potrafiliśmy ani nawet nie próbowaliśmy kontrolować. Szczytowaliśmy równocześnie, ściskając się za ręce, nie odrywając jedno od drugiego oczu, może już zakochani.

— O Jezu. — Andie znieruchomiła pode mną wyczerpana. Włosy miała mokre od potu, ciało też. — Musiałeś mieć spore zaległości, co?

— Owszem — wydyszałem, staczając się z niej i układając na wznak. — Spore.

W drugim zbliżeniu było o wiele więcej czułości. Przenieśliśmy się do sypialni, butelka włoskiego prosecco na stoliku, Tori Amos z odtwarzacza CD. Tym razem powoli, bardziej romantycznie, przynajmniej w moim rozumieniu romantyzmu. Przypominało to powolny taniec. W niemal idealnym rytmie. Nasze ciała sływały potem. Byłem w siódmym niebie.

Za trzecim razem skopiowaliśmy pierwszy. Nie potrafiliśmy się kontrolować. Pełny odjazd. Prawdopodobnie najlepszy. Podejrzewam, że oboje od dłuższego czasu za czymś takim tęskniliśmy.

Za czwartym razem...

Nie. czwartego razu nie było. Byliśmy na to zbyt wyżęci zbyt wykończeni. Leżeliśmy spleceni w uścisku. Czulem pod piersią walące serce Andie. Tak błogo nigdy mi jeszcze nie było.

— Tylko żebyś sobie o mnie źle nie pomyślał — wyszeptowała. — Nie jestem taka łatwa. Zazwyczaj ulegam dopiero po drugim procesie.

— To tak jak ja — wy dyszałem. — Chyba że nie dochodzi do ogłoszenia wyroku.

Leżeliśmy tak jeszcze przez jakiś czas objęci, zmęczeni. Z największym wysiłkiem rozprostowywałem palcem jej splecione włosy.

— Naprawdę mówiłam wtedy poważnie, Nick — wyszeptowała. — Wiem, jak bardzo chcesz dopaść Cavella. I wiem, jak bardzo przeżywasz, że cię tak potraktowano. Wiem, co to znaczy, kiedy odbierają człowiekowi coś, na czym najbardziej mu w życiu zależy.

— Wiem, że wiesz — mruknąłem, przytulając ją mocno.

— Próbuję dać ci przez to do zrozumienia, że nie chciałabym, aby ostatnie wydarzenia kładły się cieniem na tym, co być może się między nami zawiązuje. Rozumiesz, Nick?

— Andie, ja nie wrócę do Biura na jakąś zatęchłą posadkę, na której moja praca polegałaby na wyszukiwaniu machlojek w deklaracjach podatkowych wielkich firm. Nie mogę. Ja muszę dorwać Cavella. Z ich pomocą albo bez. Dla ciebie, dla siebie... wszystko jedno. Nie spocznę, dopóki tak sienie stanie, dopóki nie dopnę swego.

— A ja? — Wzruszyła lekko ramionami. — Czy mnie też bierzesz pod uwagę w swoich planach na najbliższą przyszłość?

— Ciebie? — Podparłem się na łokciu i uśmiechnąłem do niej. — Ależ naturalnie. Już trzy razy cię wziąłem.

— Ja pytam poważnie — obruszyła się. — Jak teraz między nami będzie?

— Teraz? — Nie miałem na to gotowej odpowiedzi. Bałem się trochę tego niesamowitego magnetyzmu, który się między nami wytworzył. Z drugiej strony czułem, że odżywam. I zaczęliśmy znowu — ja pieściłem ją dłońmi, ona zataczała paznokciami małe kółeczka w okolicach mego krocza. — Teraz... — wtoczyłem się znowu na nią... — teraz chyba zrobimy to czwarty raz.

Rozdział 84

Przez następne dwa dni kochaliśmy się z Andie jak w transie. Z czterech razy zrobiło się siedem, z siedmiu dziesięć, w końcu przestałem liczyć, żadne z nas nie miało do tego głowy. Dwa razy ubraliśmy się i zeszliliśmy do pobliskiego barku zjeść coś i napić się kawy. Ale wystarczyło jedno spojrzenie. To specyficzne spojrzenie. I znowu byliśmy w łóżku.

Może oboje odkryliśmy na nowo ten rozkoszny dreszcz towarzyszący budzącemu się pożądaniu i uzależniliśmy się od niego. Kiedy kończyliśmy, nie mogłem oderwać od Andie rąk. Nie mogłem się doczekać, kiedy znowu poczuję pod sobą jej ciało i ponownie stopimy się w jedno. Wciąż było mi jej mało. Cavello może poczekać. Jeszcze tylko ten jeden raz. Kompletny amok. Chyba oboje tego potrzebowaliśmy. Ale ten czas zapomnienia nie trwał długo.

Od paru dni nie odbierałem telefonu. Kiedy dzwonił, udawaliśmy, że nie słyszymy.

Aż do pewnego momentu. Od razu poznałem podbarwiony akcentem z New Jersey głos wydobywający się z automatycznej sekretarki i w pierwszej chwili zdębiałem. Kogo jak kogo, ale jego nie spodziewałem się usłyszeć.

— Sie masz, Pellisante.

Przeturlałem się na krawędź łóżka i wymacałem słuchawkę.

— Frankie?!

— Kopę lat, Nicky Makaroniarzu. — Frank Delsavio zachowywał się tak, jakby rozmawiał ze starym kumplem. — Pamiętasz tę pocztówkę, o której mówiłem, tej od naszego wspólnego przyjaciela?

— Wiem, o kogo chodzi, Frank.

— No, ty byś nie wiedział. Właśnie ją dostałem. Co ty na to? Zerwałem się z łóżka.

— Gdzie on jest, Frank? — wrzasnąłem.

— Gdzie jest? — Delsavio zachichotał. Bawiło go widać to granie mi na nerwach. — Na końcu świata, Nickuś! Kazał, żeby ci to powtórzyć. — Tu zarechotał, skurkowy. — Więc powtarzam słowo w słowo: „Na samym, kurwa, końcu świata, Nicky Makaroniarzu”.

Może już wiedział. Może wiedział, że wypadłem z gry — że mogą mu naskoczyć, choćby nie wiadomo co powiedział albo zrobił. Zacisnąłem pięści, krew uderzyła mi do głowy.

— Powiedziałem mu, że chcesz to na gwałt wiedzieć — wychichotał Frank Delsavio. — Kazał mi cię od siebie pozdrowić. I kazał ci jeszcze powtórzyć, słowo w słowo: „Koniec świata, Nicky Makaroniarzu. Zapraszam z kajdankami”.

Część trzecia

Piskorz

Rozdział 85

Nigdy nie wiadomo, kiedy ani czy nastąpi przełom, który popchnie śledztwo do przodu. Zwykle nie jest on sprawą jakiegos przebłysku geniuszu. Po prostu ktoś, kto chce uniknąć więzienia, łamie się i zwierza komuś z czegoś. Jednak czasami takie przebłyski się zdarzają. Kłaczek mgiełki na tle rozgwieżdżonego nieba nabiera nagle kształtu i pełnej wyrazistości.

Na mnie takie olśnienie spłynęło podczas oglądania po raz nie wiadomo który taśmy z sądowej windy. Tych czterdziestu siedmiu sekund nagrania, nad którym tyle czasu już ślęczałem.

Kolega z C-10 w imię starej znajomości informował mnie pa bieżąco o postępach śledztwa. Dzień po ucieczce Cavella znaleziono zamordowaną Monice Ann Romano, pracownicę sądu. Mógł to być zwyczajny zbieg okoliczności, ale sprawdzić nie zaszkodzi. Matka kobiety zeznała, że jej córka z kimś się ostatnio spotykała. Ani ona, ani nikt z pracy Moniki Ann nie widział tego człowieka. Jedyne, co potrafiła o nim powiedzieć, to to, że miał jakiś dziwny akcent. Policja podejrzewała, że człowiek ten zmusił szantażem Monice Ann do wniesienia pistoletu do gmachu sądu.

Bronco, którym uciekł Cavello, rozebrano na części pierwsze, z których zdjęto odciski palców i pobrano próbki DNA. W domu, w którym zastrzelona została siostra Denunziatty, nie znaleziono nic. Przeczesano okolice miasteczka Paterson

w New Jersey. Przejrzano dokładnie zapisy ze wszystkich kamer na wjazdach na międzystanową 1-95 oraz na drodze szybkiego ruchu Jersey Turnpike.

Olśnienia doznałem w środku nocy. Nie mogłem zasnąć.

Siedziałem przy komputerze i po raz chyba tysięczny przeglądałem taśmę z windy. Wydrukowałam twarz brodacza, żeby pokazać ją Ogiłowowi. Może zna człowieka i przyciśnięty do muru wyjawi mi jego tożsamość. Tylko czym go do tego muru przycisnąć? W zasadzie nic konkretnego na niego nie miałem.

Czekałem, aż taśma dojdzie do końca. Powieki mi ciążyły. Było po drugiej nad ranem. Trzeba się trochę zdrzemnąć. Wyciągnąłem rękę, żeby nacisnąć klawisz przewijania.

I nagle zastygłem z palcem nad klawiszem.

Odeszła mnie senność. Zamrugąłem. Eureka! Teraz już wiedziałem, co czuł Archimedes, wyskakując z wanny. Mam!

Zatrzymałem taśmę, nachyliłem się do ekranu i jeszcze raz przyjrzałem bacznie brodaczowi. Ale tym razem nie jego twarzy, nie pistoletowi ani zegarkowi — te zdążyły już wryć mi się w pamięć.

Butom sukinsyna.

Zrobiłem zbliżenie na te buty. Nie do wiary, że jeszcze przed chwilą sen mnie morzył. Nad obcasem widniało wyraźne gumowe logo producenta.

Jakieś kółko... przepołowione falistą linią.

Jeżu, Nick! Dlaczego dopiero teraz zwróciłeś na to uwagę?

Wiedziałem, co to za buty.

Serce waliło mi jak młot. Przed trzema laty szkoliłem na Bliskim Wschodzie tamtejszych inspektorów policji.

Te buty były izraelskiej produkcji. Wytwarzano je na zlecenie izraelskiej armii i rozdawano żołnierzom wraz z innymi artykułami pierwszej potrzeby w okolicznościowych paczkach.

Sam je tam nawet nosiłem.

Rozdział 86

Wspólnik Cavella musiał być Izraelczykiem. To już coś.

Po frustracji, w jaką wprawiło mnie zgubienie tamtego czarnego bronco, nie pozostało śladu.

Była głucha noc. Zrobiłem sobie jeszcze jedną mocną lawę i zacząłem przeglądać albumy ze zdjęciami osobników i podejrzanych o terroryzm, które udostępniła mi Agencja bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nareszcie miałem ten swój punkt zaczepienia. Igła w stogu siana trochę się powiększyła albo może stóg się skurczył. Większość twarzy zdradzała bliskowschodnie pochodzenie swoich właścicieli, tym nie poświęcałem większej uwagi. Szukałem Europejczyka. Znałem mniej więcej wzrost i wagę.

Minęła trzecia trzydzieści, potem czwarta nad ranem, a ja miałem jeszcze do przejrzania cały stos albumów ze zdjęciami setek twarzy. Pakistańczycy, baskijscy separatyści, sympatycy Al-Kaidy, FALN, członkowie IRA. Wszyscy oni z takiego czy innego powodu znajdowali się na celowniku służb antyterrorystycznych. Wszyscy bawili swego czasu w Stanach Zjednoczonych. Wielu znało się na materiałach wybuchowych. Z czwartej zrobiła się piąta. Nie zauważyłem nawet, kiedy za oknem zaczęło dnieć.

Nagle coś kazało mi się powstrzymać od przerzucenia kolejnej strony. Mężczyzna z tego zdjęcia wydał mi się znajomy.

Miał krótko ścięte, kasztanowe włosy przetykane pasemkami siwizny, słowiańskie rysy twarzy i poważne, ciemnoszare oczy.

Rosjanin — i nie tylko to mnie zainteresowało.

Były żołnierz specnazu. Wojskowych sił specjalnych. Służył w Czeczenii. W roku 1997 zdezerterował. Na długi czas po prostu znikł. Podejrzewano, że przeszedł na stronę czeczeńskich rebeliantów.

Riemlikow. Kola.

Wyciągnąłem jego teczkę.

Łączono go z kilkoma zabójstwami w mafijnym stylu, do których doszło w ciągu ostatnich lat w samej Rosji i Europie. Skorumpowany policjant z St Petersburga. Skruszony gangster zeznający na procesie w Moskwie. Poszukiwano go również w celu przesłuchania w sprawie nagłośnionego przez media zabójstwa wenezuelskiego ministra przemysłu naftowego, do którego doszło przed rokiem w Paryżu.

Lecz mnie bardziej niż jego resume, choć obiecujące, bardziej nawet niż te zamyślane, ciemne oczy zainteresował fakt, że w Czeczenii został ranny — odłamkiem granatu w prawą nogę. Przypuszczano, że do tej pory lekko utyka.

Przypomniały mi się te izraelskie buty.

Przystawiłem małą fotografię z akt do ekranu monitora wyświetlającego klatkę z materiału zarejestrowanego przez kamerę z sądowej windy.

O cholera! Jeszcze nic pewnego, ale kto wie?

Zerknąłem na zegar. Było już po piątej. Tutaj nic się jeszcze nie działo, ale po drugiej stronie globu ludzie jedli już lunch.

Wysunąłem szufladę biurka i zacząłem przebierać w ściągniętych gumkami plikach wizytówek. Miałem gdzieś tu numer telefonu sekcji antyterrorystycznej rosyjskich służb bezpieczeństwa. Dzwoniłem tam od czasu do czasu, kiedy trzeba było doprowadzić do ekstradycji jakiegoś płatnego zabójcy zakontraktowanego przez rosyjską mafię, który wywiązał się ze zlecenia i zbiegł do kraju. Znalazłem. Porucznik Jurij Plechow. Federalna Służba Bezpieczeństwa. FSB. Wybrałem trzynasto-

cyfrowy europejski numer. Byleby tylko był u siebie. Ode-
tchnąłem z ulgą, kiedy w słuchawce rozległ się jego głos.

— Plechow, słyszają?

— Cześć, Jurij. Pamiętasz mnie jeszcze? — Na wszelki
wypadek przedstawiłem mu się jeszcze raz.

— Jak miałbym nie pamiętać, inspektorze. — Jurij Plechow
posługiwał się płynnym, potocznym angielskim. — Wspólnie
zapuszkowaliśmy tego waszego mafiosa, Fiodorowa, zgadza
się?

— Pogratulować pamięci, Jurij — pochwaliłem. — A prze-
chodząc do rzeczy, chciałem cię prosić, żebyś sprawdził w
waszych bazach danych, co macie na jeszcze jednego.

Przesylabizowałem mu nazwisko.

— Riem-li-kow? — powtórzył. — Coś mi się obilo o uszy.
Już wprowadzam do komputera. Młoda tam jeszcze u was
godzina, co, inspektorze?

— Tak, tak — mruknąłem, nie miałem ochoty na pogad-
uszki. — Bardzo młoda.

— No, jest taki, inspektorze. Riemlikow, Kola. Poszukiwany
w celu przesłuchania w sprawie kilku morderstw popełnionych
w Rosji i Europie. Imponujące dossier. Podejrzany między
innymi o wysadzenie w powietrze całego budynku, w którym
mieszkał pewien urzędnik państwowy. Zginęły dwadzieścia
cztery osoby.

Poczułem silne uderzenie adrenaliny.

— Jak go znaleźć, Jurij?

— Przykro mi, ale nie dysponuję numerem jego komórki,
inspektorze. — Plechow zachichotał. — Wiadomo nam tylko,
że posługuje się kilkoma fałszywymi nazwiskami i paszportami.
Estońskim, bułgarskim... Nazwiska, to Kristich, Daniłow,
Mastarch. W zeszłym roku przebywał chyba w Paryżu w czasie,
kiedy został tam zamordowany ten wenezuelski minister od
nafty. Skutecznie zaciera za sobą ślady. Wątpię, żeby był teraz
w Rosji. Podobno ma tu u nas ksywkę Pieskar, Piskorz.
Wiecie, taka śliska ryba, co to nie da rady jej złapać gołymi

rękami. Jak chcecie, to mogę wam wysłać faksymile jego linii papilarnych.

— Byłbym bardzo wdzięczny. — Piskorz. Oślizły, pieprzony piskorz. To by pasowało. — Od czego byś mi radził rozpocząć poszukiwania, Jurij?

Nie odpowiedział od razu. Słyszałem stukot klawiszy, pewnie przeglądał swoją bazę danych.

— Wychodzi na to, że od waszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Znaczą się, Departamentu Stanu, inspektorze. Z tego, co tu widzę, tam pomogą wam skuteczniej niż my.

Departament Stanu? Nasz Departament Stanu?

— A to czemu?

— Bo ostatnie znane miejsce pobytu Riemlikowa to Izrael, inspektorze.

Rozdział 87

Nareszcie jakiś trop. Brodata twarz nie była już bezimienna, miała teraz nazwisko i historię. Chwilą później nadeszły faksem linie papilarne Riemlikowa, ale mnie oczy same się już zamykały.

Drzemałem do dziewiątej. Potem wziąłem prysznic, ogoliłem się i zadzwoniłem do znajomego z FBI. Umówiłem się z nim na dziesiątą.

Senil Chumra, zażywny, sympatyczny Hindus, nie był rezydentem oficjalnej śródmiejskiej siedziby FBI. Urzędował w niepozornym magazynie z widokiem na rzekę u zbiegu Osiemnastej Ulicy i Dziesiątej Alei. Kierował wyspecjalizowaną komórką Biura, którą nazywaliśmy KWD.

Komputerowe Wspomaganie Dochodzeń.

Zajmowali się tam podglądem e-maili, włamywaniem się do komputerów, rozkodowywaniem haseł, śledzeniem skomplikowanych operacji wyprowadzania gotówki z kraju. Ostatnio współpracowałem z Chumrą przy śledzeniu kanałów, którymi Cavello transferował na Kajmany pieniądze ze związkowych składek. Hobby Senila było retuszowanie cyfrowych obrazów.

— Czołem, Nick! — zakrzyknął radośnie Chumra, kiedy wszedłem do laboratorium. Chłopaki z pionu technicznego zawsze się cieszyli na widok przystojniaczków. Tak nas nazywali. — Dawnośmy się nie widzieli. Co słyhać?

— Jakoś leci — zełgałem. — Roboty huk. — Ci magicy od techniki pracowali we własnym, wyspecjalizowanym światku. Nie było sensu wtajemniczać go w problemy, które ostatnio miałem. — Dostałeś mojego e-maila?

— Przyszedł. — Senil, chyba trochę rozczarowany moją małomównością, przemieścił się z krzesłem na kółkach do monitora Maca. — Tu go załadowałem.

Kliknął myszą i na ekranie pojawiła się brodata facjata współnika Cavella.

— No, Nick, mów, czego ode mnie oczekujesz.

— Żebyś popracował nad tym wizerunkiem, Chummie. Żebyś sprawdził, czy aby nie kryje się pod nim ktoś, kogo znam.

Chumra kiwnął głową, zakręcił rozluźniającego młynka ramionami, rozprostował z trzaskiem stawów splecione palce, nachylił się do ekranu i kliknął znowu myszką. Na twarz nałożyła się siatka współrzędnych.

— Od czego zaczynamy?

— Na początek zdejmij mu tę brodę.

— Sie robi. — Senil przebiegł palcami po klawiaturze i obraz na ekranie skurczył się do niewielkiego kwadratu, który wypełniała sama twarz osobnika. Potem objechał kursorem zarys brody. Suwał nim wte i wewte, a przypominało to zamalowywanie jej farbą w sprayu.

— Czym się ostatnio zajmujesz? — spytał, nie odrywając oczu od ekranu i sterując kursorem jak chirurg. — Podobno macie tam, w C-dziesiąt, nielichy zgryz z tym Cavellem i w ogóle. Co, podejrzewasz, że się kamufluje?

— Trudno powiedzieć — mruknałem, dając do zrozumienia, że nie mam ochoty ciągnąć tego tematu. — Chcę tylko coś sprawdzić.

— Aha, sprawdzić. — Senil westchnął i dał spokój próbom nawiązania konwersacji. — To, co teraz robię, nazywamy przeszczepianiem — wyjaśnił, kontynuując zamalowywanie kursorem brody. Był już za podbródkiem. — Na początek zczyścimy pole: usuwamy przebarwienia skóry, jakieś blizny,

w tym przypadku brodę. — Na moment fragment twarzy znikł. Senil pobrał kolor skóry z jej widocznej części i wypełnił nim pustą przestrzeń. — A potem robimy przeszczep. — Wyprofilował zarys twarzy. — Stąd wytnij, tam wklej.

— Nieźle — pochwaliłem, pochylając się i zagładając mu przez ramię. — Może teraz zmienilibyśmy mu włosy. Na krótko ostrzyżone i trochę ciemniejsze.

Senil kliknął myszą na ikonie i na ekranie pojawiła się galeria najprzeróżniejszych fryzur.

— Która ci pasuje?

Wybrał tę, którą pokazałem palcem, i nasadził ją jak czapkę na wymodelowaną przed chwilą głowę.

— Teraz cofnij trochę linię włosów. Po bokach. Znaczy, zrób mu te... no... zakola.

Chummie znowu zaczął żonglować kursorem.

— O tak, właśnie tak. Możemy teraz zdjąć mu te cyngle?

— Nie ma sprawy.

Po minucie przeszczepiania ciemne okulary zniknęły z nosa mężczyzny.

— O, ja piórkuje! — wyrwało mi się. Kolana się pode mną ugięły.

— Coś jeszcze, Nick? Jak nie jesteś zadowolony, to powiedz. Przerobię ci go, na kogo tylko chcesz.

— Nie trzeba, Chummie. — Poklepałem go lekko po ramieniu. — To chyba to.

Wyciągnąłem akta Koli Riemlikowa, które przesłał mi faksem Jurij Plechow. Przystawiłem zdjęcie Riemlikowa do ekranu, na którym widniała wyretuszowana twarz współnika Cavella.

— Bingo — powiedział Senil Chumra.

To był ten sam człowiek.

Rozdział 88

Jedenaście lat pracy w jednej z najbardziej na świecie biurokratyzowanych agencji wymiaru sprawiedliwości zrobiło swoje. Uznałem automatycznie, że muszę udać się bezzwłocznie do Javits Building i podzielić tym, co odkryłem, z zastępcą dyrektora, Cioffim.

Nie było wątpliwości, że człowiekiem, który odbił Cavella, był Kola Riemlikow.

Machnąłem przed skrzyżowaniem na nadjeżdżającą taksówkę. I naraz coś kazało mi się wstrzymać. Sam nie wiem co.

Może żal mi się zrobiło podawać tak na tacy Riemlikowa ludziom, którzy sami nie potrafili go do tej pory zidentyfikować i pozwolili człowiekowi uciec? Albo uświadomiłem sobie nagle, jak trudno będzie dowieść tego, co ustaliłem — dotrzeć do niego takim czy innym kanałem, przesłuchać... Jakie agencje zostałyby w to włączone? Czy przydzieliliby mnie do sprawy? Jeden przeciek, i Riemlikow znikłby na zawsze. A razem z nim Cavello. I co wtedy?

Tyle lat trzymałem się ściśle przepisów, teraz wydało mi się to niewskazane.

Machnąłem do taksówkarza, żeby jechał dalej. A sam cofnąłem się pod ścianę budynku i ze zdjęciami w ręku zastanawiałem się przez chwilę, jak najlepiej będzie w tej sytuacji postąpić. Kiedy zaświtała mi koncepcja, odezwał się głos

rozsądku: jak na wykładowcę etyki w pracy organów ścigania. Nick, dziwnie łatwo skłaniasz się do palnięcia wielkiego głupstwa. Wyszukałem w organizerze numer Steve'a Bushnagela i zadzwoniłem. Zapytałem, czy ma jakieś plany w związku ze zbliżającą się porą lunchu. Steve był teraz partnerem w pewnej prywatnej kancelarii prawniczej, ale doradzał jeszcze FBI jako ekspert od ekstradycji i prawa międzynarodowego.

— Lunch? Gdzie? — spytał Bushnagel.

— Byle tanio i szybko — odpowiedział. — Ja stawiam.

— Jak szybko?

— Wsiadaj do windy. Czekam przed wejściem. Czekałem na niego z dwoma hot dogami, oparty o samochód zaparkowany przed wysoką szklaną wieżą przy Szóstej Alei.

— Z keczupem czy z musztardą? — zapytałem, kiedy wyszedł z holu.

— Może to niezbyt eleganckie, ale nie będziesz miał żalu, jeśli powiem, że oba?

Usiedliśmy na murku przy ruchliwym skrzyżowaniu, po trotuarze przelewały się lunchowe tłumy.

— Steve, chciałbym dopaść kogoś, kto mi zwiął do Izraela.

— Dopaść?

— Jeśli chodzi o ścisłość, to z powrotem go tu ściągnąć.

Bushnagel wziął solidnego gryzą.

— To nasz czy obywatel Izraela?

— Podejrzewam, że ma izraelskie obywatelstwo. Mieszka tam od jakiegoś czasu.

— I ścigasz go zapewne za przestępstwa popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych, nie w Izraelu, mam rację?

— Rozmawiamy nieoficjalnie, prawda, Steve?

Pomachał mi przed nosem nadgryzionym hot dogiem.

— Zapewniam cię, że za takie honorarium na nic więcej nie masz co liczyć.

Uśmiechnąłem się.

— Okay. W takim razie nadmienię, że być może mówimy tu również o innych jego sprawkach w Rosji i we Francji.

— Hm — odchrząknął Bushnagel. — Izraelczycy skłonni są iść na współpracę, ale do pewnego stopnia. Pamiętasz Jonathana Pollarda? Aresztowaliśmy go w osiemdziesiątym piątym za szpiegostwo... z izraelskiego punktu widzenia, bezpodstawnie. Od dwudziestu lat starają się go bez powodzenia od nas wydobyć. Albo tego gościa od sklepów z elektroniką, który tam uciekł? „Crazy Eddiego” Antara? Popatrz tylko, ile to się ciągnęło, zanim go nam wydali. Oczywiście wszystko zależy od tego, o czym naprawdę tu rozmawiamy.

— O czym rozmawiamy?

— O świecie, jaki nastał po Jedenastym Września. — Prawnik wrzucił ramionami. — Czy Izraelczycy czegoś od nas chcą? Czy są w to zamieszane inne rządy? Widzisz, Nick, chociaż odszedłem z rządowej posady, to mimo wszystko nie straciłem tak zupełnie kontaktu z rzeczywistością. I wiem, że tu nie chodzi o ściganie oszusta podatkowego. Jeśli dowody są niezbite, to na pewno pozwolą wam przesłuchać tego faceta. Ale pod jakimi warunkami i ile poczekacie na wydanie zgody, to już zupełnie inna para kaloszy. To coś pilnego?

— Bardzo. — Wrzuciłem z ponurą miną ramionami. — Priorytet.

— Wszyscy tak mówią. Poza tym tu w grę wchodzi również czynnik interesów państwa. Czy Izraelczykom to na rękę? Czy mają z nami aktualnie jakiś interes do ubicia? Czy zamierzają ubić jakiś interes z Rosjanami albo Francuzami, zanim go nam przekażą? To delikatna sprawa, Nick. A ty, o ile mi wiadomo, z delikatnością jesteś raczej na bakier.

Potaknałem.

— Widzisz, przymkną go może na wasze żądanie. Zaangażuje się w to kupa luda. A rezultat trudno przewidzieć. Przecież zawsze istnieje ryzyko, że nie zadziałają tam dostatecznie szybko, gościu wyczuje pismo nosem, da nogę i nigdy więcej o nim nie usłyszysz.

— Gotów jestem podjąć takie ryzyko — mruknąłem, potrząsając głową.

— Rozumiem cię. — Bushnagel westchnął. — Fakt pozostaje jednak faktem. To wóz albo przewóz.

— W realnym świecie, owszem — przytaknąłem, mnąc w dłoniach opakowanie po hot dogach.

Wiedziałem, że Steve zastanawia się, dlaczego przychodzę z tym właśnie do niego. Już dawno odszedł z FBI, a tam nadal było wielu prawników, którzy z powodzeniem mogli zająć się tą sprawą.

— Tak na marginesie, Nick — Bushnagel przyjrzał mi się uważnie — czy istnieje jakiś inny?

Rozdział 89

Sunałem paznokciem wzdłuż kręgosłupa Andie.

— Nie rób tak. — Wzdrygnęła się i przytuliła do mnie.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Rozmowa ze Steve'em Bushnagem dała mi wiele do myślenia. W realnym świecie kazałbym aresztować Riemlikowa. Potem bym go przesłuchał. On sypnąłby Cavella i miałbym drania. Normalka. Niestety, ten „realny świat” bardzo się ostatnio skomplikował.

Znowu przesunałem palcami po kręgosłupie Andie. Tym razem obróciła się twarzą do mnie i podparła na łokciu. Wyczuła, że to nie żarty.

— O co chodzi?

— Chyba namierzyłem człowieka — powiedziałem — który wysadził w powietrze wasz autokar.

Andie usiadła, całkiem już rozbudzona.

— Czy ja dobrze słyszę, Nick?

— Pokażę ci.

Sięgnąłem po brązową kopertę leżącą na nocnym stolczku, otworzyłem ją i rozłożyłem na łóżku kilka czarno-białych fotografii, udostępnionych mi przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego i przesłanych faksem przez Jurija Plechowa.

— Nazywa się Riemlikow — powiedziałem. — Jest Rosjaninem. Zabójcą do wynajęcia. I to dobrym w swoim fachu.

Ma na koncie kilka krwawych zamachów. Cavello zakontraktował go prawdopodobnie za pośrednictwem rosyjskiej mafii. Podejrzewam, że przebywa teraz w Izraelu.

Patrzyła na zdjęcia szeroko otwartymi oczami. Dołożyłem to, które spreparował w swoim laboratorium Chummie, przedstawiające mężczyznę z windy bez charakteryzacji. Oczy Andie zrobiły się jeszcze większe. Wzięła to zdjęcie i przez dłuższą chwilę przyglądała się kanciastej, mrocznej twarzy.

— Dlaczego sądzisz, że to on wysadził autobus?

— Dlatego. — Wyciągnąłem z koperty dwie ostatnie fotografie. Najpierw pokazałem jej tę, którą dałem Senilowi do obróbki. Wygrzebałem to ujęcie po wielu godzinach przekopywania się przez materiał zarejestrowany przez kamery sądowego systemu bezpieczeństwa. Ale nie w dniu uciezki. Wcześniej. Podczas pierwszego procesu Cavella. — Wyobraź go sobie bez baczków i okularów. — Położyłem obok wyretuszowaną wersję zdjęcia.

— O Boże! — Sięgnęła po fotografię i zaciskając mocno szczęki, wpatrzyła się w twarz mężczyzny. Po chwili jej oczy wypełniły się łzami.

— Dlaczego dopiero teraz mi to pokazujesz? — spytała, odwracając się do mnie plecami.

— Bo dopiero dzisiaj dostałem te fotografie.

— I co teraz? Przekażesz je swoim? — spytała z ożywieniem. — A oni go aresztują. Tak?

— Nie wiem. Może się okazać, że to nie takie proste. Trzeba się będzie skontaktować z Izraelczykami. Rozmowy na szczeblu rządowym. Procedury. Tego rodzaju dowody nie są uznawane za mocne. Fotografie łatwo spreparować. Trudno powiedzieć, co z tego wyjdzie.

— Jak to, nie wiesz? Ten człowiek zabił kilku szeryfów federalnych i pomógł Cavellowi w ucieczce. Dokonał zamachu bombowego na autokar z przysięgłymi, Nick. Pozbawił życia mojego synka.

— Wiem, wiem. Ale to skomplikowana sprawa. Andie. Po pierwsze, Riemlikow jest obcokrajowcem. Po drugie, jego ekstradycją mogą być również zainteresowane rządy innych państw. Organa ścigania innych krajów. No i przede wszystkim Izraelczycy muszą się zgodzić na jego wydanie.

— Co ty wygadujesz, Nick? — W jej oczach pojawił się bunt. — Przecież mogą zwyczajnie aresztować tego człowieka. Wiesz, gdzie przebywa. To twoi koledzy, Nick. Co na to Biuro?

Pokręciłem głową, odczekałem sekundę i powiedziałem:

— Nie powiadomiłem o tym Biura, Andie.

Zamrugła jak bokser oszołomiony celnym ciosem. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— Co ty wygadujesz, Nick?

— Taki człowiek potrafi zapaść się pod ziemię z chwilą, kiedy zwęszy, że ktoś się nim zainteresował. A Cavello też da nogę, jak się tylko kapnie, że jesteśmy na ich tropie. I szukaj potem wiatru w polu. — Spojrzałem jej w oczy. — Już dwa razy nam się wymknął. Nie wolno nam stracić go teraz z oczu.

Chyba dotarło do niej wreszcie, co mi chodzi po głowie, bo rumieniec wzburzenia spelzł z jej twarzy. Spojrzała na mnie tak, jakby dopiero teraz zrozumiała, z jakim człowiekiem się zadała.

— Powiedziałem ci, Andie, że nie spocznę, dopóki go nie przyskrzynię.

Kiwnęła głową.

— Nawet nie zapytam, Nick. Powiem ci tylko, że jestem z tobą na dobre i na złe. Słyszysz? Rozumiesz?

— Nie w tym przypadku — odparłem. — Tę sprawę muszę załatwić sam. Tobie nie radzę się w to mieszać.

— Mam gdzieś twoje rady. — Uśmiechnęła się półgębkiem. — Wiem bardzo dobrze, co zamierzasz. A zresztą już jestem zamieszana.

— Wybij to sobie z głowy. — Moje plany obejmowały akcję na terenie obcego państwa, akcję z ewidentnym pogwałceniem prawa.

— Nie wybije, Nick. — Wzięła do ręki fotografię Riemlikowa. — Straciłam syna. Ja też chcę dopaść Cavella.

— Czy masz pojęcie, co tam się będzie działo? Czy wiesz, w co się pakujesz, Andie?

— Wiem. — Położyła mi głowę na piersi. — Wiem, co się będzie działo, Nick. I modłę się o to.

— Pojutrze mamy samolot — mruknąłem.

Rozdział 90

Chuderlawy facet w okularach w szylkretowej oprawce odchylił się na oparcie parkowej ławki i spojrzał na mnie z ukosa.

— Skąd masz te linie papilarne, które mi przesłałeś?

Charlie Harpering był moim starym przyjacielem. Siedzieliśmy na małym skwerku przed gmachem sądu. Historyczna dzielnica Five Points z Gangów Nowego Jorku. Charlie pracował wiele lat w FBI. Jakiś czas temu przeszedł do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To on załatwił mi dostęp do akt Agencji.

— Mniejsza z tym, gdzie i w jaki sposób je zdobyłem. Chcę tylko wiedzieć, czy udało ci się ustalić, do kogo należą.

Harpering przyglądał mi się długo i uważnie. Tego, o co go prosiłem — a prosiłem o udzielenie mi informacji z pominięciem wszystkich formalnych kanałów i procedur, bez wiedzy szefa — nie robi się nawet dla najlepszego przyjaciela.

— Wiesz, że mogę przez to stracić uczciwie wypracowaną emeryturę.

— Możesz mi zaufać, Charlie. — Uśmiechnąłem się szeroko. — Zresztą te emerytury i tak są mocno przereklamowane. To dla mnie bardzo ważne. Macie te odciski w swojej kartotece?

Westchnął ciężko, otworzył neseser i wyjął kartonową teczkę. Położył ją sobie na kolanach i kiwnął głową.

— Owszem. Mamy.

Otworzył teczkę. Zobaczyłem powiększenie odcisków palców, które przesłał mi faksem Jurij Plechow.

— Należą do Estończyka — powiedział Harpering. — Niejakiego Stiepana Kollicha. Dwunastego kwietnia wylądował na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego z wizą komercyjną.

Dwunastego kwietnia. Sześć dni później w gmachu sądu doszło do odbicia Cavella.

Przepełniło mnie poczucie pewności. Riemlikow tu był.

— Tu dalej przeczytasz, że siedem dni później opuścił Stany. — Harpering pokazał palcem. Dzień po akcji! — Odleciał do Londynu. Z Waszyngtonu.

— Az Londynu dokąd? — zapytałem.

— Donikąd. — Agent wzruszył ramionami. — Przynajmniej nie pod tym nazwiskiem.

— Dziękuję ci, Charles. — Poklepałem go po ramieniu. — Trzymaj. — Wręczyłem mu torbę na zakupy z plikiem akt Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. — Nie będą mi już potrzebne.

Ścisnął torbę nogami.

— Co ty, u diabła, kombinujesz, Nick? Zrobiłem to tylko i wyłącznie z przyjaźni. Gdyby z podobną prośbą zwrócił się do mnie ktoś inny, już by siedział. Kim jest ten facet?

— Powiedzmy, że chcę się czymś wyróżnić w pracy. Czy się wyróżnię, czy raczej podpadnę, to się dopiero okaże. Bo na dwoje babka wróżyła.

Harpering pociągnął nosem.

— Wiem, o co ci chodziło z tą emeryturą. Dobra, oszczędzę ci mitręgi, Nick. Niech się, kurczę, dzieje, co chce.

— W jaki sposób?

Wyjął z neseseru jeszcze dwie kartki i wsunął je do teczki.

— To jest wniosek Kollicha o przyznanie wizy. Przez wzgląd na stare dobre czasy. I tak między nami, Nick, ten wniosek nie został złożony w Tallinie, Nick. Nie w Estonii. Złożono go w Tel Awiwie.

Zamrugałem.

— Jezu.

— I nie koniec na tym. — Harpering położył teczkę na moich kolanach. — Zakładając, oczywiście, że chcesz go namierzyć. Powodzenia, Nick. — Harpering wstał. — Odstrzel jaja temu sukinsynowi również w moim imieniu.

Zajrzałem do teczki. Do formularza wniosku o wizę wpisany był adres: ulica Yehudy 225. Hajfa.

Rozdział 91

Mira wyszła na zakupy. Richard Nordeshenko grał z synem w szachy na tarasie. Zastanawiał się właśnie nad swoim następnym posunięciem, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

— Zobacz, kto to, Pavle.

Chłopiec podniósł się od stolika i poszedł otworzyć.

Nordeshenko upajał się swoim nowym życiem. Telefon komórkowy cisnął do morza, a tych kilka kontaktów, którym jeszcze ufał, powiadomił, że wycofuje się z branży. Na dobre.

Kąpał się codziennie w Morzu Śródziemnym. Codziennie odbierał syna ze szkoły i podwoził go na lekcje szachów. Wieczorami buszowali z Mirą po eleganckich sklepach w Carmel Center, chodzili do kawiarni. Starał się zapamiętać, że jeszcze przed kilkoma tygodniami o jego ostatnim zbrodniczym wyczynie rozpisywały się na pierwszych stronach wszystkie gazety.

— Tato! Jakiś pan do ciebie!

Podniósł się powoli z krzeselka, z ociąganiem oderwał wzrok od szachownicy i wszedł do living roomu. W większe osłupienie niż widok mężczyzny, który stał w drzwiach wejściowych, nie wprawiłby go nawet nalot oddziału agentów Mossadu.

Reichardt.

— Witaj, Remi.
— A ty co tu robisz? — wykrztusił Nordeshenko. Twarz mu się ściągnęła i poszarzała.
— A podróżuję sobie, Remi. Trochę zwiedzam. Liczę na gościnność starego przyjaciela.
Nordeshenko spojrział na Pavla.
— Idź, synku, przeanalizować sytuację na szachownicy po moim ostatnim ruchu.
Chłopiec przestąpił z nogi na nogę.
— No, idź! — W głosie ojca pojawiła się ostrzejsza nuta. Spłoszony chłopiec przełknął z trudem.
— Dobrze, tato.
Wyszedł, a Nordeshenko, z nerwami napiętymi jak postronki, odwrócił się z powrotem do stojącego w progu mężczyzny.
— Oszalałeś? — warknął. — Właź, szybko. — Wpuszczając do środka nieproszonego gościa, rozejrzał się czujnie po ulicy. — Jesteś pewien, że nie masz ogona?
— Spoko, Remi. Jechałem tu przez trzy kraje. Siedzę w tym tak samo długo jak ty. Sympatycznego masz synka.
— Tutaj nie jestem Remi. — Spojrział na niego ostro. — Tu mam na imię Richard.
Reichardt kiwnął głową, wszedł do living roomu i gwizdnął z podziwem.
— O, ja piórkuję, po byku masz tu panoramkę, Richardzie! Interes, jak widać, dobrze się kręci.
— Interes już się nie kręci — odburknął niechętnie Nordeshenko. — I lepiej wbij sobie do głowy, że moja żona i syn...
— Bez obawy — wpadł mu w słowo Reichardt — nie będę dla was ciężarem. To tylko na kilka dni. Dopóki rzecz nie rozejdzie się po kościach.
Nordeshenko zjeżył się w duchu. To było wbrew wszelkim zasadom. Ale jakie miał wyjście? Zresztą nie było siły, żeby ktoś powiązał ich z ostatnimi wydarzeniami w Stanach albo choćby odkrył, że mają ze sobą coś wspólnego.

- No dobra — mruknął. — Ale tylko na kilka dni.
- Dzięki. Ale mylisz się co do jednego, Remi.
- Niby do czego? — spytał Nordeshenko, schylając się po jedną z toreb Reichardta.
- Co do interesu, w którym obaj siedzimy. — Blondwłosy zabójca westchnął ciężko. — On nigdy nie przestaje się kręcić.

Rozdział 92

— Pasażerowie odlatujący do Tel Awiwu lotem osiemdziesiąt dziewięć siedemdziesiąt sześć — zachrypiał głośnik — proszeni są do wyjścia numer siedemdziesiąt siedem.

Czekałem przy bramce 77, rozglądając się nerwowo po terminalu. Serce biło mi jak szalone. Zerknąłem na zegarek. Ludzie wsiadają już do samolotu. Ja też muszę, z nią czy bez niej.

Co z tą Andie?

Czyżby się rozmyśliła? Jeśli tak, to bardzo dobrze. Mądrze by postąpiła, trzymając się od tego z dala. Mądrze by postąpiła, dając mi w tej sprawie wolną rękę.

— Powtarzam: pasażerowie odlatujący do Tel Awiwu lotem osiemdziesiąt dziewięć siedemdziesiąt sześć...

Nie miałem żadnego sprecyzowanego planu. Nie wiedziałem, od czego zacząć, kiedy już się tam znajdę. Bo i skąd? Wiedziałem tylko, że muszę odszukać Kolę Riemlikowa i wydobyć z niego, gdzie jest Cavello. Obojętnie, jakim sposobem. Bez bawienia się w zawodowe uprzejmości — bez oglądania się na konwencję genewską. Przystawię mu po prostu lufę do gardła i odciągnę kurek. Jeśli nie da się inaczej, nie zawaham się przestrzelić mu kolana. Wszystko mi wyspiewa. Pytanie tylko, co potem.

Jakaś chasydzka rodzina przetruchtała obok mnie w po-

śpiechu i z głośnymi okrzykami ulgi znikła w rękawie prowadzącym do wejścia do samolotu. Teraz na pokładzie brakowało chyba już tylko mnie. Omiotłem jeszcze raz wzrokiem terminal. Ani śladu Andie. Zrzuciłem na ramię torbę podróżną, żeby ruszyć za nimi.

Tak będzie nawet lepiej.

I wtedy zobaczyłem ją w głębi korytarza. Biegła w moim kierunku.

Zalała mnie ciepła, kojąca fala odprężenia. Kogo chcesz oszukać, Nick? Przecież bardzo ci zależało, żeby z tobą poleciała.

Była w czerwonej skórzanej kurtce, włosy miała upchnięte pod baseballową czapkę Knicksów, czapkę Jarroda, o biodro objęła jej się przewieszona przez ramię torba podróżna. Wydała mi się niezmiernie piękna. I dzielna. Dopiero teraz przyznałem w duchu, że w pojedynkę prawdopodobnie nie dałbym sobie rady. Podświadomie pragnąłem, żeby przy mnie była. Jej obecność będzie mnie utwierdzała w przekonaniu, że słusznie postępuję.

Zatrzymała się przede mną zdyszana. Spróbowałem obrócić to w żart.

— Powiem wprost. Gdyby to był ołtarz, to już byś mnie tu nie zastała.

— Przepraszam, Nick. Musiałam się pożegnać. Z Jarrodem.

To oświadczenie zamknęło mi usta.

Skruszona potrząsnęła głową.

— Tak naprawdę to od godziny siedziałam w terminalu przy Burger Kingu.

— Bijąc się z myślami?

— Nie wiem, może. Chyba tak. Ale nie nad tym, czy z tobą lecieć. Ja cię kocham, Nick.

Spojrzałem w jej roziskrzone oczy, potem kiwnąłem głową i przyłożyłem dłoń do jej policzka.

— Stercząc tutaj, to samo sobie pomyślałem. Że ja też ciebie kocham. Że bez ciebie nie dam rady wsiąść do tego samolotu.

— Wiedziałam, że to właśnie chcesz powiedzieć, kiedy mamrotałeś coś ogródkami tamtej nocy.

Przerwał nam ostatni komunikat wzywający do zajęcia miejsc w samolocie. Staliśmy jeszcze przez chwilę. Stewardesy szykowały się do zatrzaśnięcia drzwi.

— No to co robimy? — Wzruszyłem ramionami i prze stałem niepewnie z nogi na nogę.

Andie wzięła mnie za rękę i ze zdecydowaniem spojrzała w oczy.

— Wsiadamy. Wspólna podróż. Czyż to nie podniecające?

Część czwarta

Hajfa

Rozdział 93

Jeśli nie miałem jeszcze pewności, czy naprawdę kocham Andie DeGrasse, to lot do Izraela rozwiął wszelkie wątpliwości. Prawie cały czas siedzieliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. Wyczuwałem, jak coś stałego, niezmiennego przepływa od niej do mnie. Andie zasnęła, składając głowę na moim ramieniu. Jej bliskość dodawała mi odwagi. Utwierdzała w przekonaniu o słuszności tego, co sobie zamierzyłem.

Pierwszy wieczór w Tel Awiwie zszedł nam na walce ze skutkami zmiany strefy czasowej. Po kolacji w przytulnej knajpce przy Shenkin Street wróciliśmy do hotelu i kochaliśmy się, starając — przynajmniej na tę jedną noc — zapomnieć, co nas tu sprowadziło. Rano mieliśmy pojechać nadbrzeżną szosą do Hajfy.

Podróż zajęła nam około półtorej godziny. Zaskoczyło mnie fizyczne piękno tego miasta. Hajfa pnie się tarasami po stromym górskim zboczu, które wyrasta niemal wprost z bajkowo lazurowego morza. Najniżej jest port i Stare Miasto z wiekowymi kamiennymi murami wzniesionymi przez krzyżowców. Wyżej znajduje się ruchliwe, przesączone zapachami świeżych wypieków śródmieście z bazarami oraz współczesnymi sklepami i punktami usługowymi. Jeszcze wyżej, pod samym szczytem góry Karmel, położona jest ekskluzywna

dzielnica wielogwiazdkowych hoteli, willowych osiedli, bulwarów oraz szykownych restauracji i sklepów.

Tu właśnie mieszkał Kola Riemlikow.

Oczywiście pod innym nazwiskiem. Mniejsza z tym pod jakim. Zameldowaliśmy się w hotelu Dan Panaroma. Z naszego pokoju na dwudziestym piątym piętrze roztaczał się niesamowity widok na morze.

— Och, jak pięknie — zachwyciła się Andie, podchodząc do okna.

— Owszem. — Kiwnąłem głową i położyłem dłonie na jej ramionach. — Ale pamiętaj, po co tu jesteśmy.

— To jeszcze nie znaczy, że nie możemy wygospodarować trochę czasu na kąpiel w Morzu Śródziemnym.

— Rozpakuj się. — Wygrzebałem ze swojej torby kilka drobiazgów: lornetkę, plan miasta, pistolet, na który miałem pozwolenie. — Ja za chwilę wracam.

— Nick. — Andie odwróciła się — obiecuj, że nie zrobisz niczego beze mnie. Obiecujesz?

— Spoko. — Uśmiechnąłem się. — Obiecuję. Idę tylko na przeszpiegi.

Wsiadłem za kierownicę zaparkowanego przed hotelem wynajętego forda i wrzuciłem plan miasta do schowka. Ślęczałem nad nim od kilku dni i tak wryłem sobie trasę w pamięć, że chyba z zamkniętymi oczami trafiłbym do celu.

Ulica Yehudy 225.

Pojechałem Yefe Nof w górę. Nieco ponad hotelem znajdowało się Carmel Center — parki, muzea, eleganckie kawiarnie. Im wyżej, tym węższa i bardziej kręta stawała się ulica. Skręciłem w Hayem, potem w Vashar. Z domów stojących tutaj, pod samym szczytem, musiał się roztaczać nieziemski widok. Ale ja wspinałem się wyżej. Ulica biegła podnóżem klifopodobnych urwisk góry Karmel. Setki kilometrów poniżej rozlewało się brylantowo-błękitne Morze Śródziemne.

No, jest wreszcie ulica Yehudy. Cicha, osiedlowa uliczka z rozległą panoramą na morze. Do numeru 225 jeszcze kilka

posesji. Dom był biały, z płaskim dachem, nowoczesny, prowadził do niego krótki, wysypany tłuczniem podjazd. Zmroziło mnie trochę, kiedy go mijałem. Dojechałem do następnego nawrotu i zatrzymałem wóz w miejscu, z którego chyba nie powinien zostać dostrzeżony. Wsiadłem i przyłożyłem lornetkę do oczu.

Dom był jak marzenie. Na mordowaniu od zawsze można się było dorobić. Nie widziałem tam nikogo. Kompletny bezruch. Na podjeździe stał niebieski minivan. Model europejski.

Przymrużyłem oczy.

Po kilku minutach doszedłem do wniosku, że lepiej się stąd zmyć. Ktoś z przejeżdżających mógł zwrócić na mnie uwagę. Mieszkali tu zamożni ludzie, okolica była zapewne często patrolowana. Mógłbym się zawsze tłumaczyć, że wjechałem tutaj popatrzeć z wysokości na morze, ale później byłbym już spalony.

I naraz zaczęły się unosić drzwi garażu.

Wyjeżdżało z niego tyłem białe audi. Wyregulowałem ostrość. Szyby były przyciemniane, ale kierowca opuścił tę od swojej strony. I zobaczyłem jego twarz.

To był on. Riemlikow! Rozpoznałem go od razu, chociaż był w okularach przeciwsłonecznych. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

W samochodzie, w fotelu pasażera, siedział ktoś jeszcze. Ponownie wyregulowałem ostrość. Chłopiec. Jakieś dziesięć lat, może młodszy. Audi wycofało się z garażu, zatrzymało na moment i ruszyło do przodu, skręcając w podjazd. Teraz widziałem Riemlikowa w całej okazałości.

Mam cię. Mam cię, skurwielu!

Audi skręciło w ulicę Yehudy i znikło mi z oczu.

Zostałem tam jeszcze kilka minut, żeby naszkicować rozkład domu. Dzisiaj nie pojedę za Riemlikowem. Obiecałem Andie. Skończywszy, wsiadłem do samochodu i ruszyłem.

Mijając dom, zatrzymałem się na moment przy skrzynce pocztowej. Otworzyłem ją i przejrzałem szybko zawartość,

wyłuskując najbardziej niewinnie wyglądającą śmieciową pocztę. Nawet tu, w Izraelu, mieli taką.

Kiedy wróciłem do hotelu, Andie drzemała na łóżku. Obudziła się, kiedy wchodziłem do pokoju.

— No i co wyszpiegowałeś?

— Już wiem, gdzie mieszka. To niedaleko. Zawiozę cię tam jutro.

Usiadła i kiwnęła niezdecydowanie głową.

— I jeszcze to. — Rzuciłem na łóżko zaadresowaną kopertę ze śmieciową pocztą, reklamówką miejscowego czyściciela dywanów. — Prezent. On nie nazywa się tutaj ani Riemlikow, ani Kollich. Tutaj jest Richardem Nordeshenką.

Rozdział 94

— Patrz! — Nick pokazał palcem na nowoczesny, przeszklony dom trzydzieści metrów pod nimi. — To on! To Riemlikow.

Andie poderwała lornetkę do oczu. Mężczyzna stojący w oknie był szczupły, śniady, średniego wzrostu, całkiem przeciętny.

Nie wiedziała, jak zareaguje na widok człowieka, który zabił jej syna. Teraz patrzyła na niego z odległości kilkunastu kroków i nic, ścisnęło ją tylko w dołku.

— Widzę.

Nick położył jej dłoń na ramieniu.

— Poznajesz go?

— Nie. — Niestety. Tak by pragnęła poczuć teraz zimną nienawiść do tego osobnika. Odrażę. Cokolwiek. A więc to ma być ten zabójca? Człowiek, który odebrał jej cały świat? Pokręciła jeszcze raz głową. — Nie. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

— Mieszka tutaj z żoną i synem.

— Ma syna?! — Tego Andie nie spodziewała się usłyszeć. Czy jego rodzina wie? Wie, jakich strasznych czynów się dopuszczał? Kiedy oni jedli albo grali w piłkę czy co tam jeszcze robili? Jak człowiek mający dziecko może parać się czymś takim?

— Codziennie mniej więcej o tej porze wychodzi z domu — ciągnął Nick, nie odrywając od oczu lornetki. — Koło czwartej, i jedzie gdzieś z synem.

— Nick. — Spojrzała na niego załzawionymi oczami. — Ja chyba nie potrafię tego zrobić. Wiem, że powinnam ziać nienawiścią do tego człowieka. Po tym, co mi zrobił. Wiem, co musimy z niego wydobyć. Wiem, że bez tego nie ruszymy z miejsca. Ale ja... Ty skurwysynu! — rzuciła w kierunku domu. I odwróciła wzrok. — Rób, co masz robić — burknęła gniewnie. — Miałaś rację. Masz rację.

W tym momencie zaczęły się otwierać drzwi garażu. Nick zerknął na zegarek.

— Jest.

Człowiek, który zabił jej syna, wyszedł do garażu wewnętrznymi drzwiami. Był w białej koszuli z krótkim rękawem, beżowych spodniach i ciemnych okularach. Rozejrzał się, wsiadł do audi i zapuścił silnik.

— I tak codziennie. O tej samej porze. O, jest i chłopiec.

Andie odwróciła się i ponownie uniosła lornetkę do oczu. Chłopiec wychodził właśnie z domu. Miał nie więcej niż jedenaście, może dwanaście lat. Był trochę starszy od Jarroda. Jest niewinny, pomyślała, nie wie, czym zajmuje się jego ojciec.

— Dokąd jadą?

— Nie wiem. Chcę to ustalić. Nie masz nic przeciwko temu?

Pokręciła głową. A to gnój. Skończony sukinsyn. Jak może odstawiać kochającego tatusia po tym, co zrobił?

Chłopiec przystanął i czekał, aż ojciec wyprowadzi wóz z garażu. Trzymał w ręku jakąś książkę i coś, co wyglądało na przenośny komputer.

Andie wyregulowała ostrość. Nie wiedzieć czemu zainteresował ją tytuł książki.

Szachy.

Chłopiec wsiadł do audi.

— Wystarczy — warknął Nick, rzucając swoją lornetkę na tylne siedzenie. — Ruszamy, bo nam zwieje.

Andie kiwnęła głową. Miała już oderwać lornetkę od oczu, kiedy coś przyciągnęło jej wzrok.

— O Boże, Nick! — pisnęła, zupełnie jakby ktoś oblał ją niespodziewanie kubłem zimnej wody. Szok był tak wielki, że zrobiło jej się niedobrze. Przebłyśki strasznych wspomnień przelatujące przed oczami wyciskały z niej siódme poty. — Jezu święty!

— Co jest? — Nick przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów z powrotem w pozycję parkowania.

— Spójrz na dom! — Wycodziła przez zaciśnięte zęby. Szczękościsk i suchość w ustach utrudniały mówienie. — Widzisz tego człowieka w oknie?

Nick wyrwał jej lornetkę.

W oknie od frontu stał podparty pod boki mężczyzna w spodniach od dresu i białym T-shircie z nadrukiem Guinness na piersi. Patrzył za odjeżdżającym Riemlikowem.

— To on! — Krew odpłynęła Andie z twarzy. Tych długich blond włosów nie zapomni do końca życia. — To jego widziałam, jak wyskoczył z furgonetki i uciekał.

Rozdział 95

Następnego dnia Andie została w hotelu, a ja śledziłem dalej Riemlikowa. Odwiózł syna na lekcje szachów na ulicę Hassana w centrum miasta.

Tej nocy prawie nie spaliśmy. Tuliłem ją mocno do siebie. Widok tamtego mężczyzny przywołał wszystkie koszarne wspomnienia — autokar, wybuch, Jarrod. Widziałem na jej twarzy ten sam ból co wtedy, w karetce, zaraz po wypadku. Wydarzenia owego dnia powróciły z nową siłą.

Byłem już pewien, że zasnęła, ale kiedy na nią spojrzałem, okazało się, że nie. Leżała na wznak wpatrzona szeroko otwartymi oczyma w sufit. Wyczułem, jak przechodzi ją dreszcz, potem odwróciła się do mnie plecami i wtuliła twarz w poduszkę.

— Już dobrze — wyszeptałem i otoczyłem ją ramieniem, próbując dodać otuchy. Ale wiedziałem, że wcale nie jest dobrze. Wiedziałem, że otworzyła się świeża, ledwie za sklepiona rana. Ta twarz z niedawnej przeszłości wszystko skomplikowała.

Następnej nocy obudziłem się tuż przed świtem, i kiedy leżałem na łóżku, rozmyślając i patrząc, jak do pokoju wlewa się szarość wstającego dnia, usłyszałem nagle:

— Wiesz już, jak to rozegrać?

Drgnąłem, zaskoczony.

— Wiem. — Odwróciłem się do niej.

I rzeczywiście miałem plan. Bałem się go tylko jej wyjawić. Wiedziałem, że nie będzie zachwycona.

Musieliśmy dotrzeć jakoś do Riemlikowa. Problem tkwił w tym, że on rzadko opuszczał dom. Nie mogłem tam tak po prostu wtargnąć z odbezpieczoną bronią, bo wywiązałyby się strzelanina. A nam był potrzebny żywy Riemlikow. Do głowy przychodził mi tylko jeden sposób — jedyne rozwiązanie.

Chłopiec.

Innego wyjścia nie widziałem, a zdawałem sobie sprawę, jak trudno będzie je Andie zaakceptować. Potrzebowałem jednak jej pomocy. Powiedziałem jej więc pokrótce, co zamierzam — że w moim planie istotną rolę odgrywa chłopiec.

— To będzie niebezpieczne — przyznałem, unosząc się na łokciu.

Doskonale wiedziałem, o co ją proszę. Chłopiec nie był niczemu winien, ale Jarrod też nie był. A Riemlikowa musieliśmy zmusić jakoś do mówienia, uciekając się choćby do tak mało eleganckiego szantażu. W końcu on też nie przebierał w środkach.

— Nie, Nick, ja nie mogę. — Andie potrząsnęła stanowczo głową.

— My nie zamierzamy go prosić o przysługę, Andie. My chcemy wydobyć od tego bandyty informację, która, jeśli uda nam się ją od niego wydobyć, może zaważyć na naszym życiu. To jego jedyny słaby punkt. Mówiłem ci od początku, że nie będzie łatwo.

— Czy ty wiesz, o co mnie prosisz? Prosisz mnie, żebym zrobiła innej matce to samo, co zrobiono mnie.

— Wiem, o co cię proszę, Andie. — Objąłem ją. — Tylko że ja, w odróżnieniu od nich, nie jestem zabójcą, Andie.

Popatrzyła na mnie z taką miną, jakbym w jej mniemaniu niewiele się różnił od tych, o których mówiłem.

— Daję ci słowo, że obojętnie, jak się potoczą sprawy, chłopcu nie stanie się krzywda.

— O tak, nie stanie się. A gdzieżby tam.
Odgarnąłem jej pasemko włosów z twarzy.
— Zgódź się, Andie. Bardzo mi na tym zależy. Nie poradzę
sobie bez ciebie.
— A jeśli się nie zgodzę?
— To damy za wygraną. Wsiądziemy do samolotu i wróci-
my do domu. Zapomnimy o Cavellu.
Wstrzymała oddech, usiadła i objęła rękoma kolana.
— A jak się zgodzę? To co potem będzie?
— Wypuścimy chłopca, Andie. Wypuścimy go.
Pokręciła głową.
— Miałam na myśli Riemlikowa. I tego blondyna.
— Nie wiem — przyznałem.
Pokiwała głową i przytuliła się do mnie.
— Ale chłopcu nie może się nic stać...
— Włos mu z głowy nie spadnie. — Ucisnąłem ją czule. —
Obiecuję...

Rozdział 96

Pavel Nordeshenko miał dwanaście lat i krepował się, że ojciec nadal wozi go na zajęcia do śródmieścia.

Inni chłopcy w jego wieku jeździli już sami metrem. Czasami, kiedy ojciec był w podróży, matka pozwalała mu jeździć na lekcje autobusem. Lubił powąłęsać się rojnymi uliczkami Starego Miasta, pooddychać atmosferą, której na próżno było szukać w Carmel Center czy willowych osiedlach pod szczytem.

Tu, na dole, gdzie mieściła się akademia Abhramowa, uliczki były wąskie i zatłoczone. Żyły! Pachniało wyrobami ze skóry, egzotycznymi przyprawami i świeżym pieczywem z arabskich piekarni. Słyszeć było przekupniów zachwalających swój towar na bazarze.

Ojciec zawsze był nadopiekuńczy. Ilekroć Pavel chciał iść z kolegami do kina czy na plażę, mówił: „To niebezpieczne. Ostrożności nigdy za wiele”. Czego tak się bał? Matka dawała mu czasem dzień wolnego, ale ojciec, kiedy był w domu, nie odpuścił mu ani jednej lekcji, zupełnie jakby coś ogromnie od tego zależało.

— Pavle, w przyszłym miesiącu jest turniej w Tel Awiwie — odezwał się ojciec, kiedy wjechali w zatłoczone uliczki.
— Może być w nim wystąpił?

Chłopiec wzruszył ramionami. Do turniejów trzeba się

przygotowywać, przysiąc fałdów, potrenować, a jemu się zwyczajnie nie chciało.

— Udział biorą mistrzowie z zagranicy. Siergiej uważa, że jesteś dobrze przygotowany. No, co ty na to?

— Mogę wystąpić. — Pavel znowu wzruszył ramionami. — Skoro Siergiej tak mówi...

Skręcili w ulicę Allenby. Ogrody Baha'i rozkwitały wiosenną zielenią.

— W Caesarii jest kasyno. Może wstąpimy, wracając? Słyszałem, że można tam pograć w pokera. Tak po amerykańsku. Mam tam znajomego. Może cię wprowadzi. Naturalnie zagrać ci nie pozwolą, ale popatrzyłbyś sobie.

— Myślisz?

— Nie wiem. — Ojciec ukrył uśmiech. — Mam trochę znajomości.

Skręcili w rojną ulicę Hassana. Na jezdni przeważały motorowery, małe ciężarówki dostawcze i taksówki wiozące turystów z portu do wyżej położonych dzielnic.

Szkoła mistrza Abhramowa znajdowała się nad piekarnią. Unosił się tu zawsze słodki zapach świeżo wyrobionego ciasta. Zatrzymali się przed obdrapaną kamienicą.

— Synu, przyłóż się do nauki. — Ojciec puścił do niego oko. — Stawka jest wysoka.

Pavel zabrał podręcznik i komputer, wysiadł i wbiegł do budynku. Na wąskich schodach zaczepił go dobrze zbudowany, przystojny nieznajomy.

— Chyba zablądziłem — powiedział. — Możesz mi powiedzieć, jak trafić na ulicę Haaretz?

Mężczyzna był w błękitnej koszuli i spodniach khaki, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne. Mówił po angielsku jak turysta, być może Amerykanin.

— Haaretz? To gdzieś tu niedaleko. Chyba następna przecznica.

— Mógłbyś mnie tam zaprowadzić — poprosił mężczyzna. — Nie jestem stąd.

Abrahamow już czekał. Lekcja trwała półtorej godziny, a zrzędlivy stary mistrz nie lubił spóźnialskich.

— To tam. — Pavel wyszedł z powrotem przed budynek i pokazał palcem. — Na końcu. Widzi pan tamtą piekarnię...?

I tyle tylko zapamiętał.

No, może jeszcze to, że czyjaś dłoń zakryła mu usta wilgotną, kwaśną szmatką śmierdzącą chemikaliami. I to uczucie kompletnej nieważkości.

I strach, że ojciec będzie zły, kiedy wróci tu za półtorej godziny i go nie zastanie.

Rozdział 97

— Mira, słuchaj uważnie. Pavel gdzieś przepadł!

Serce waliło Nordeshence jak oszalałe. Nauczyciel szachów powiedział, iż jego syn nie przyszedł dzisiaj na lekcję. I że to już się zdarzało — zawsze, kiedy Nordeshenko był w podróży służbowej.

Przeczesał okoliczne uliczki. Zaglądał do lodziarni, do cukierni, ulubionych miejsc syna. Nikt tam nie widział dzisiaj chłopca.

— Nie było go u Abhramowa, kiedy po niego podjechałem. Nie dzwonił czasem?

— Co ty opowiadasz? — Do głosu Miry wkradły się nerwowe nuty. — Zawsze tam na ciebie czekał. Miał przykazane, żeby się nigdzie nie oddalać.

— Nie było go dzisiaj na lekcji. Jak myślisz, gdzie mógł pójść? Może coś wspominał? O jakimś koledze? — A tyle razy powtarzał mu, że ostrożności nigdy za wiele.

— Nie! — Mira nie kryła już zdenerwowania. — Może wraca autobusem. Pozwoliłam mu na to kilka razy.

— I nie uprzedziłby nas?

Nordeshence znajome było to wrażenie pustki, którego teraz doświadczał. Ogarniało go zawsze, kiedy akcja nie układała się po jego myśli.

— Trzeba zadzwonić na policję — wyrzuciła z siebie Mira.

— Nie! — Żadnej policji! Tego by tylko jeszcze brakowało! Ściągnąć na siebie uwagę. I to teraz, kiedy gości w domu Reichardta. Co by było, gdyby zaczęli go przeświecać? Musiałby wyjaśniać, dokąd i po co wyjeżdżał z kraju. I kim jest jego gość.

Nie, wykluczone. Musi się zastanowić.

— Może masz rację z tym autobusem. Sprawdzę. Zadzwoń jeszcze.

Rozłączył się, uruchomił silnik audi i ruszył krętymi uliczkami Starego Miasta, wypatrując syna pośród przelewających się tłumów. To kara za twoje zbrodnie, podpowiadał mu wewnętrzny głos.

Na Hassan Shukri, w pobliżu Parku Pamięci, wyprzedził autobus komunikacji miejskiej i zajechał mu drogę.

— Szukam syna! — wrzasnął do kierowcy, dobijając się do drzwi. — Proszę otworzyć!

Zdawał sobie sprawę, że pasażerowie spanikują. Że wezmą go za terrorystę!

— Patrz pan, nie jestem uzbrojony. — Pokazał puste ręce.

W końcu kierowca, choć z wahaniem, otworzył drzwi.

— Pavel! — Nordeshenko wskoczył do środka i nie zwracając uwagi na przestraszonych pasażerów, przebiegł przejściem między siedzeniami.

Pavla tu nie było!

— Przepraszam, ale musimy już jechać — powiedział nieśmiało kierowca.

Nordeshenko wysiadł zawiedziony.

Mira miała rację. Trzeba będzie powiadomić policję. Nie da się tego uniknąć. Każda minuta zwłoki pogarszała sytuację. Reichardt będzie musiał opuścić dom — i to natychmiast. Ale Mira na pewno o nim wspomni. Policja go sprawdzi. Niedobrze. Bardzo źle.

Kilka minut później skręcał w podjazd. Wskoczył z audi, trzasnął drzwiczkami i wbiegł do domu.

— Odezwał się?

— Nie. — Mira, wyraźnie spanikowana, potrząsnęła głową.
— No to mamy kłopot — powiedział Nordeshenko, uświadamiając sobie, że innego wyjścia nie ma.

Z tarasu wszedł Reichardt.

— Coś się stało?

— Musisz się stąd zmywać. I to już. Pavel zaginął. Musimy powiadomić policję.

Reichardt zrobił wielkie oczy. Nordeshenko wiedział, co sobie w tej chwili pomyślał. Rozmowa zejdzie zaraz na gościa. Będzie trzeba wyjaśnić Mirze, kim jest — i dlaczego musi tak nagle opuścić ich progi.

Zadzwonił telefon.

Mira poderwała rękę do ust.

— Może to on?

Nordeshenko w dwóch skokach był przy aparacie. Przełknął głośno i nie spuszczać wzroku z Reichardta, podniósł słuchawkę.

— Pavel?

— Sympatycznego masz syna — usłyszał. — Podam ci teraz instrukcje i od stopnia, w jakim się do nich zastosujesz, będzie zależało, czy go jeszcze zobaczysz.

— Słucham? — Nordeshenko odchrząknął. Czyli to porwanie. Kidnaper posługiwał się nienaganną angielszczyzną. Amerykański akcent.

— Mam twojego syna — podjął mężczyzna. — A teraz dwie wiadomości, dobra i zła. Na początek dobra: możesz go mieć z powrotem całego i zdrowego w ciągu kilku minut. A teraz zła. Jeśli odmówisz współpracy, nigdy go już nie zobaczysz.

— Kto mówi? — wykrztusił Nordeshenko.

— Nieważne. Decyduj się lepiej, który z dwóch powyższych scenariuszy wybierasz.

Nordeshenko spojrział na Mirę i kiwnął do niej uspokajająco głową.

— Ten pierwszy. Chcę odzyskać Pavla.

— Mądry wybór. Na początek jedna sprawa. Chyba obaj zdajemy sobie sprawę, że angażowanie w to policji nie jest ani w moim, ani w twoim interesie. Myślę, że w tej kwestii się zgadzamy?

— Nie musimy się w niczym zgadzać. Oddaj mi syna. Chcę z nim porozmawiać.

— Nic z tego. Powiem ci tylko, że jest w dżinsach, czerwonym podkoszulku i butach nike, ma przy sobie podręcznik szachów, a w kieszeni portfel z rodzinnymi fotografiami. Co do reszty, to musisz nam niestety zaufać.

— Nawet nie wiesz, z kim zadarłeś — warknął do słuchawki Nordeshenko.

— I tu się mylisz. Wiem, i to bardzo dobrze, z kim zadarłem. Z Kołą Riemlikowem.

Rozdział 98

Jakby ktoś go obuchem w głowę zdzielił. Stał oniemiały ze słuchawką przy uchu i usiłował zebrać myśli. Nie używał tego nazwiska od dziesięciu lat.

Uświadamiał sobie powoli, że ma do czynienia z o wiele groźniejszym przeciwnikiem, niż się spodziewał.

— Spróbuj go tylko skrzywdzić — wyrzucił z siebie w końcu — a popamiętasz do końca życia.

— Skrzywdzić? — warknął Amerykanin. — To chyba bardziej w twoim stylu, Riemlikow. Mówiąc o skrzywdzeniu, masz na myśli coś w rodzaju tego, co wydarzyło się nie tak dawno w windzie nowojorskiego sądu? Albo tego, co spotkało z twojej ręki dwóch sądowych strażników?

Krew odpłynęła z twarzy Nordeshenki.

Kto to może być? Kto go namierzył? Nawet ludzie Cavella nie wiedzieli, kim naprawdę jest ani gdzie mieszka. To nie jest zwyczajne porwanie dla okupu. Całe jego życie wywracało się właśnie do góry nogami.

Zaschło mu w ustach na wiór.

— Ile chcecie? — wychrypiał.

— Ile chcemy? Ani centa, ani grosika. Możesz odzyskać syna i wieść dalej swój fałszywy, zakłamaný żywot. Wystarczy, że powiesz nam to, co chcemy wiedzieć.

— Znaczą, co? — Zwilżył językiem wargi. — O co chodzi?

— Cavello — wycedził rozmówca.

Serce podeszło mu do gardła. Nigdy jeszcze nie zadzwo-
nił klientowi. Nigdy z nikim w takiej sprawie nie pertraktował,
nawet by mu to do głowy nie przyszło. Lista ludzi, dla których
pracował albo z którymi współpracował, była świętością.

— Daję ci godzinę — ciągnął Amerykanin. — Jedną go-
dzinę. Po upływie tego czasu przyjdzie ci zapomnieć, że kie-
dykolwiek miałeś syna, a twoja tożsamość oraz zgromadzone
przez Interpol dossier zostaną ujawnione izraelskiej policji.

— A jeśli nie jestem w stanie wam pomóc? — spytał Nor-
deshenko. — Jeśli nie jestem w posiadaniu informacji, o
które wam chodzi?

— To zaczynaj się już pakować.

Co robić? Znają jego prawdziwe nazwisko. Znają miejsce
zamieszkania. Wiedzą, że to on dopomógł Cavellowi w uciecz-
ce. I mają jego syna, który jest mu najdroższy na świecie.

— Dobra — burknął.

— Podaj mi numer swojej komórki. Skontaktuję się z tobą
w ciągu najbliższej godziny. Zjedź na dół. Czekaj tam na mój
telefon. Niedługo się spotkamy. Aha, i jeszcze jedno, Kola.
Wiemy obaj, do jakiej tragedii by doszło, gdyby na tym etapie
do akcji wkroczyła policja.

— Kimkolwiek jesteś, człowieku — wycedził przez zaciś-
nięte zęby Nordeshenko — hucpy ci nie brakuje. — Ale podał
mu swój numer.

— I kto to mówi, Kola? Ty, który tyle masz na sumieniu.

Rozmówca przerwał połączenie. Nordeshenko spojrzął na
Mirę i kiwnął uspokajająco głową. Potem skinął na gościa.

— Chodź, Reichardt. Jest robota.

Rozdział 99

Podjechaliśmy samochodem pod opuszczoną hurtownię papierosów, którą odkryłem w Hedar, na peryferiach miasta. I czekaliśmy. Chłopiec spał jak suseł. Ilekroć zaczynał się budzić, podtykałem mu pod nos nasączony eterem tampon.

Przez te wszystkie lata, które przepracowałem w tej branży, zdarzało mi się popełniać czyny, których się potem wstydzilem. Ale czegoś takiego nie dopuściłem się jeszcze nigdy. Chłopiec spał na tylnym siedzeniu. Obojętne, czym parał się jego ojciec, on nie był niczemu winien. Andie siedziała obok niego, trzymała jego głowę na kolanach i głaskała raz po raz po jasnorudych włosach.

Im prędzej dojdzie do wymiany, tym lepiej dla obu stron.

— Gdzie mamy się z nim spotkać? — spytała Andie.

— Nie my, lecz ja. W Baha'i Gardens. O szóstej. Godzinę później zaczyna się tam koncert pod gołym niebem. Ściągną na niego tłumy. — Gdy kiwnęła głową, dodałem: — Będzie mu trzeba zakleić taśmą usta i związać ręce, Andie. To konieczne. Nie będzie już spał. Zostaniesz z nim w samochodzie. Możesz go zapewnić, że za kilka minut oddamy go ojcu. Kiedy przyjdzie czas, zadzwonię do ciebie. Podjedziesz i na mój znak go wypuścisz. A potem odjedziesz na pełnym gazie. — Rozumiesz? Lepiej, żeby przy wymianie nie było cię w pobliżu.

— I dokąd mam jechać?
— Z powrotem do hotelu. — Przenieśliśmy się tego ranka z eleganckiej Panoramy do skromniejszego pensjonatu na Starym Mieście, gdzie nie musieliśmy nawet zostawić w recepcji paszportów. — Jeszcze dzisiaj jedziemy do Tel Awiwu.
— A stamtąd dokąd?
— Do Paryża. Ostatnim lotem. Oczywiście pod warunkiem że wszystko pójdzie dobrze.
— A stamtąd?
Otworzyłem drzwiczki.
— Tego jeszcze nie wiem.
Chłopiec poruszył się niespokojnie. Środek usypiający przestawał działać. Wkrótce pozwolę mu się obudzić. Po raz chyba piętnasty zerknąłem na zegarek. Godzina minęła.
— Zaczynamy.
Andie uśmiechnęła się, nadrabiając miną.
Wysiadłem i zadzwoniłem do Riemlikowa na komórkę. Podałem mu miejsce spotkania. Nie chciałem, żeby Andie słyszała, co mówię.
Wsiadłem z powrotem za kierownicę.
— Załatwione. — Kiwnąłem głową i odchyliłem się na oparcie fotela. Było mi niedobrze, zupełnie jak po zjedzeniu nadpsutego mięsa.
— Wiesz, Nick, wszystko rozumiem. Ale jedno mi się nie podoba.
— No, co takiego?
— Riemlikow. I ten blondyn. To oni zabili Jarroda. I co, ujdzie im to na sucho?
— Wiedziałem, że o to zapytasz, Andie. Widzisz, nam chodzi o Cavella. To on był zleceniodawcą.
— Tata? — jęknął chłopiec.
Wysiadłem z samochodu i otworzyłem drzwi bagażnika.
— Trzymaj. — Rzuciłem Andie czapkę baseballową. — Włóż ją i nie zdejmuj. I jeszcze okulary przeciwsłoneczne. Chłopiec nie może zobaczyć twojej twarzy. Rozgrywka się

zaczyna. Od tej chwili musisz być bardzo, ale to bardzo ostrożna.

— Tak. wiem.

Wyjąłem linkę i krążek taśmy klejącej. Andie pogłaskała chłopca po głowie z taką czułością, jakby to był Jarrod.

— Ciii... wszystko będzie dobrze.

— I jeszcze jedno. — Spotkały się nasze oczy. — Po wymianie czekasz na mnie godzinę i ani minuty dłużej. Jeśli do tego czasu nie wrócę do hotelu, jedź do Tel Awiwu i wsiadaj w samolot.

— Myślisz, że coś może pójść nie tak?

— Nigdy nic nie wiadomo. Po prostu wsiadaj w samolot i wracaj do kraju. Okay?

— Nie zostawię cię.

— Wierz mi, że jeśli nie wrócę w ciągu godziny, to nie będziesz mi tu już do niczego potrzebna.

Rozdział 100

Nie wiem, kto pierwszy wpadł na pomysł założenia tych ogromnych ogrodów, które pną się tarasami po zboczu góry Karmel i są dedykowane religii bahaistycznej, ale kimkolwiek był ten człowiek, zaprojektował je tak, że nadają się idealnie do dokonywania potajemnych wymian.

W alejkach mnóstwo wycieczek i indywidualnych spacerowiczów, między których z powodzeniem można się wmieszać, a otwartej przestrzeni tam tyle, że łatwo wypatrzeć kręcących się w okolicy podejrzanych osobników. Tego późnego czwartkowego popołudnia w ogrodach, z racji koncertu, ludzi było jeszcze więcej niż zwykle.

Jak wszystko pójdzie dobrze, pomyślałem, starając się uspokoić rozdygotane nerwy, to może się zastanowię nad zmianą wiary.

Zatrzymałem się na najniższym tarasie ogrodów, pod pomnikiem niejakiego Sayyida Alego Muhammada zwanego Babem. Byłem tam o 17.45, kilka minut przed czasem. Umawiając się z Riemlikowem, nie powiedziałem, na którym z poziomów będę na niego czekał — na najwyższym, najniższym czy może którymś z pośrednich — a park miał tych poziomów osiemnaście. Dałem mu tylko trzydzieści minut na dojazd, niewiele miał więc czasu na przygotowanie ewentualnej pułapki. Kilka kroków stąd przebiegała ulica Ben Guriona. Andie bez trudu wysadzi chłopca i odjedzie.

Co do mnie... lecz to już zupełnie inna para kaloszy

Zaliczyłem dziesiątki podobnych potajemnych spotkań, ale szedłem na nie zawsze ze świadomością, że nad moim bezpieczeństwem czuwa jakiś podsłuchowiec i snajper z karabinem. Teraz, nie mając żadnej obstawy, czułem się jak nagi w pokrzywach. Tym bardziej że to naprawdę nie były przelewki — wprowadziłem przecież syna bezwzględnego zabójcy.

Tłum gęstniał. Dwa tarasy wyżej produkował się jakiś izraelski piosenkarz folkowy. Wymarzone warunki. Wmawiałem sobie, że to Madison Square Garden. Po dokonaniu wymiany wystarczy mi wmieszać się w ten tłum i oddalić.

Za pięć szósta. Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy i po raz ostatni zadzwoniłem do Riemlikowa.

— Jesteś tu już?

— Jestem. Co z moim synem?

— Przyjdź pod pomnik Alego Muhammada przy ulicy Ben Guriona. Wiesz, gdzie to jest?

— Wiem. Jak cię poznam?

— Będę trzymał dwunastolatka z zaklejonymi taśmą ustami. Tym się nie przejmuj, ja cię poznam.

Prychnął. Nie uznał tego za śmieszne.

— To zajmie mi kilka minut. Jestem teraz na najwyższym tarasie.

— No to startuj szybko. Za pięć minut już mnie tu nie będzie. — Rozłączyłem się. Zdaży. Nie zamierzałem dać mu ani chwili dodatkowego czasu na przygotowania.

Rozdział 101

Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie denerwowałem się tak, jak przez następne dwie minuty. Starałem się skupić uwagę na przechodniach. Byli to w większości młodzi ludzie albo rodziny wspinające się na wyżej położone tarasy. Od czasu do czasu mijał mnie spacerowym krokiem policjant z nieodłącznym, dyndającym u ramienia uzi.

Po raz ostatni sprawdziłem po omacku swojego glocka. Poprawiłem na nosie okulary przeciwsłoneczne. W brzuchu narastała rewolucja, nad którą musiałem jakoś zapanować.

17.59. No, Riemlikow, co z tobą. Zaraz zaczynamy!

I w tym momencie zobaczyłem go. Wyłonił się z tłumu, był we wzorzystej, rozpiętej pod szyją koszuli i czarnej skórzanej marynarce. Przeszło między nami kilka osób, ale on nie zwracał na nie uwagi, patrzył tylko na mnie. Pewnie przez ten podręcznik szachów, który trzymałem ostentacyjnie w ręku. Podszedł. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał mi głęboko w oczy. Widziałem twarze wielu profesjonalnych zabójców. Wszystkie, bez wyjątku, szokowały beznamiętnym wyrazem. Jemu oczy płonęły.

— Stań przede mną — powiedziałem, ustawiając się plecami do pomnika. Wolałem się zabezpieczyć, na wypadek gdyby mimo wszystko zdążył zastawić na mnie jakąś zasadzkę.

Zerknął na podręcznik szachów.

- To chyba moje.
Oddałem mu książkę.
- A ściślej mówiąc, mojego syna — dodał obojętnym tonem.
— Gdzie Cavello?
— Daleko stąd. — Uśmiechnął się.
— Tracisz cenny czas. Za dwie minuty odwracam się i odchodzę.
- Za dwie minuty, powiadasz. — Riemlikow wyduł wąskie wargi. — Zaryzykuję. Żaden z nas nie chce odejść stąd z pustymi rękami. Zaskoczyłeś mnie dzisiaj. Zaskoczenie to emocja, do której nie przywykłem. Wyświadcz mi tę uprzejmość i powiedz, jak do mnie trafiłeś.
- Życzysz sobie wiedzieć, jak cię powiązałem z tym, co wydarzyło się ostatnio w Nowym Jorku, czy skąd znam twoje prawdziwe nazwisko?
— Jedno i drugie, w dowolnej kolejności. — Wzruszył ramionami.
- Spuściłem wzrok, potem spojrzałem na niego znowu z półuśmiechem.
- Obyło się bez angażowania wysoko zaawansowanej techniki. Wystarczyły mi twoje buty. — Wciąż je nosił. — Słyszałem, że w tej części świata są bardzo modne.
- Moje buty. — Riemlikow prychnął zaskoczony, a potem przewrócił oczami i przestąpił z nogi na nogę. — Lewa stopa bardzo daje mi się we znaki. — Pokręcił głową. — Nawet teraz.
- Mógłbyś pomyśleć o zmianie marki obuwia, jeśli zamierzasz pozostać w branży.
- Nie zamierzam — burknął. — Z tym już koniec.
- I to ci się chwali. Jesteś rodzinnym człowiekiem. No więc co tam dla mnie masz?
— Nie dokończyłeś. — Riemlikow nie spuszczał ze mnie wzroku. — Chociaż wydaje mi się, że resztę sam mogę sobie dopowiedzieć. Skoro zidentyfikowałeś mnie na podstawie butów, to musiałeś oglądać taśmę, na której kamera systemu bezpieczeństwa zarejestrowała to, co wydarzyło się w windzie.

Bez czyjejś wydatnej pomocy nie zdołałbyś powiązać tego ze mną, z moją przeszłością, ani mnie tutaj znaleźć. Musiałeś mieć jakieś źródła informacji. I to rządowe. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego? FBI?

— Podziwu godna dociekliwość jak na człowieka, któremu została tylko minuta — zauważyłem.

— Mnie też niepotrzebna wysoko zaawansowana technika. — Uśmiechnął się. — Rozpoznaję w tobie człowieka, który otworzył do nas ogień, kiedy uciekaliśmy z gmachu sądu.

Zdjąłem okulary i pokręciłem głową.

— No proszę, a tyle za nie zapłaciłem.

— Zastanawia mnie tylko, dlaczego przedstawiciel amerykańskich organów ścigania, który przybywa do Hajfy i najwyraźniej zna mój adres, zamiast wyważyć drzwi i pokazać mi nakaz aresztowania, ucieka się do uprowadzenia mojego syna. A co ważniejsze, ile osób, z którymi jest związany, też zna ten adres?

— Same dobre pytania — przyznałem, postanawiając doliczyć mu jeszcze tych kilka sekund. — No i do jakich wniosków dochodzisz?

— Że albo działasz w desperacji, albo nadgorliwiec z ciebie.

— Dostyc tej pogawędki. Przekonaj mnie teraz, dlaczego powinienem ci oddać syna, a nie rozwalić na miejscu za to, co zrobiłeś w Nowym Jorku.

Smutny uśmiech rozciągnął wąskie wargi Riemlikowa.

— Bo mam dla ciebie coś bardzo cennego. Coś, co jeśli nie dzisiaj, to w przyszłości może nas obu kosztować życie.

— A jeśli to za mało? — Ten człowiek miał na sumieniu tyle zbrodni. Zasługiwał na śmierć, a przynajmniej na zgniecie w więzieniu. Korciło mnie, żeby — kiedy już mi powie, co chcę wiedzieć wyciągnąć pistolet i samemu wymierzyć sprawiedliwość.

Naturalnie, jemu mniej więcej to samo chodziło po głowie.

— No to powiedzmy, że nie zrobisz tego, bo nie jesteś taki jak ja. — Wzruszył ramionami. — Zadowolony?

Dosyć tego. Andie umierała gdzieś tam z nerwów, nie wiedząc, co tu się dzieje.

— Czas minął — orzekłem.

— To, czego szukasz, jest w Ameryce Południowej — powiedział. — W Argentynie, o ile się nie mylę. A może w Chile. W każdym razie na samym dole, niedaleko czubka. Cavello ma tam ranczo. Owce chyba hoduje.

— Słucham, słucham. Wiedziałem, że trzyma coś jeszcze w zanadru.

— Skąd mam mieć pewność, że po zapuszkowaniu Cavella nie wyjawisz mojego prawdziwego nazwiska władzom?

— A skąd ja mogę mieć pewność, że nie ostrzeżesz go po odzyskaniu syna?

Staliśmy naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Riemlikow uśmiechnął się.

— Mój syn jest szachistą. Ma wrodzony dar unikania patów. Ale ty to już pewnie wiesz.

— Nie gram w szachy. — Wzruszyłem ramionami. — Ale tak sobie myślę, że skoro wiemy już jeden o drugim rzeczy, których lepiej nie wyciągać na światło dzienne, to chyba najlepiej będzie, jeśli się już nigdy więcej nie spotkamy.

— Z ust mi to wyjąłeś. — Kiwnął głową. — To gdzieś w okolicach miasta Ushuaia. Prawie na samym czubku. Podobno klimat tam nieszczególny, ale czego to nie zniesie człowiek, który chce uciec przed cywilizacją. Już nazwa mówi sama za siebie.

Uśmiechnąłem się, słysząc nazwę rancza Cavella. Nie miałem już wątpliwości, że Riemlikow mówi prawdę.

— No, a teraz ty masz chyba coś dla mnie. — Założył z powrotem okulary przeciwsłoneczne, takie same jak moje.

Rozdział 102

Wyjąłem telefon i wysłałem SMS-a. Andie oddzwoniła natychmiast.

— Możesz go już przyprowadzić.

Starałem się nie patrzeć w żadnym określonym kierunku, żeby Riemlikow albo jego ewentualni współnicy nie zorientowali się, jak to ma się odbyć. Dłonie miałem wilgotne, pot ściekał mi po karku. Pozostawało nam tylko, mnie i Riemlikowowi, czekać i czujnie patrzeć sobie w oczy.

— Kto to był, jeśli wolno spytać?

— Ktoś. — Wzruszyłem ramionami.

— Ktoś z tego autokaru? Ten, komu Cavello tak podpadł?

— Ciesz się lepiej, że nie załatwiłem cię tu i teraz za to, co zrobiłeś.

— A to ciekawe. — Parsknął. — Taki sam zamiar miałem wobec ciebie.

Zacierał dłonie. Wiedziałem już, że ten zabójca nie pozwoli mi tak po prostu odejść. Rozejrzałem się za jakąś osłoną. Mijała nas grupka młodzieży. W naszym kierunku zmierzało dwóch policjantów.

Kątem oka zobaczyłem naszego białego forda zatrzymującego się na ulicy Ben Guriona przy jednym z wejść do parku.

Andie nie wysiadała. Czekala, tak jak jej przykazalem, na mój sygnal. Zerknałem jeszcze raz na zbliżających się policjantów, moje ubezpieczenie.

— Gdzie mój syn? — spytał Riemlikow. — Ta minuta już chyba minęła, nieprawdaż?

Rozdział 103

— Uprzedzam cię, że jeśli Cavella nie będzie tam, gdzie mówisz, to organa ścigania na całym świecie dostaną twoje nazwisko i linie papilarne. W takiej sytuacji o udanym rodzinnym życiu nie ma nawet co marzyć.

— A ty wiedz, że jeśli mojemu synowi choć jeden włos spadł z głowy, to marne twoje widoki.

Uniosłem lewą rękę. Sygnał.

Tylne drzwiczki samochodu otworzyły się. Zobaczyłem wysiadającego chłopca. Andie pokazała mu nas palcem. Oslonił dłonią oczy przed zachodzącym słońcem.

Riemlikow pomachał do niego.

— Tutaj, Pavel!

Chłopiec puścił się biegiem. Zabójca spojrzał na mnie. Andie ruszyła i zniknęła w rzece pojazdów.

— Ja nie żartowałem, Riemlikow — powiedziałem ostro. — Najchętniej bym cię tu zastrzelił.

Odwróciłem się i obszedłem pomnik, przecinając drogę niczego niepodejrzewającym policjantom. A potem, jak gdyby nigdy nic, zacząłem biec truchtem, ale na tyle szybkim, żeby jak najszybciej oddalić się od Riemlikowa.

Lawirowałem między ludźmi wspinającymi się na wyżej położone tarasy. Alejka biegła pod górę i była bardzo zatłoczona. Obejrzałem się przez ramię. Nikt mnie nie ścigał.

Skreśliłem z alejki i wbiegłem na szczyt niskiego, porośniętego drzewami pagórka. Dostrzegłem stamtąd jedno z wyjść z parku prowadzące na ulicę Allenby.

Tam postanowiłem się skierować. Złapię taksówkę i za parę minut będę z Andie w hotelu. Wiedzieliśmy już, co chcieliśmy wiedzieć. Za godzinę już nas tu nie będzie.

Obejrzałem się jeszcze raz. Riemlikow klęczał, tuląc syna do piersi i obsypując go pocałunkami.

W pewnej chwili spojrzał w moją stronę. Trudno było orzec, czy mnie widzi w tym gąszczu drzew. Ale odniosłem wrażenie, że jednak widzi.

Serce nie waliło mi już tak jak przed kilkoma minutami. Wszystko poszło zgodnie z planem. Andie była bezpieczna. Wiedziałem, gdzie szukać Cavella.

Miałem ochotę skakać z radości. Udało się! Tym razem byliśmy górą.

I naraz ktoś chwycił mnie od tyłu za szyję, wykręcił głowę i przystawił nóż do piersi.

— Sorry, koleś, ale bywa, że nie wszystko układa się do końca po naszej myśli.

Zmartwiałem.

— Zadam ci teraz jedno pytanie — ciągnął tamten z ciężkim południowoafrykańskim akcentem — i jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, to mi na nie odpowiesz. Kto podrzucił tu tego smarkacza?

Mocniej napał na nóż; powietrze uszło mi z płuc. Udało mi się rzucić na niego okiem. Kiepska sprawa.

Kosmyk włosów opadający mu na twarz był koloru blond.

Rozdział 104

Nie będę ukrywał, że chociaż w FBI służyłem już jedenaście lat, to tylko w kilku przypadkach zmuszony byłem podjąć walkę wręcz. A i to były bardziej bezładne młócki niż klasyczny boks albo karate, no i w żadnym z tych przypadków nie miałem za przeciwnika dwa razy ode mnie większego zawodowego zabójcy, który trzymałby mnie w dławiącym uścisku i wbijał jednocześnie nóż między żebra.

Zupełnie mnie swoim chwytem obezwładnił. Nie mogłem nawet krzyknąć. Z tym, że co by to dało? Gorączkowo i bez powodzenia próbowałem zebrać myśli. Ostrze noża dotykało mojej klatki piersiowej, że nie miałem pewności, czy aby nie weszło już w ciało.

— Mógłbym ci bez trudu skrócić kark, przyjacielu, i nie miałbyś innego wyjścia, jak tylko przenieść się na tamten świat, ale nie wiem, czy nie lepiej będzie się z tobą trochę zabawić.

O Jezu!

— Wyświadczyć sobie przysługę, stary, i powiedz, kim była tamta kobieta w samochodzie.

Przypomniało mi się, czego uczono na jakimś kursie samoobrony, który Biuro zafundowało nam przed kilku laty. Naturalny odruch w takiej sytuacji to szarpać się, wrywać, co sprawia, że napastnik jeszcze mocniej zaciska chwyt.

Należy naprzec na niego, tłumaczył instruktor, i wykorzystać moment, kiedy straci równowagę. Tam do diabła, pomyślałem, raz kozie śmierć! Przecież nie wydam Andie.

Oparłem się o blondyna. Zaskoczony cofnął się o krok, ale mnie nie puścił.

Zdołałem jednak sięgnąć do wewnętrznej kieszeni kurtki. Namacałem kolbę glocka. Byłem tak zdezorientowany, że nie wiedziałem nawet, czy celuję do niego, czy do siebie. Inna sprawa, że jeśli będę się ociągał z oddaniem strzału, przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

— Sam tego chciałeś, kutasie — westchnął blondyn.

Pociągnąłem za spust. Raz, drugi! Odrzut pchnął nas obu w tył. Bliskość stłumiła huk wystrzałów. Nie wiedziałem, czy trafiłem. A jeśli tak, to czyjego, czy siebie. Ale nie czułem już noża. Ani bólu przeszywającego brzuch. Pociągnąłem za spust jeszcze dwa razy.

— Kurwa! — wrzasnął blondyn i puszczając mnie, zatoczył się w tył.

Odskoczyłem od niego w momencie, kiedy machnął na oślep nożem. Obróciłem się na pięcie i zobaczyłem czerwona dziurę w jego udzie, po nogawce rozdartych dżinsów sphywała krew.

— Ożeż ty. Już, kurwa, nie żyjesz! — Spojrzał na swoją nogę, potem znowu na mnie. W jego oczach płonęła zwierzęca furia.

Trzymałem go wciąż na muszce, ale nie bardzo wiedziałem, co dalej. Teraz nic by nie stłumiło huku wystrzału, a zbliżała się do nas grupka spacerowiczów. Byłem w końcu agentem FBI, a nie zimnokrwistym zabójcą. Zresztą gdybym go nawet zastrzelił, to FBI, nie FBI, do końca życia tłumaczyłbym się, co tu robiłem. Z celi izraelskiego więzienia!

— Odwróć się! — krzyknąłem. — Rozchył kurtkę.

Blondyn popatrzył na nadchodzących i powoli rozchylił poły kurtki.

— Co kombinujesz, koleś? Chcesz mnie skasować?

Na pewno był uzbrojony, ale nie widziałem pistoletu. Co gorsza, tamci ludzie byli już blisko, a ja trzymałem swój na wierzchu. Blondyn nie wiedział, kim jestem. Nie wiedział, gdzie się z Andie zatrzymaliśmy. Wiedział tylko, że skoro do tej pory nie rozwalilem mu łba, to już tego nie zrobię, zwłaszcza na oczach świadków.

— Ruszaj. — Pokazałem lufą kierunek. — Schodź z pagórka. No już!

Rozdział 105

Blondyn niechętnie, z ociąganiem, ale posłuchał. Rzucił po raz ostatni okiem na zbliżającą się grupkę, z uda ciekła mu krew. Żył i wiedział, że nic mu już nie zagraża. Sukinsyn idealnie mnie rozpracował.

— Powiedz Riemlikowowi, że jeśli nie znajdę, czego szukam, to nasza umowa traci ważność. — Zacząłem się cofać.

Wyjście z parku na Ben Gurion Street znajdowało się jakieś sto kroków poniżej. Kłębiły się tam tłumy. Doszedłem do wniosku, że w takich warunkach nawet on nie odważy się strzelać. Że dobiegnę tam pierwszy, nie miałem żadnych wątpliwości. Byle tylko dobiec.

Wystartowałem, szukając osłony między żywopłotami i drzewami. Obejrzałem się przez ramię. Blondyn kuśtykał za mną, wyciągając pistolet zatknięty za pasek z tyłu dżinsów. Zatrzymał się i przyjął postawę strzelecką.

Nie słyszałem wystrzału, ale pocisk gwizdnął mi koło ucha i z głuchym stuknięciem utkwiał w pniu drzewa.

Facet znowu za mną ruszył. Nie do wiary. Miał w udzie pocisk kalibru .40, a nie odpuszczał.

Pędziłem co sił w kierunku rojnego wyjścia na Ben Gurion z nadzieją, że go zgubię. Potem złapać tylko taksówkę i do hotelu. Nic dodać, nic ująć.

Do parku wchodził właśnie chłopak z dziewczyną. On był

w sandałach i T-shircie z nadrukiem Linkin Park, przez plecy miał przewieszoną gitarę. Coś śmignęło mi z wizgiem ponad ramieniem. Na moich oczach chłopak zatoczył się i upadł. Z barku trysnęła mu krew. Dziewczyna poderwała dłonie do ust i zapiszczała.

— Na ziemię! Na ziemię! — krzyczeli ludzie.

Patrzyłem z niedowierzaniem.

Ucierpiał niewinny człowiek, raniony, może zabity... Sytuacja wymykała się spod kontroli. Wiedziałem, że powinienem się zatrzymać i położyć temu kres. Unieszkodliwić bandziora, zaczekać na policję, zachować się logicznie i rozsądnie. Ludzie krzyczeli, totalne zamieszanie. Obejrzałem się, szukając wzrokiem blondwłosego zabójcy. Zgubiłem go! Od ulicy Ben Guriona nadbiegali policjanci. Nie wiedziałem, co robić. Chłopak chyba żył. był tylko ranny.

Byłem już blisko wyjścia. Byle tylko dalej od prześladowcy. Modliłem się, żeby policjanci go zatrzymali. Nic z tego. Zobaczyłem go — blond włosy i dzikie oczy. Biegł za mną wzdłuż muru otaczającego park. Wmieszałem się w tłum.

Biegłem na oślep zatłoczonymi ulicami, rozglądając się gorączkowo za taksówką. Jeszcze nie wszystko stracone. Byle tylko znaleźć się z powrotem w hotelu. Nie mieli pojęcia, kim jestem.

Skreśliłem w wąską, odbiegającą od parku uliczkę obstawioną z obu stron straganami. Były ich setki — skórzane kurtki, haftowane koszule, wiklinowe koszyki, przyprawy.

Lawirowałem między tłumami przekupniów i turystów, potrącając stelaże, odpychając wchodzących mi w drogę ludzi, oglądając się co chwila przez ramię, czy wciąż mnie ściga. Od strony parku dolatywało wycie syren.

Nie, ten szaleniec nie da za wygraną. W tej rojnej uliczce o taksówce nie było co marzyć. Biegiesz tak, Nick, i biegiesz, a nawet nie wiesz dokąd! Docierało już do mnie, że w końcu będę się musiał zatrzymać i stawić mu czoło. Zastrze-lić, jeśli się da.

Kolejne dwa pociski gwizdnęły mi koło ucha i utkwiły w ścianie straganu z barwnymi tkaninami, przewracając go.

Wcisnąłem głowę w ramiona i przyspieszyłem. Widziałem już przed sobą koniec uliczki. Gorsza sprawa, że kończyła się ślepym zaułkiem, a ja na taką ewentualność nie byłem przygotowany. Znalazłem się w pułapce. Odzywała się skrzeczająca rzeczywistość: Nick, będziesz musiał walczyć z tym sukinsynem.

Zatrzymałem się pod ścianą, odwróciłem i ogarnąłem wzrokiem sytuację. Miałem do wyboru: albo pognać z powrotem w zatłoczoną uliczkę, albo tu na niego czekać. Ścisnąłem mocniej kolbę pistoletu. Pomyślałem o Andie, o koszmarze, który od roku śnił jej się po nocach. Blondyn oddalający się biegiem od autokaru wiozącego przysięgłych.

Ten człowiek zabił jej syna.

Ukryłem się za straganem na końcu uliczki. Co prawda nie był to Cavello, ale to on wysadził w powietrze cały skład ławy przysięgłych. Nie miałem żadnego planu. Nie byłem policjantem ani zbiegiem. Łączył mnie jednak z nimi wzmógłony przyływ adrenaliny. Za chwilę będę musiał podjąć walkę.

Blondwłosa zabójca wkuśtykał w końcu w zaułek.

— Rzuć broń — powiedziałem, biorąc go na muszkę.

— Że co? — Zatrzymał się i spojrzał na mnie z kpiącym uśmiechem. — Nie wiem, coś ty za jeden, przyjacielu, ale już nie żyjesz.

Rozdział 106

Zaczął unosić rękę. Oddałem dwa strzały. Oba celne, w klatkę piersiową. Chwycił się dachu pobliskiego straganu i pociągając za sobą rozwieszzone na nim tkaniny, zwałił się na ziemię. Podźwignął się z trudem. Widziałem, jak znowu unosi rękę z pistoletem zaplątaną w jedwabie.

— To ty wysadziłeś tamten autokar! — wywrzeszczałem.

Blondyn nie od razu zrozumiał, o co mi chodzi. Potem jego wargi rozciągnął szeroki uśmiech.

— A tak, ja. — Skrzywił się, zdzierając z siebie resztki tkanin. — Bummm!

Doskoczyłem i zdzieliłem go pięścią w twarz. Zatoczył się w tył i zatrzymał na barierce. Nie panując nad sobą, złapałem go za kołnierz koszuli. Uderzyłem go znowu z całych sił, jakie mi zostały. Zatrzeszczały zęby, krew puściła mu się z ust, ale nie upadł. Pchnąłem go.

— No to teraz ty będziesz miał, skurwielu, swoje bum!

Zabójca, usiłując wciąż wziąć mnie na cel, przegiął się w tył, przewinął przez poręcz i runął z wysokości kilku metrów na dach zaparkowanego poniżej samochodu. Wystrzelony przez niego pocisk pomknął Panu Bogu w okno.

Wychyliłem się przez barierkę i spojrzałem w dół. Ludzie krzyczeli, rozbiegali się na wszystkie strony. Byłem wykończony, łapczywie chwytalem powietrze w płuca. W tym

momencie było mi obojętne, czy ktoś mnie widzi, czy nie. Nie zrobiłyby na mnie wrażenia nawet policyjne syreny ani nadbiegający gliniarze.

Dopiero po chwili przyszło opamiętanie. Nie do wiary.

Ten obłąkaniec otworzył oczy. Patrzył na mnie z dołu. Nadal żył. Krzepnąca krew zlepiła mu włosy, rozlewała się wielką plamą na koszuli. Stoczył się z samochodu i na nogach jak z waty powlókł z powrotem w kierunku uliczki, unosząc znowu prawą rękę. O dziwo, nie wypuścił z niej pistoletu.

Znowu brał mnie na muszkę!

Stałem jak sparaliżowany i gapiłem się z niedowierzaniem.

— No, zdechnij wreszcie, skurwysynu — mruczałem pod nosem. — Zdechnij!

Przykucnął między dwoma samochodami. Widziałem, że ma trudności z oddychaniem. Nagle wyskoczył na jezdnię z upiornym uśmiechem, wziął mnie na cel i w tym samym momencie usłyszałem klakson. A zaraz potem przeraźliwy, przyprawiający o gęsią skórkę pisk hamulców.

Blondyn obejrzał się, wytrzeszczył oczy, otworzył usta do krzyku, ale krzyknąć już nie zdążył.

Staranowany przez autobus przeleciał w powietrzu kilkanaście metrów i zwałił się bezwładnie na jezdnię. Wypuszczony z ręki pistolet upadł na chodnik z traskiem przypominającym wystrzał.

Doleciały mnie krzyki. Rzuciłem po raz ostatni okiem. Bezkształtna, krwawa masa.

Tym razem nie czekałem na kolejne zmartwychwstanie. Kiedy gromadzący się na miejscu wypadku gapie spojrzeli w górę, na tarasie nikogo już nie było.

Rozdział 107

Kilka minut później pukałem do drzwi naszego hotelowego pokoju.

— Andie, wpuść mnie, to ja!

Drzwi otworzyły się i dosłownie padłem jej w ramiona.

— Boże, Nick, nie wiedziałam już, co myśleć — wyskamała płaczliwie, zarzucając mi ręce na szyję. Spojrzała na moją zakrwawioną koszulę, na sińce na szyi. — Nick!

— Nic mi nie jest — uspokoiłem ją. — Ale musimy się stąd natychmiast zmywać.

Przebrałem się szybko. Zbiegliśmy z bagażami na dół, uregulowaliśmy rachunek i wkrótce pędziliśmy już krętymi uliczkami Starego Miasta w kierunku nadbrzeżnej szosy na Tel Awiw, skąd o dwudziestej drugiej odlatywał nasz samolot. Andie prowadziła. Zamknąłem oczy, odchyliłem głowę na zagłówek i odetchnąłem z ulgą.

— Miałas na mnie nie czekać — odezwałem się, otwierając oczy i spoglądając na nią.

— Słucham?

— Powiedziałem: godzina. Spóźniłem się trzydzieści minut. Powinno cię tu już nie być.

Zerknęła na mnie tak, jakby nie dosłyszała. A potem uśmiechnęła się.

— A ja ci powiedziałam, Nick, że cię nie zostawię.

Długi czas jechaliśmy w milczeniu. Czułem się taki zubożniały i wypompowany jak jeszcze nigdy w życiu.

— Załatwione? — spytała w końcu, kiedy światła Hajfy zostały już daleko za nami.

Zawahałem się.

— Tak, załatwione. — Uśmiechnąłem się.

— Czyli teraz do Paryża?

Kiwnąłem głową.

— Na początek.

— A dokąd potem?

— Wciąż mnie kochasz? — spytałem.

— Tyle strachu się przez ciebie najadłam, Nick. Sama nie wiem, co czuję.

— Żebyś ty wiedziała, co ja czuję. — Ugryzłem się w język. — Nie, wróć. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Uśmiechnąłem się. Najpierw pod tak zwanym nosem, potem szerzej — triumfująco. Nie chciało mi się wierzyć, że dopięliśmy swego.

Andie też się uśmiechnęła.

— Tak, wciąż cię kocham — powiedziała. — No więc dokąd?

„Na koniec świata”, napisał żartobliwie Cavello. „Zapraszam z kajdankami, Nicky Makaroniarzu”.

Dopiero teraz mnie to rozśmieszyło. Dzięki temu wiedziałem, że Riemlikow powiedział mi prawdę. Ranczo Cavella nazywało się El Fin del Mundo. Koniec Świata.

— Do Patagonii — odparłem.

— Do Patagonii? — Andie spojrzała na mnie podejrzliwie. — Nawet nie wiem, gdzie to jest.

— Spokojna głowa, ja wiem.

Część piąta

El Fin del Mundo

Rozdział 108

Żałosne skowyczenie młodej dziewczyny roznosiło się echem po wzniesionym z kamienia domu. Miała na imię Mariella, leżała skulona na łóżku, po poduszce rozlewała się krew z rozdrapanego policzka.

— Stul dziób! — warknął Dominic Cavello, owijając się szlafrokiem i podchodząc do okna. Podniósł żaluzje. Pokój zalało popołudniowe światło. — Chyba lepiej ze mną niż z jakimś pastuchem, nie? Albo z pijanym ojcem? Ojciec cię rżnie?

W dolinie za oknem unosiła się brunatna mgiełka. Wkrótce zima. Wszystko się zmieni. Pastwiska pokryje śnieg, przez wiele miesięcy będzie nad nimi hulał mroźny wiatr. Cavello na samą myśl o tym dostał gęsiej skórki.

Ale warto było — warto było rzucić wszystko dla wolności. Był teraz właścicielem największego rancza w regionie. Umowa ekstradycyjna tego kraju ze Stanami Zjednoczonymi była byle jaka i w praktyce rzadko stosowana. Na swojej liście płac miał każdego, kto liczył się w tutejszym rządzie. Był bezpieczny.

I miał tu do dyspozycji takie jak młodziotka Mariella delikatesy, których nie uświadczyłby w więzieniu Marion.

Na ogrodzeniu, obok jednego z jego range roverów, siedzieli dwaj ochroniarze z pistoletami maszynowymi, sącząc bez pośpiechu kawę. Zaintrygowani zawrotem dziewczyny

spojrzeli w okno i napotkali wzrok Cavella. Trudno powiedzieć, co sobie pomyśleli, a zresztą co go to obchodzi.

— Stul dziób, powiedziałem. — Wrócił do skamlącej dziewczyny. — Zupełnie jak ta kwoka. Tego chcesz? Spać w stodole z innymi kwokami? A może... — rozwiązał pasek szlafroka, czując nowy przypływ chuci —...może chcesz jeszcze raz z ojczulkiem?

Odsunęła się, przeklinając go po hiszpańsku. Cavello wskoczył na łóżko i wymierzył jej kolejny siarczysty policzek, rozcinając dziewczynie wargę. Zrzucił szlafrok i usiadł na niej okrakiem, przytrzymując za nadgarstki ręce, którymi usiłowała się bronić. Spojrzał na idealnie ukształtowane piersi, na młodą, porośniętą gęstym włosem cipkę.

— Tak, tak, tego ci pewnie trzeba.

Wtem z dołu doleciały odgłosy jakiegoś zamieszania, zaraz potem rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

— Kogo tam? — warknął.

— To ja, Lucha, Don Cavello.

— Czego? Zajęty jestem.

— Mamy tu taki mały problem, señor.

Lucha był komendantem ochrony rancza. Miał pod sobą kilku ludzi, którzy non stop patrolowali z psami teren. Siedzieli u niego w kieszeni wszyscy ważniejsi przedstawiciele organów ścigania z Ushuai. Pochodził z Buenos Aires, gdzie swego czasu służył w policji.

Cavello zlął z dziewczyny, wdział szlafrok i przewiązał się paskiem. Uchylił drzwi.

— Nie wkurwiał mnie, Lucha, bo to się może źle dla ciebie skończyć. Jaki znowu problem?

— Przyszedł ojciec tej dziewczyny, Don Cavello. Chce się z nią widzieć.

Cavello wzruszył ramionami.

— Daj mu na flaszkę i niech spada. Aha, i niech Esteban da mu dwa dni wolnego. A mnie nie zawracać więcej głowy, bo jestem zajęty.

— To grubsza sprawa, señor Cavello — wybąkał komendant ochrony. — Ta dziewczyna ma piętnaście lat.

— Świnia! Gnoj! — wyrzaskiwał na dole ojciec.

Mariella zerwała się z łóżka i rzuciła do drzwi.

— Tatusiu! — krzyknęła.

Cavello chwycił ją wpół i przytrzymał.

— Nie tak łatwo będzie to załatwić, Don Cavello — ciągnął Lucha. — Jeśli wieść się rozniesie, ściągniemy na siebie uwagę.

Z dołu dolatywał gromki głos pracownika rancza wyzywającego Cavella od świń, a swoją córkę od dziwek.

— Dawaj go tu — warknął Cavello. — Sam z nim pogadam.

— Don Cavello...

— Dawaj go tu, mówię!

Lucha kiwnął głową i po chwili dwaj jego ludzie przywlekli z dołu krzepkiego mężczyznę o płonących furią oczach. Na widok Cavella splunął na wypolerowaną drewnianą podłogę.

— On mówi, że dla niego nie ma już życia na tym świecie, Don Cavello. I dla pana też.

Cavello, gładząc kształtne pośladki Marielli, spojrzał w dzi-
kie oczy starego.

— Ma rację, Lucha. Jak tu żyć z takim poczuciem zhań-
bienia. Skróć mu cierpienie.

— Co skrócić, Don Cavello? — Ochroniarz nie zrozumiał.

— Zabij go. Zastrzel. Zakop.

— Nie! — Dziewczyna szarpnęła się. — Nie, seor, nie! —
Padła na kolana, błagając Cavella po hiszpańsku o łaskę dla
ojca.

Ochroniarz się zawahał.

— To by nam zdjęło z głowy jeden problem, Don Cavello,
ale... — tu wskazał ruchem głowy na dziewczynę —...ale
co z nią?

Cavello spojrzał z żalem na piękną Mariellę. Zdawał sobie
sprawę, że drugiej takiej tu nie znajdzie.

— Ją też zabij. Albo nie, sam to zrobię. W swoim czasie.

Rozdział 109

Podróż z Londynu do Santiago w Chile, po drugiej stronie świata, trwała dwadzieścia dwie godziny, w czasie których zdążyliśmy obejrzeć trzy pełnometrażowe filmy. Potem jeszcze cztery i pół godziny chilijskimi liniami LAN do Punta Arenas, szarego, niezamarzającego portu u podnóża Andów, na spodzie świata. Mogliśmy lecieć od razu do Ushuai, ale zachodziła obawa, że Riemlikow nas zdradził, i wolałem nie ryzykować.

Na południowej półkuli panowała jesień, a my znaleźliśmy się na samym dole tej półkuli. Niebo było ołowianoszare, dął nieustający wiatr. Zaadaptowanie się do tych warunków pogodowych zajęło nam cały dzień. Według Riemlikowa ranczo Cavella znajdowało się niedaleko Ushuai, dwanaście godzin jazdy na południe.

— Gdzie, u licha, jest ta Ushuaia? — spytała Andie, pochylając się nad mapą.

— Na południu.

— Przecież jesteśmy już na południu. — Uśmiechnęła się ironicznie.

Pokazałem jej małą kropkę na samym czubku Ameryki Południowej.

— Tutaj.

Ushuaia przez lata znana była głównie ze znajdującego się tam więzienia. Miałem książkę o Patagonii, w której autor nazwiskiem Bruce Chatwin opisywał tę słynną i tajemniczą krainę. Do jej brzegów pierwszy przybił Magellan i napotkawszy pólnagich, pomimo bardzo surowego klimatu, Indian, grzejących się przy ogniskach, nazwał ją Ziemią Ognistą. Tierra del Fuego.

— Chciałam tylko zauważyć — odezwała się Andie, kiedy nazajutrz wsiedliśmy do wynajętego land cruisera i ruszyliśmy w drogę — że jeśli Riemlikow okaże się kłamcą, to czeka nas bardzo długa droga powrotna.

Szosa prowadząca na południowy wschód była dziurawa i kręta, za to widoki spektakularne. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem. Szybko znaleźliśmy się w Andach. Postrzępione, urwiste turnie strzelały w niebo wprost z rozległych równin. W przełęczach zalegały masywne, błękitne lodowce. Linia brzegowa była skalista i nieregularna, chyba taka sama jak przed milionami lat. Zupełnie jakby Bóg do tej pory nie mógł się zdecydować w wyborze między pięknem a niedostępnością. Niemal za każdym zakrętem skłębione chmury rozstępowały się, odsłaniając otchłanie nieziemskiego błękitu.

Przecieliśmy wreszcie granicę i znaleźliśmy się w Argentynie. Kręta szosa biegła wzdłuż usianego wysepkami i najezzonego półwyspami kanału Beagle. Wystarczyło spojrzeć na jego szarobure wody, by nie mieć wątpliwości, że są lodowato zimne. Co jakiś czas z pobocza pozdrowiał nas jeździec na koniu o ogorzałej, przesłoniętej chustą twarzy. Krajobraz był nagi, wręcz księżycowy.

Zatrzymaliśmy się przed przydrożnym barem, pierwszym na przestrzeni wielu kilometrów. Siedzący przed nim gauchos, sympatyczni na oko miejscowi, przyglądali nam się ze zdziwieniem, zastanawiając się chyba, czy nie pomyliliśmy aby pór roku.

— Nie ma co grymasić — powiedziała Andie. — Najbliższy McDonald jest pewnie pięćset kilometrów stąd.

Mięso było w barze pieczone na otwartym ogniu i podawane jeszcze parujące, z tortillami polanymi zielonym sosem chimichurri. Zachwycać się nie było czym, ale uszło w tłoku. Zrobiliśmy sobie zdjęcie na tle znaku drogowego obwieszającego w dwunastu językach: ANTARKTYKA. 807 MIL.

Młody kowboj z wielokolorową chustą na szyi pozwolił Andie dosiąść swojego konia. Jej uśmiechu, kiedy znalazła się w siodle, nie zapomnę do śmierci. Miałem nadzieję, że nie nastąpi to szybko.

Kiedy wsiadaliśmy do land cruisera, Andie spojrzała na mnie ze smutkiem.

— Szkoda, że nie ma tu Jarroda, Nick. Pomyśleć tylko, ile go ominięło.

Dotarliśmy wreszcie do Ushuai, ostatniego przystanku przed Antarktyką, i nie mieliśmy komu wysłać widokówki.

Miasto pięło się po wypełzającej z morza pochyłości i opierało o urwistą ścianę góry. Od Hajfy dzieliło je pół świata, i to nie tylko geograficznie. Była to zabita dechami dziura. Od portu handlowego odbiegały wąziutkie uliczki pełne tubylców handlujących czym popadnie, od pluszowych pingwinów po T-shirty z nadrukiem Antarktyka. Między nimi szwendały się gromady bezpańskich kundli. Przed niskimi budynekami piętrzyły się stopy dziwacznych koszy.

Niedaleko portu znalazłem polecany w przewodniku, podobno dość porządny hotel o nazwie La Bella Vista. Spojrzałem na Andie i wzruszyłem ramionami.

— Ritza to się tu raczej nie spodziewaj.

W naszym pokoju stało królewskie łóżce, na ścianach kilka widoków miasta sprzed stu lat oraz oprawiona w ramki mapa morska Antarktyki, której było tu wszędzie pełno tak samo jak fotografii placu Świętego Piotra w hotelach w Rzymie.

Wyszliśmy na mały balkon, z którego rozciągał się widok na cieśninę Beagle. Niebo przestaniały ciemne, nisko i szybko sunące chmury. Z równiny po drugiej stronie szarego kanału

wyrastały góry. Smagnął nas powiew nieprzyjemnego, zimnego wiatru.

— Tylko mi potem nie wypominaj, że nie zabierałem cię do żadnych ciekawych miejsc.

Andie położyła mi głowę na ramieniu.

— Bez obawy, tego nie da ci się zarzucić, Nick.

Wiedzieliśmy oboje, że teraz zabawa oficjalnie się kończy.

Rozdział 110

Nazajutrz zeszlśmy na dół i po śniadaniu zasięgnęliśmy języka w recepcji. Falistowłosy recepcjonista wziął nas najwyraźniej za kochanków na urlopie i na ochotnika podjął się roli przewodnika po okolicy.

— Może chcieliby państwo zobaczyć pingwiny?

— Żadnych pingwinów. — Wyjąłem naszą mapę. — Interesują nas rancza pod miastem. Może pan mógłby nam pomóc?

— Ach, la estancia. — Estancjami nazywano tutaj rozległe posiadłości należące od dziewiętnastego wieku do prywatnych właścicieli, a teraz stanowiące atrakcję turystyczną na równi z parkami narodowymi.

Podsunałem mu mapę.

— Szukamy jednego konkretnego. Nazywa się El Fin del Mundo.

— El Fin del Mundo — powtórzył recepcjonista, kiwając głową. — Koniec świata.

— Wie pan, gdzie to jest?

— Nie. — Recepcjonista pokręcił głową. — Ale nazwa jak znalazł.

Gdybym tu był służbowo, odnalazłbym Cavella bez większych problemów, zwracając się od razu o pomoc do miejscowej policji. Podejrzałem jednak, że prywatność jest w tych stronach wartością samą w sobie, no i nie chciałem ściągać na siebie uwagi.

— Dużo estancji jest na północ od miasta. — Recepcjonista sięgnął po długopis i zakreślił nim na mapie elipsę. — Tu, na samych przedmieściach. I tu. — Zakreślił jeszcze jedną na zachód od miasta. — Jesteście państwo samochodem, señor?

— Terenówką z napędem na cztery koła.

— To bardzo dobrze, bo zwyczajnym samochodem się tam nie dojedzie. — Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Wyjechaliśmy z miasta, kierując się na południowy wschód. Szosa biegnęła przez jakiś czas brzegiem kanału pełnego bezludnych wysepek. Na horyzoncie rysowały się chilijskie góry.

Po jakimś czasie skręciliśmy w górską drogę i podjęliśmy wspinaczkę. I to jaką!

— Powiedz prawdę — odezwała się Andie, udając rozczarowanie. — Ty naprawdę nie chciałeś zobaczyć tych pingwinów?

— Jak znajdziemy Cavella. — Uśmiechnąłem się. — Wtedy może wygospodarujemy na to trochę czasu.

Wjechaliśmy w doliny położone wysoko nad Ushuaią. Było tu więcej zieleni, a góry, choć wysokie, nie były już tak urwiste. Minęliśmy kilka zniszczonych znaków drogowych. BRIDGES ESTANCIA. I jeszcze jeden ze strzałką pokazującą przeciwny kierunek: CHILE.

Krajobraz był spektakularny — zamarznięte wodospady walące w dół z niebotycznych klifów, żleby wypełnione szczelnie lodem. Minęliśmy przepiękne jezioro. Odbiegały od niego urwiste góry powykęcane w kształty, jakich nigdy dotąd nie widziałem, skąpane w beżowym blasku.

Następne dwie godziny upłynęły nam na penetrowaniu każdej odbiegającej od szosy, wyboistej drogi, jaką napotkaliśmy. Natknęliśmy się na kilka drewnianych bram. Wszystko fałszywe alarmy.

Zaczynałem dochodzić do wniosku, że prędzej znajdziemy tu Wielką Stopę niż Cavella. Wracając, wybraliśmy inną drogę i zjechaliśmy z gór ku zachodowi, przez Tierra del Fuego Park. Zobaczyliśmy tam niewyobrażalnie ogromną

taflę lodu. Miała co najmniej dziesięć metrów wysokości i rozciągała się na wiele kilometrów, pokrywając dolinę pomiędzy dwoma szczytami.

Minęliśmy trzy rancza. Wszystkie rozległe i pięknie położone, upchnięte między góry, z widokiem na nagie wybrzeże i morze. Żadne nie było tym, którego szukaliśmy.

Jęknąłem sfrustrowany. Diabli wiedzieli, co miał na myśli Riemlikow, mówiąc, że to „pod Ushuaia”. Nie wiedzieliśmy nawet, w którym kierunku prowadzić poszukiwania.

Kiedy o szesnastej wjeżdżaliśmy z powrotem do miasta, słońce chyliło się już ku zachodowi. Tyle, co tego dnia, jeszcze się chyba nie nazwiedzałem, ale przecież nie po to tu przybyliśmy. Zapyziałymi uliczkami dojechaliśmy pod nasz hotel.

— Senor! — Recepcjonista Guillermo ożywił się na nasz widok. — I co, znaleźli państwo?

— Koniec świata, owszem — burknąłem. — Ale rancza nie. Guillermo nie krył podniecenia.

— Spytałem swoją żonę, senor. Jest Holenderką i pracuje w el pasillo de ciudad. W magistracie, znaczy.

Nadstawiłem ucha.

— I ona wie, gdzie jest El Fin del Mundo.

Podszedłem do lady i rozłożyłem na niej mapę. Guillermo wskazał palcem punkt na wschód od miasta. Z zupełnie innej strony niż ta, którą przez cały dzisiejszy dzień przeczesywaliśmy.

— Tutaj. Od dawien dawna ta ziemia należała do miejscowej rodziny. Tak przynajmniej stoi w księgach wieczystych. Ale żona mówi, że teraz właścicielem jest jakiś zagranicznik. Amerykanin... dobrze mówię?

Poklepałem Guillerma po ramieniu i uśmiechnąłem się.

— Zgadza się, Amerykanin.

Rozdział 111

Nazajutrz wyruszyliśmy land cruiserem na poszukiwanie rancza.

Leżało na wschód od miasta, w odciętej od świata dolinie. z dala od innych posiadłości. Jechaliśmy wąskim kanionem przecinającym skalne klify zwieńczone jezorami lodowca. Nie było tu żadnych drogowskazów, kierowaliśmy się jedynie wskazówkami Guillerma. Gdyby nie on, nigdy nie przyszłoby nam do głowy tu zaglądać.

Zatrzymaliśmy się na wzniesieniu, na wydeptanym chyba przez owce szlaku, skąd roztaczał się widok na położone w dolinie pastwiska. Cofnąłem nieco wóz, żeby nie było nas z dołu widać.

Wysiedliśmy z Andie, podczołgaliśmy się do skalnego nawisu i przyłożyłem do oczu lornetkę. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że to ranczo Cavella.

— On tu jest.

Posiadłość nie miała nic z gościnnej otwartości innych rancz, które dotąd widzieliśmy. Nad drewnianą bramą nie było żadnej deski z nazwą, natomiast strzegła jej drewniana wieżyczka, a na niej dwóch ludzi — ni to strażników, ni żołnierzy — rozpartych na krzesłach i rżnących w karty.

— Znudzeni — powiedziałem. — To dobry znak. Mam nadzieję.

Na hali sięgającej hen, aż pod odległe strome górskie zbocza, pasły się stada owiec. Ale ogrodzenie z drutu kolczastego rozciągające się w obie strony od zamkniętej bramy nie było po to, żeby się nie rozlażyły. Ono miało zniechęcać ewentualnych intruzów z zewnątrz.

Mężczyźni na wieży byli uzbrojeni. Widziałem dwa oparte o ścianę karabiny automatyczne. Wypatrzyłem jeszcze czterech ludzi patrolujących z psami okolicę. To wyglądało mi bardziej na warowny obóz niż na ranczo.

El Fin del Mundo.

Posiadłość była tak rozległa, że nie widziałem nawet głównego domu ani zabudowań gospodarczych. Trudno było powiedzieć, jaki system ochrony tu zastosowano. Skoncentrowałem się więc na strażnikach przy bramie. To cholerne ogrodzenie mogło być pod prądem; widziałem kamery rozmieszczone nad nim w nieregularnych odstępach.

Przekazałem lornetkę Andie. Nerwowym ruchem przyłożyła ją do oczu. Jestem przekonany, że nie zauważyła karabinów na wieżycze strażniczej, ale po zlustrowaniu terenu oddała mi ją z pełnym rezygnacji wzruszeniem ramion.

— Jak chcesz się tam dostać, Nick?

Oparłem się o głaz, zaczerpnąłem garść drobnych kamyczków i przesiałem je przez palce.

— Nie mam zielonego pojęcia.

Rozdział 112

Obserwowaliśmy ranczo Cavella z odległości czterystu metrów jeszcze przez cały następny dzień, przyczajeni przy wąskim owczym szlaku, chroniąc się co jakiś czas przed deszczem i chłodem w ukrytym w pobliżu samochodzie. Czekaliśmy, aż coś się tam wydarzy.

No i na trzeci dzień wreszcie się wydarzyło.

Brama zaczęła się otwierać. Strażnicy na wieżycze wstali. Mocniej przycisnąłem lornetkę do oczu i wyregulowałem ostrość.

Wypatrzyłem w oddali dwie czarne plamki zbliżające się drogą. Wyskoczyłem z land cruisera. Andie wyczuła, że coś się dzieje.

— Co tam, Nick?

Nie odpowiedziałem, obserwując przez lornetkę nadjeżdżające samochody. Jeszcze kilkaset metrów i rozpoznałem dwa czarne range rovery. Strażnicy przy bramie chwycili za karabiny i stanęli na baczność.

Range rovery zwolniły i zatrzymały się przy bramie estancji. Szyby miały przyciemniane i nie widziałem, kto siedzi w środku. Jeden ze strażników pomachał i powiedział coś do kierowcy pierwszego wozu.

Wiedziałem, kto jest tym kierowcą. Dominic Cavello. Wyczuwałem szóstym zmysłem jego obecność. Było to to samo

uczucie, którego doświadczyłem na plaży w Montauk na widok leżących na piasku Manny'ego i Eda.

Rangę rovery ruszyły doliną w kierunku miasta.

— Już wiem, jak to zrobimy, Andie. — Nie odrywałem oczu od samochodów oddalających się wyboistą gruntową drogą w stronę Ushuai. — Sam do nas przyjdzie.

Rozdział 113

Musieliśmy uzbroić się w cierpliwość; wiedzieliśmy o tym zresztą od samego początku. Cavello dwa razy w tygodniu opuszczał swoją warownię. Zawsze w środę i sobotę, dwoma czarnymi range roverami, zawsze około południa. Prowadził pierwszy samochód, drugim jechali za nim dwaj potężnie zbudowani ochroniarze.

W sobotę czekaliśmy na nich na przedmieściu Ushuai i ruszyliśmy za wjeżdżającym do miasta konwojem. Czyżby to było naszą szansą?

Cavello przyjeżdżał tu coś zjeść — zawsze do tego samego baru — potem kupował gazety i cygara i wracał do swojej kryjówki.

Od miejscowego barmana i kelnerki dowiedzieliśmy się, że Amerykanin jada w lokalu o nazwie Bar Ideał przy ulicy San Martin niedaleko portu. Że siada tam zawsze przy tym samym stoliku przy frontowym oknie. Że czasami podszczypuje pracującą tam urodziwą blond kelnereczkę i próbuje ją podrywać. Że kilka razy widziano ich, jak wchodzili razem do hoteliku przy tej samej ulicy. Wychodzili stamtąd po mniej więcej godzinie.

Potem Cavello niczym zaspokojony byk szedł w asyście swoich ochroniarzy do oddalonego o kilka przecznic sklepu z wyrobami tytoniowymi przy Magellanes. Kupował tam

pudełko drogich cygar. Cohibas — kubańskich. Następnie w pobliskim kiosku z gazetami kupował „USA Today” i „New York Timesa”. Nie wyglądało na to, żeby się czegoś obawiał. Kto by go tutaj rozpoznał? Czasami wstępował jeszcze do kafejki, zamawiał kawę, przypalał sobie cygaro i oddawał się lekturze kupionych gazet. Wszędzie, gdzie się pojawił, nadskakiwano mu jak komuś, komu należy się najwyższy szacunek.

Kiedy zobaczyłem go, jak wysiada z samochodu, aż mnie w dołku ścisnęło. Z nową siłą odezwały się gniew i żal po ludziach, którzy za jego sprawą zginęli. Patrzyłem w milczeniu, a wszystko się we mnie gotowało.

Jak to rozegrać? Jak przydybać go samego? Nie mieliśmy niczego na przynętę.

Jak zbliżyć się do Cavella? No i co potem?

Tego wieczoru wpadliśmy na kolację do małej restauracyjki pod miastem. Andie była dziwnie przygaszona. Gryzła się czymś. Mnie zresztą też humor nie dopisywał. Mieliśmy Cavella na wyciągnięcie ręki — a on nadal cieszył się wolnością. W końcu podniosła na mnie wzrok.

— Jak to zrobimy?

Pociągnąłem łyczek chilijskiego piwa.

— Ma dobrą obstawę. Nie wiem jeszcze, jak się do niego zbliżyć.

Odstawiła szklanicę z piwem.

— Słuchaj, Nick, a może mnie by się udało?

Rozdział 114

Rozważała ten pomysł już od dłuższego czasu. Obserwowała Cavella na tyle długo, żeby zyskać pewność. Wyczuła to natychmiast, kiedy tamtego fatalnego dnia ujrzała go wkraczającego na salę rozpraw. Wiedziała, jak się do niego zbliżyć, gdyby zaszła taka potrzeba, i teraz ta potrzeba zaszła.

— Jestem aktorką, zapomniałeś?

I zaczęli obmyślać z Nickiem zręby planu.

Cavello nie mógł jej rozpoznać. Widział ją, co prawda, ale tylko podczas procesu, z włosami długimi jak teraz, lecz upchniętymi zazwyczaj pod берет. Na wszelki wypadek poszła do farmacji, kupiła farbę do włosów i zrobiła się na blondynkę. Potem zaplotła warkocz, na indiańską modłę, i włożyła baseballową czapkę. Jeszcze trochę pomarańczowej szminki, okulary przeciwsłoneczne, i nie poznała samej siebie.

— Co ty na to?

— Ja na to, że co nagle, to po diable, Andie. Ale charakteryzacja jest dobra.

Bez większego trudu wytypowali miejsce, do którego go zwabiać. Ale z uwagi na nieodstępujących go na krok ochroniarzy Nick musiał być przygotowany na błyskawiczne wkroczenie do akcji. Zawsze jednak istniało ryzyko, że nie zjawi się na czas. A wtedy Andie by zginęła. Zginęliby oboje.

Nick kupił rybacki nóż z krótkim, ząbkowanym ostrzem. I melona.

— Pchniesz go nożem tutaj — powiedział, naprowadzając jej kciuk na miękkie miejsce pod brodą i naciskając na krtań. — Znieruchomieje, będzie bezradny. Nie będzie mógł krzyknąć. Będzie na to zbyt zszokowany, a krwotok odbierze mu ochotę do jakiegokolwiek obrony. Tej krwi będzie dużo, Andie. Musisz się na to przygotować. I jak już raz wbijesz ten nóż, to nie wolno ci go wyciągnąć z rany. Dopóki on nie wyzionie ducha. Czujesz się na siłach?

Kiwnęła bez przekonania głową.

— Tak.

Wręczył jej tkwiący w pochwie nóż.

— Naprawdę? Pokaż.

Ujęła z nabożeństwem trzonek. Do tej pory noża używała jedynie w kuchni. Uniosła go powoli, przystawiła czubek do podbródka Nicka i nacisnęła.

— Poćwiczę lepiej na melonie — powiedziała.

— Ćwicz na mnie — warknął. — Mocniej!

Andie pchnęła z większą siłą... w podgardle Nicka.

Chwycił ją za nadgarstek.

— Szybciej... o, tak. — Poderwał gwałtownym ruchem jej rękę, naciskając jednocześnie kciukiem to samo miejsce na jej szyi.

Sapnęła przestraszona.

— Musisz to zrobić w sposób zdecydowany — powiedział z naciskiem, napierając jeszcze mocniej. — Jeśli on zacznie coś podejrzewać albo cię rozpozna, to właśnie tak rozprawi się z tobą.

— To boli, Nick.

— Rozmawiamy o zabiciu człowieka, Andie.

— Przecież wiem, Nick!

Puścił ją.

Ścisnęła nadal nóż, aż się z nim w końcu oswoiła. Pomyślała, ileż to razy pragnęła właśnie w ten sposób rozprawić się z Cavellem — w iluż to snach robiła to raz po raz.

Wbiła nóż głębiej w miejsce, które pokazał jej Nick.

Uniósł głowę pod tym naciskiem.

— Mocniej. Jedno zdecydowane pchnięcie. Bo co będzie, jeśli tylko to nam zostanie? Jeśli nie dam rady przyjść ci z pomocą?

Pchnęła z całych sił i Nickowi głowa odskoczyła do tyłu. Na jego twarzy odmalował się ból.

— Idzie ci lepiej. — Kiwnął głową i sięgnął po melona. — Pokaż mi jeszcze raz. Chcę zobaczyć, jak dźgasz ten owoc. Wyobraź sobie, że to Cavello, i zabij go, Andie.

Rozdział 115

Ta środa nie układała się po myśli Dominica Cavella.

A tyle sobie po niej obiecywał. Już nie wytrzymał, nie wytrzymał tego odosobnienia, tego poczucia, że jest więźniem we własnym domu na tej zapomnianej przez Boga i ludzi farmie.

W każdą środę o tej porze rznął zawsze Ritę, tego pączuszką z Bar Ideal, aż wióry leciały. Ale tej środę Rity nie było w pracy. Pojechała suka do Buenos Aires na jakąś zaszraną imprezę rodzinną.

A on, Cavello, siedzi teraz w Bar Ideal, sący ciepłe piwo, zagryza kielbaskami z rusztu, napalony i sfrustrowany jak diabli. Nie przywykł jadać w samotności. Zawsze otaczali go jego ludzie, wspólnicy w interesach. Jeśli tylko zechciał, miał ich wokół siebie dziesiątki, a na dokładkę tabun urodziwych dup. Wystarczyło pstryknąć palcami. Od jakiegoś czasu je sam.

No tak, ale równie dobrze mógłby teraz siedzieć w więzieniu federalnym. Mógłby, albo i nie.

Żałował teraz, że tak beztrąsko pozbył się tej dzierlatki z ranca, tej Marielli. Głupstwo palnął. Wspominał jej atlasowo gładką pupcię, jej rozwijające się dopiero cycuszki. Przynajmniej, pomyślał i zachichotał głośno, byłem jej pierwszym i ostatnim!

Niedługo zacznie padać śnieg i będzie tak padał przez parę

miesiący. Coraz trudniej będzie tu o rozrywkę. Pociągnął jeszcze jeden łyk lurowatego argentyńskiego piwa. Poczucie niespełnienia i beznadziei było takie, że chciało mu się przewrócić kopniakiem stolik. W domu w takich chwilach wystarczyło pstryknąć palcami i już miał każdą kobietę, jaka mu się zamarzyła. W dowolnym wieku. Mógł też wepchnąć w czyjąś gębę lufę pistoletu i słuchać z rozkoszą, jak błaga o darowanie życia. Owszem, robił tak dla zgrywu! Tam, u siebie, mógł sobie pozwolić na wszystko. Był Dominikiem Cavellem. Elektrykiem.

Ci tutejsi zafajdani Inkowie nie mają nawet pojęcia, kto zaszczycą ich swoją obecnością.

Wstał i rzucił na stolik kilka zmiętych banknotów. Wyszedł z baru i kiwnął głową do Luchy i Juana siedzących w range roverze zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Ruszył przygarbiony w górę ulicy, opatulając się ciasniej czarnym skórzanym płaszczem przed podmuchami zimnego wiatru.

Kurwa mać. Diabli nadali. Szlag by to trafił.

Dominic Cavello osłaniany przez swoich ochroniarzy skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do Magellanes. Dwa warczące psy wrywały sobie skrawki mięsa z przewróconego baniaka na śmieci. Zaraz się pozagryzają. Ubawiło go to. Wyciągnął pistolet i zastrzelił jednego. Od razu lepiej się poczuł.

Skręcił w Magellanes. Pozostawało tylko wypalić grube cohiba i wracać do domu.

Rozdział 116

Zabrzączał telefon komórkowy Andie. Nie odebrała. Wiedziała, że to sygnał.

Odwróciła się do sprzedawcy sklepu z cygarami ledwie znajdującego angielski.

— Mówi pan, że te są najlepsze, tak? Na pewno kubańskie?

— Si, senora, najlepsze na świecie. Za połowę darmo.

Andie, cała w nerwach, udawała, że ogląda niezdecydowanie dwa pudełka cygar. Montecristos czy cohibas. Czekwała na dźwięk, który lada chwila na pewno nastąpi — brzęk dzwoneczka nad drzwiami za jej plecami obwieszczający, że do sklepu wraca Dominic Cavello. Zimny dreszcz przeszedł jej po kręgosłupie. To nie jakaś wydumana sztuka, pomyślała. Nie jesteś na scenie. Musisz wziąć się w garść i rozegrać to jak należy. Dać z siebie wszystko.

W końcu usłyszała dzwonek, a zaraz potem poświst wichury hulającej za otwierającymi się drzwiami. Stężała, ale się nie obejrzała. Wiedziała, kto wchodzi.

— Czyli które są najlepsze? — zapytała. — To prezent dla męża, a sporo kosztują. Może nie wyrażam się jasno?

— Jedne i drugie są najlepszy sort, senora. — Sprzedawca spojrział na nią błagalnie. — To rzecz gustowna.

— No, ja nie wiem... — Patrzyła dalej bez przekonania na pudełka.

— Obojętne, które pani weźmie, na pewno błędu pani nie popełni — usłyszała za sobą. — Ale ja jestem zdania, że nie ma to jak cohibas.

Andie wstrzymała na moment oddech. Dopiero po chwili zdobyła się na odwagę i obejrzała. Zobaczyła mężczyznę w czarnym skórzanym płaszczu i tweedowej czapce. Cavello wydał jej się nieco starszy, niż go zapamiętała, twarz miał wychudzoną. Ale był to bezsprzecznie człowiek, którego tak nienawidziła.

— To jak wybór pomiędzy brunello a słynnym burgundem. Ja wolę brunello, a w przypadku cygar cohibas. Ale Frederico ma rację. To rzecz gustu.

Sprzedawca pokiwał skwapliwie głową.

— Si, senor Celletini.

Celletini. zapamiętała Andie. Wręczyła sprzedawcy pudełko cohibas.

— Te wezmę — powiedziała i odwracając się do Cavella, dodała: — Dziękuję za radę.

— Nie ma o czym mówić. Nawet dla konesera byłby to trudny wybór. — Przynął się bliżej. — W interesach czy naukowo?

— Słucham? — Andie nie zrozumiała.

— O tej porze roku rzadko zdarza się tu słyszeć czysto amerykański akcent. Większość turystów powracała już do kraju.

Uśmiechnęła się.

— Ach, o to chodzi. Raczej w interesach. Zaproponowano mi udział w ekspedycji, która w przyszłym miesiącu wyrusza do Antarktyki.

— Podróżniczka! — Cavello udał, że jest pod wielkim wrażeniem.

— Niezupełnie. Kucharka. A przede wszystkim to uciekam.

— Witamy zatem w klubie. — Uśmiechnął się. — Tutaj sami tacy.

Uniosła powoli okulary przeciwsłoneczne. Teraz mógł sobie obejrzeć jej twarz w całej okazałości.

— A pan przed czym ucieka? — zapytała, zwilżając językiem wargi.

— W tej chwili przed owcami. Mam ranczo dwadzieścia minut drogi stąd.

— Jak to przed owcami? — Przekrzywiła przekornie głowę. — Tylko przed nimi?

— No dobrze, przejrzała mnie pani. — Cavello uniósł w obronnym geście ręce. — Tak naprawdę to jestem objęty programem ochrony świadków. Skręciłem w Phoenix w nie w tę co trzeba stronę, no i w rezultacie wylądowałem tutaj.

— Coś podobnego, mężczyzna pozbawiony zmysłu orientacji. — Andie się roześmiała. Miała nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. — Ale bez obawy, panie Celletini, pańską tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu.

— Frank jestem — powiedział Cavello. Przyjrzał się jej uważniej. Bezwzględny morderca, psychopata. Elektryk.

— A ja Alicia. — Kłamstwo za kłamstwo. — Alicia Bennett.

— Miło mi cię poznać, Alicio Bennett. — Wyciągnął rękę. — Podróżniczko.

Wymienili uścisk dłoni i Andie ledwie powstrzymała cisnący się na twarz wyraz odrazy. Wyciągnęła portfel.

— A ty? — Cavello uśmiechnął się przymilnie. — Ty przed czym uciekasz?

— Jestem zdesperowaną kurą domową — zażartowała Andie.

— Widać bardzo zdesperowaną, skoro tu jesteś. Ale nie wyglądasz na to.

— Zobaczyłam w telewizji reklamę. — Wzruszyła ramionami. — Obiecywała koniec świata. Myślałam, że to tu, w Ushuai, ale skoro kupuję tutaj kubańskie cygara i rozmawiam o telewizji z Amerykaninem, to chyba to jednak nie tu. Ruszam zatem dalej na południe.

— Mąż musi ci bardzo ufać, jeśli puścił cię tu samą, Alicio. Chyba że to przed nim uciekasz?

Westchnęła z udawanym zakłopotaniem.

— No dobrze, skłamałam. Nie jestem zameżna. Powiedziałam tak tylko sprzedawcy, bo kobiecie nie wypada kupować cygar. A kupuję na handel.

— Zaopatrujesz się już teraz? — Cavello przyjrzał jej się podejrzliwie. — Zapobiegliwa z ciebie dziewczynka.

Cholera. Andie skrzywiła się. Pierwszy błąd.

Sprzedawca wręczył jej zapakowane pudełko i wydał resztę.

— Dobrze zrobiłaś, wybierając cohibas, Alicio. A co się tyczy końca świata, to chyba mógłbym ci go pokazać. To bliżej, niż ci się wydaje.

— Naprawdę? A gdzie?

— Moje rancho tak się nazywa. To pewnie przeznaczenie, Alicio.

— Nie wierzę w przeznaczenie. — Andie znowu się uśmiechnęła. Zatknęła paczuszkę pod pachę i skierowała się do drzwi. Cavello podskoczył i otworzył je przed nią. — Ale lunchem bym nie pogardziła.

Serce zabiło jej mocniej. Spokojnie, pomyślała, jeszcze tylko parę sekund. Połknął haczyk, nie spuść go z niego.

Cavello wyszedł za nią ze sklepu. Na ulicy ochroniarze przestępowali z nogi na nogę. Nie zwracali na nich większej uwagi. Znudzeni, jak to ujął Nick.

— W soboty jem lunch w Bar Ideał — poinformował ją Cavello. — To w okolicach portu. Może się tam umówimy?

— To zależy! — zawołała Andie, oddalając się ulicą. Widziała ten błysk w jego oczach. Był jej.

— Od czego? — Poszedł za nią kilka kroków.

— Od tego, co pan takiego zrobił, że aż objęto pana programem ochrony świadków, panie Celletini. Ja się z byle kim nie zadaję.

— A, o to idzie. — Postąpił za nią jeszcze jeden krok. — Byłem szefem mafii. Wystarczy?

Rozdział 117

Nadeszła sobota.

Andie siedziała już przy stoliku, kiedy pod bar podjechał Cavello. Dwa czarne range rovery zatrzymały się na placyku, otworzyły się drzwi tego pierwszego. Cavello wysiadł, jak zawsze napuszony.

Wiedziała, że to nie zabawa, nie rola. Ten człowiek zabiłby ją bez wahania, gdyby tylko zwęszył pismo nosem. Ale nie cofnę się, powtarzała sobie. Muszę zachować spokój. Muszę grać!

Podchodząc do jej stolika, sprawiał wrażenie mile zaskoczonego. Był w tym samym czarnym skórzanym płaszczu, ciemnych okularach i tweedowej czapce.

— Jakże się cieszę, że cię widzę, Alicio. Najwyraźniej nie spłoszyło cię moje poprzednie zajęcie.

— Też mi coś! Przecież to były tylko żarty. — Spojrzała na niego sponad swoich ciemnych okularów. — Bo chyba były?

Tym razem rozpuściła włosy, włożyła pomarańczowy T-shirt z nadrukiem „Pogromczyni jaj” i denimową wiatrówkę. Cavello odczytał nadruk.

— Fakt, to raczej ja powinienem się spłoszyć, Alicio. Mogę się przysiąść?

— Proszę. Chyba że wolisz jeść na stojąco.

Usiadł i zdjął czapkę. Włosy mu trochę bardziej posiwiały,

ale twarz niewiele się zmieniła od dnia wznowienia procesu, kiedy wpatrywała się w nią na sali rozpraw z taką nienawiścią.

— Nie wyglądasz mi na groźnego przestępcę — powie działa. — A zresztą, czy hodowca owiec może być złym człowiekiem?

Roześmiał się. Trzeba mu było przyznać, że jeśli chciał, potrafił być czarujący.

— Od lat próbuję to wytłumaczyć wymiarowi sprawiedliwości.

Teraz roześmiała się Andie.

Podszedł kelner. Chyba znał Cavella.

— Podobno mają tu najlepsze w całej północnej Antarktyce margerity — powiedział Cavello.

— To ja margeritę — zdecydowała Andie, nie otwierając nawet menu.

Cavello zamówił dla siebie absolut z lodem.

— No więc dlaczego tu jesteś? — Andie odchyliła się z krzesłem. — Owce hoduje tu prawie każdy, prawda? A ty, Frank, nie wyglądasz mi jakoś na farmera.

— Powiedzmy, że tutejszy klimat mi odpowiada — odparł z uśmiechem. — Odludzie. Odosobnienie. Izolacja. To ma swoje dobre strony.

— Wiesz, że ja naprawdę zaczynam wierzyć w tę historyjkę z ochroną świadków? — Spojrzała na niego z przekornym uśmiechem.

Kelner postawił przed nimi zamówione drinki. Andie uniosła swoją margeritę, Cavello szklaneczkę z wódką.

— Za koniec świata — powiedział — oraz wszelkie nadzieje i oczekiwania z nim związane.

Andie spojrzała mu w oczy. Stuknęli się szklaneczkami.

— Zabrzmiało jak przemyślany toast.

Upiła łyczek i spojrzała ponad ramieniem Cavella na placyk przed barem. Skądś stamtąd obserwował ich teraz Nick. Świadomość tego dodawała jej odwagi, a bardzo była jej potrzebna.

— Jakie masz nadzieje i oczekiwania, Frank? — spytała, spoglądając na niego znad ciemnych okularów.

— Przyznam, że miałem na myśli ciebie.

— Dlaczego mnie? — Odstawiła szklaneczkę. Powrócił niepokój. — Co ty o mnie wiesz?

— Wiem, że ludzie nie zapuszczają się aż tutaj dla przyjemności. Wiem, że jesteś bardzo atrakcyjna i najwyraźniej otwarta na nowe doznania. Wiem, że tu jesteś.

— Niezły z ciebie psycholog.

— Po prostu lubię ludzi. Interesuje mnie ich sposób myślenia.

Zaczął ją podpytywać. Miała przygotowaną na taką okoliczność historyjkę, którą wspólnie z Nickiem ułożyli. Opowiadała, jak to rozpadło się jej pierwsze małżeństwo i jak zbankrutowała pewna bostońska restauracja, w której była szefową kuchni, i jak w końcu uznała, że nadszedł czas, żeby zmienić coś w swoim życiu — wyruszyć na spotkanie przygodzie. No i tak znalazła się tutaj.

Kilka razy dotknęła jego ramienia. W odpowiedzi Cavello przysunął się z krzesłem bliżej. Dobrze wiedziała, do czego prowadzi ta gra. Modliła się tylko w duchu, żeby za wcześniej jej nie rozszyfrował.

Oparł się łokciami o stół i splótł dłonie.

— Słuchaj, Alicio, nie zaliczam się do tych, co owijają w bawełnę...

— Nie, Frank. — Upiła łyżeczkę drinka.

— Nie? — Na jego twarzy odmalował się zawód.

Andie uśmiechnęła się.

— Chciałam tylko powiedzieć, że ani przez chwilę nie odniosłam wrażenia, że się do nich zaliczasz.

Też się uśmiechnął. Przesunęła pod stolikiem nogę, niby to niechcący muskając kolanem jego udo.

W oczach Cavella pojawiło się rozanielenie. Jakżeż żalosno to było — wprost przyprawiało o mdłości.

— Może chcesz obejrzeć moje rancho? To niedaleko, a takich widoków nie zobaczysz nigdzie.

- Czemu nie. Chętnie. Kiedy?
- Dajmy na to dzisiaj po południu. Jak zjemy.
- Nie mówię nie. — Andie wzruszyła ramionami. — Ale ja mam inną propozycję, Frank. Do hotelu, w którym się zatrzymałam, jest stąd parę kroków i zapewniam cię, że widok z okien mojego pokoju jest równie oszałamiający.

Rozdział 118

Obserwowałem ich z land cruisera zaparkowanego po drugiej stronie placu. Kiedy Andie i Cavello wstali od stolika, wyszli i skręcili w stronę hotelu, serce zaczęło mi walić jak miot. Udało jej się. Szli do jej hotelowego pokoju.

Kiedy mijali range rovery, Cavello dał znak głową ludziom, którzy siedzieli w jednym z nich. Modliłem się, żeby to znaczyło: resztę popołudnia macie wolne.

Niestety.

Z terenówki wyskoczyli natychmiast dwaj mężczyźni. Jeden był krępy, z ogoloną głową, wąsaty, drugi wysoki, z długimi czarnymi włosami, w ocieplanych adidasach. Odczekali, aż para oddali się na dwadzieścia kroków, i ruszyli za nimi. Niedobrze.

Po raz pierwszy do planu, który ułożyliśmy z Andie, wkradła się skrzecząca rzeczywistość. Zdawałem sobie sprawę, że sama bliskość Cavella musiała być dla niej torturą. A on na dokładkę obmacywał ją bezczelnie. Czy to zniesie, czy wytrzyma? No i jeszcze ci ochroniarze. Najwyraźniej zamierzali towarzyszyć Cavellowi do samego hotelu.

Namacałem w kieszeni kurtki kolbę naładowanego i odbezpieczonego glocka. I wysiadłem z land cruisera.

A może by tak załatwić ich teraz, przemknęło mi przez myśl.

Rozdział 119

Andie trzęsącą się ręką celowała kluczem w dziurkę zamka hotelowego pokoju.

— Daj, ja to zrobię — szepnął jej prosto do ucha stojący tuż za nią Cavello.

Wyjął jej klucze z ręki i po chwili przypierał ją już do ściany w korytarzyku, wciskając język w usta.

Andie żołądek podszedł do gardła.

Wsunął rękę pod jej T-shirt i wpił się palcami w pierś.

Boże. To przecież Dominic Cavello. Zabójca Jarroda.

Zamknęła oczy. Poczowała dłoń zsuwającą się po jej brzuchu, wpełzającą pod majteczki.

— Mokra już jesteś. — Cavello odsunął się i spojrzał na nią z obleśnym uśmieszkiem.

— Tak, Frank, ale zwolnij tempo. Mamy mnóstwo czasu.

Ściągnął z niej denimową kurtkę i rzucił na podłogę.

— Pragnąłem tego od chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem. Najchętniej wziąłbym cię od razu, w tamtym sklepiku.

— Czy to ma znaczyć, że wycieczka na rancho odwołana? — zapytała, siląc się na dowcip.

Roześmiał się, przyciągając ją do siebie i ponownie ściskając za pierś. Zabiłaby go teraz bez żadnych skrupułów.

— Daj mi parę sekund — wydyszała.

— Za późno. — Zadał T-shirt i zaczął ją lizać po wzgórkach

piersi i ramionach, pocierać dłonią udo. Jednym gwałtownym ruchem zerwał stanik i jał miętosić obnażone piersi.

— Daj mi sekundę, proszę — jęknęła. — Muszę do łazienki. Spojrzał jej w oczy.

— Chyba się nie rozmyśliłaś?

— Ja? Skąd! — Andie spróbowała się rozeźmiać, ale chwycił ją za nadgarstek i rzucił na łóżko. W oczach miał szaleństwo. Próbowała zachować spokój, ale myślała już o nożu. Zaczęła przesuwać się ku poduszce, pod którą był ukryty. Dźgała tyle razy tego melona. Dźgnie teraz i Cavella.

Zwalił się na nią. Usiłował jednocześnie ściągać z niej dzinsy i rozchylić nogi.

— Nie tak szybko — poprosiła, i udając, że mu pomaga, przesuwała się dalej, dopóki nie poczuła pod głową poduszki. Sięgnęła pod nią, namacała trzonek. Wygięła się w łuk, niby żeby ułatwić Cavellowi zdzieranie z niej ubrania. Gdzie ten Nick, dlaczego jeszcze tu nie wpadł?

Zacisnęła mocno dłoń na trzonku schowanego pod poduszką noża. Musi poczekać, aż ten stary satyr do niej przywrze. Skupiła wzrok na jego szyi — na miejscu, w które Nick kazał jej wbić nóż.

— Jak nazywa się twój statek? — wyrzucił z siebie Cavello.

— Co? Jaki... jaki statek? — wyjąkała zdezorientowana.

— Statek, którym masz popłynąć do Antarktyki. — Docisnął do łóżka jej nadgarstki. Nie wrywała się. Zamarła.

Patrzyła mu w oczy i z walącym sercem szukała odpowiedzi.

— O tej porze roku nic tam nie odpływa — wysapał Cavello. — Wszystkie ekspedycje wyruszają wiosną, nie zimą. Oszukałaś mnie, Alicio. — Ucapił ją za gardło — Ale teraz powiesz mi chyba, kim, do kurwy nędzy, naprawdę jesteś.

Rozdział 120

Byli już tam na górze od całych siedmiu minut. Nie mogłem czekać dłużej. Co tam ochroniarz w ocieplanych adidasach ćmiący papierosa przed wejściem do hotelu. Albo ten drugi, wąsaty, z ogoloną głową, który wszedł za Andie i Cavellem do środka.

Muszę wkroczyć.

Los Pelicanos na pięć gwiazdek z pewnością nie zasługiwał. Był to senny, cichy czteropiętrowy hotelik z maleńkim holem i recepcją, w której urzędował jeden recepcjonista, i jedną, ciasną, trzyosobową windą.

O wejściu do środka frontowymi drzwiami nie miałem co marzyć, zaszedłem więc budynek od tyłu i znalazłem się w wąskim zaułku. Były tu stare schody pożarowe. Najniższy kratownicowy podest wystawał z poziomu pierwszego piętra. Podskoczyłem, uchwyciłem się kratownicy i podciągnąłem na rękach. Przez znajdujące się tam okno zobaczyłem coś w rodzaju korytarzyka. Ale okno było zamknięte.

Wytlukłem szybę łokciem. Odłamki szkła zasypały z brzękiem podłogę. Wsunąłem ręce do środka i uniosłem ramę. Przelazłem z glockiem w dłoni przez parapet i znalazłem się w korytarzu.

Przed sobą miałem drzwi do windy i wąskie schody prowadzące na wyższe piętra. Tam, na trzecim, była Andie. Wybrałem schody.

Zatrzymałem się na podeście trzeciego piętra. Wygolony opierał się o ścianę. Był odwrócony do mnie plecami i wyglądał przez okno korytarza.

Doskoczyłem do niego. Musiał coś usłyszeć, bo odwrócił się na pięcie, sięgając gorączkowo po pistolet. Za późno. Przytrzymałem mu lufę glocka do brzucha i dwukrotnie pociągnąłem za spust. Drgnął konwulsyjnie, jego ciało wytłumiło huk wystrzałów. Oparł się plecami o ścianę, wciąż gmerając niemrawo pod pachą, gdzie miał ukryty pistolet, a potem osunął się po ścianie powoli, wywracając oczami. Przód koszuli zabarwił się na czerwono.

Pobiegłem korytarzem. Zatrzymałem się przed drzwiami pokoju 304 i nadstawiłem ucha; ze środka dobiegł zduszony okrzyk. Andie.

Rozdział 121

— Zabiłeś mojego syna!

Cavello zrobił wielkie oczy. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. I nagle coś mu jakby zaświtało. Sięgnął po wisiołek, który Andie nosiła zawsze na szyi, wisiołek z wygrawerowaną datą urodzin Jarroda.

— Jesteś z procesu! To twój dzieciak był w tamtym autokarze!

— Świnio! — Spróbowała mu się wyrwać, ale trzymał mocno.

— Coś ci powiem — wycedził. — Od samego początku procesu nosiłem się z myślą wykończenia was wszystkich. Tak jak tam siedzieliście, w boksie dla przysięgłych.

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Cavello obejrzał się zaskoczony.

— Puść ją! — wrzasnął Nick, wpadając do pokoju z pistoletem wymierzonym w Cavella.

Twarz gangstera przybrała dziwny wyraz. Z początku patrzył zszokowany w wylot lufy glocka, ale trwało to tylko chwilę. Potem jego usta rozciągnęły się w niedowierzającym uśmiechu.

— Nicky Makaroniarz.

— Zapraszałeś mnie tu z kajdankami, no to jestem.

— Marnujesz się, Nicky. Pracować tyle lat w FBI z twoim talentem. — Spojrzał na Andie. — Ty też. Przepadła ci naprawdę dobra zabawa.

Z całych sił zdzieliła go pięścią w twarz.

— Dobra zabawa? O mało się na ciebie nie wyrzygałam. Zabijeś mojego syna!

— Przyznaję, masz prawo mieć do mnie żal, Alicio, czy jak ci tam naprawdę na imię. Czy to oficjalna wizyta, Nick? Jak mnie tu znalazłeś?

Podniósł się z łóżka, rozcierając szczękę i poruszając nią na wszystkie strony.

— El Fin del Mundo. To najlepsze określenie. Riemlikow cię wydał.

— Riemlikow? — Cavello ściągnął brwi. — A kto to?

— Nordeshenko — odparł Nick. — Musisz odpokutować za swoje zbrodnie, Dom, a dużo się ich uzbierało.

— Owszem, uzbierało się, ale to potrwa. Procedura ekstradycji trochę się tutaj ślimaczy. Jestem jednak pełen podziwu dla waszego zaangażowania. Taki kawał świata przebyć tylko po to, żeby mnie ściągnąć z powrotem do kraju.

Nick popatrzył na niego chłodno.

— A kto powiedział, że przebyliśmy taki kawał świata po to, żeby cię ściągnąć z powrotem do kraju?

Z twarzy Cavella zaczęła odpływać krew.

— Jesteś agentem federalnym, Pellisante.

— Już nie. I co ty na to?

Cavello pociągnął nosem.

— No, jakby tu powiedzieć. Jestem pod wrażeniem, Nicky Makaroniarzu.

Jednym szybkim ruchem chwycił stojący pod oknem sekretarzyk i z półobrotu cisnął nim za siebie.

Nick uchylił się i pociągnął za spust. Pocisk wraził się w ramię Cavella, a sekretarzyk roztrzaskał o ścianę. Cavello stłukł pięścią szybę i wyskoczył szczupakiem.

Nick i Andie podbiegli do wybitego okna. Cavello wił się na ziemi trzy piętra poniżej, próbował wstać. Udało mu się wreszcie podźwignąć na równe nogi. Trzymając się za ramię i utykając, rzucił się do ucieczki.

Rozdział 122

Popędziłem w dół schodami na końcu korytarza, biorąc po dwa stopnie naraz. Na drugim piętrze przypomniało mi się, że przecież przed hotelem waruje drugi z ochroniarzy Cavella. Będzie z tym problem.

Zatrzymałem się. Stała tam akurat kabina windy. Otworzyłem drzwi i nie wsiadając, nacisnąłem guzik parteru. Ruszyła pusta w dół, a ja wróciłem na schody i zacząłem zbiegać już wolniej, razem z nią, nasłuchując szczękania, jakie wydawała.

Na parterze byłem pierwszy. Zatrzymałem się znowu i czekałem.

Kiedy usłyszałem, jak winda zatrzymuje się z głośnym metalicznym stęknięciem, wparowałem z pistoletem w rękę do holu.

W międzyczasie ochroniarz Cavello przemarzył i wszedł ogrzać się do środka. Musiał usłyszeć dolatujące z góry odgłosy zamieszania, bo stał z pistoletem wymierzonym w otwierające się drzwi kabiny. Odwrócił się jak fryga, kiedy wpadałem do holu z klatki schodowej. Oddałem dwa strzały w logo jego miętowozielonej ocieplanej kurtki. Odrzuciło go w tył, wpadł do pustej kabiny windy, a ja wybiegłem na zewnątrz frontowymi drzwiami.

Rozejrzałem się. Ani śladu Cavella.

Puściłem się biegiem w stronę portu, gdzie przed Bar Ideal

zostały range rovery. Kiedy wpadłem na placyk, Cavello gramolił się właśnie do pierwszego z nich. Zajął miejsce za kierownicą, obejrzał się jeszcze przez ramię i zapuścił silnik. Wrzucił wsteczny, zawrócił na trzy razy i pomknął przed siebie, przewracając znak drogowy. Grupa gapiów rozpięzchła się w popłochu, ratując życie.

Podbiegłem do swojego land cruisera zaparkowanego po drugiej stronie placyku i ruszyłem w pogoń. Wiedziałem, że jeśli uda mu się dojechać do swojego rancza, to już go nie dopadnę. W najlepszym przypadku czekałyby mnie miesiące biurokratycznej i dyplomatycznej mordęgi, z której nie wiadomo, co by wynikało, bo te wszystkie tłumaczenia, co tu w ogóle robiłem...

A przecież nie przyjechałem tutaj, żeby go aresztować i po raz trzeci postawić przed sądem.

Cavello pędził na złamanie karku wąskimi uliczkami, biorąc z piskiem opon ostre zakręty, ignorując znaki stopu i czerwone światła na skrzyżowaniach. Trzymałem się za nim w odległości kilku długości samochodu.

Wypadliśmy na prowadzącą na wschód ulicę wyjazdową z Ushuai i tam Cavello przyspieszył najpierw do stu, potem do stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wracał na swoje ranczo. Ja też dodałem gazu. Cavello zaczął wyprzedzać na trzeciego jakąś ciężarówkę. Nadjeżdżający z przeciwka autobus zatrąbił ostrzegawczo. Cavello nie ustąpił mu drogi. Kierowca autobusu dał ostro po hamulcach. Cavello w ostatniej chwili odbił z powrotem na prawą stronę jezdni, o włos unikając kolizji.

Ja też wyprzedziłem ciężarówkę. Lewe koła land cruisera zahaczyły przy tym manewrze o pobocze i omal nie wypadłem z wąskiej, dziurawej szosy. Szybkościomierz piął się w górę. Gnaliśmy już sto sześćdziesiąt na godzinę. Dopędzałem Cavella i widziałem jego potylicę, widziałem, jak zerka co rusz we wsteczne lustro. Jego range rover zaczął zygzakować. Kilka razy omal nie wypadł z szosy.

W pewnej chwili Cavello opuścił szybę i zobaczyłem jego dłoń z pistoletem.

Pociski odbiły się rykoszetami od maski mojego land cruisera. Przyhamowałem i przygarbiłem się za kierownicą.

Zobaczyłem przed sobą zakręt w prawo i znak drogowy. DAWSON GLACIER. Dodałem znowu gazu, żeby odrobić stracony dystans... i z pełną szybkością wjechałem Cavellowi w tyłek.

Rangę rover odskoczył do przodu i wpadł w poślizg. Tym razem Cavello nie zdołał nad nim zapanować. Dał po hamulcach i jego wóz obrócił się w pędzie o sto osiemdziesiąt stopni. Myślałem, że będzie dachował, miałem taką nadzieję. Ale nie, range rover utrzymał się na czterech kołach, ześliznął się tylko na pobocze, wzbijając tuman kurzu i żwiru.

Ja też przyhamowałem i zatrzymałem się, blokując go. Spotkały się nasze oczy.

Teraz pozostawała Cavellowi tylko jedna droga dalszej ucieczki — droga prowadząca do kanionu. Wystrzelił w moją stronę na oślep kilka pocisków i ruszył nią.

No to jesteś mój.

Rozdział 123

Była to kamienista, niewybrukowana górską drogą, szerokości zaledwie jednego samochodu. Gdyby nie nasze terenówki, żaden z nas nie ujechałby dalej niż sto metrów.

Na dokładkę zaczynała się pięć pod górę.

Wóz podskakiwał na wykrotach, a ja razem z nim, omal nie waląc głową w sufit kabiny. Nie miałem pewności, czy Cavello wie, dokąd się kieruje. Ja w każdym razie tego nie wiedziałem i deprymowała mnie świadomość, że nie znam terenu, a nad nami piętrzy się wydający złowieszcze trzaski lodowiec. Ściany kanionu wznosiły się coraz wyżej, strome i pochylające do wewnątrz. Cavello przyspieszył. Trudno mi było utrzymać dystans. Na każdym wykrocie zaciskałem kurczowo dłoń na kierownicy jak tonący na kole ratunkowym.

Wokół roztaczał się pierwotny świat. Roślinności prawie nie było. Przed nami majaczyły lśniące, przykryte śniegowymi czapami szczyty. Do urwisk przywierały zamrażające katarakty. Krajobraz iście surrealistyczny.

Jechaliśmy teraz nie szybciej niż osiemdziesiąt na godzinę, omijając ogromne wypiętrzenia i wądoły. Lada chwila któremuś z nas mogła strzelić opona i byłby to dla niego wyrok śmierci. Cavello brał ostrożnie zakręty, ocierając boki samochodu o głązy i gałęzie.

Trzeba z tym skończyć.

Pokonawszy kolejny zakręt, Cavello dodał gazu. Range rover zarzucił tyłem, koła zabuksowały.

Wóz przewrócił się i znieruchomiał w obłoku kurzu. Dałem po hamulcach i wyskoczyłem z kabiny z gotowym do strzału pistoletem w dłoni. Nie dostrzegałem żadnego poruszenia, źle to wyglądało.

Naraz uchylły się drzwiczki od strony pasażera. Nie wierzyłem własnym oczom! Cavello z kulą w ramieniu, poobijany po skoku z trzeciego piętra, wypełzał z samochodu. W rękę wciąż ścisnął pistolet. Oddał w moim kierunku kilka strzałów. Schowałem się za land cruisera. Pociski dziurawiły karoserię, rozbijały w drobny mak szyby. Wystrzelał cały magazynek.

— To koniec świata, Dom! — krzyknąłem. — Dla ciebie!

Rozdział 124

Wyszedłem zza land cruisera i ruszyłem w jego stronę. Cavello kuśtykał już pod górę, w kierunku pola lodowego. Co on kombinuje?

— Nadszedł czas zapłaty, Dom! — wrzasnąłem za nim i echo poniosło mój głos. — Pamiętasz Manny'ego Olivę? Pamiętasz Eda Sinclaira?

Dalej piął się po zboczu, padając, podnosząc się, orząc palcami drobne kamyki i żwir. Posuwałem za nim. Dzieliło nas jakieś trzydzieści kroków.

Na skalnej półce nad nami spoczywała masywna bryła lodu. Miała z dziesięć metrów wysokości i była zaklinowana między dwoma stromymi zboczami. Jej ogrom zapierał dech w piersiach. Mogłaby zatopić z tysiąc „Titaniców”, a Cavello się właśnie ku niej kierował.

Zaczął się ślizgać i padać. Teraz pojękiwał już z bólu.

— A pamiętasz siostrę Ralphiego, Dom? I tę dziewczynkę, którą poparzyłeś? Ile to ona miała lat?

Cavello dobrnął do wypełnionego lodem żlebu głębokiego na dobrych kilka metrów i zatrzymał się tam zdezorientowany. Którędy teraz?!

Odwrócił się do mnie.

— Czego ode mnie chcesz? Chcesz, żebym ukląkł i prosił o wybaczenie? Chcesz, żebym się pokajał? No to kajam się,

kajam, żałuję za swoje grzechy! — Kpił sobie w żywe oczy ze mnie i ze wszystkiego, w co wierzyłem.

Sapałem ciężko, wykończony wspinaczką. Uniosłem pistolet, biorąc na cel pierś mafiosa. Stał na krawędzi żlebu, nie miał już dokąd uciekać. Tak długo na to czekałem.

— No dalej, Nicky Makaroniarzu. Wygrałeś! Jest zimno i licho wie, jakie zwierzęta żyją w tej dżicy. Czekasz na jakieś ostatnie słowo? Przykro mi, Nick. Naprawdę przykro. Żałuję, że nie zdążyłem jej zerznąć, zanim się zjawiliś. Niezła z niej dupa. Masz swoje ostatnie słowo, Nick. A teraz zastrzel mnie i miejmy to już z głowy.

I strzeliłem. Najpierw w goleń. Cavello zgiął się wpół i zawył. Zatoczył się w tył. Strzeliłem znowu, tym razem pocisk strzaskał mu kostkę.

Cavello skrzeknął, cofnął się jeszcze o krok i pośliznął. Zaczął zsuwać się do żlebu, drapiąc paznokciami lód. Wylądował na dnie na wznak. Teraz był w pułapce — bez mojej pomocy nie miał szans się stamtąd wygrzebać.

Przez chwilę wydawało mi się, że już po nim. Leżał nieruchomo zakrwawiony i nie dawał oznak życia.

Nagle poruszył się, podźwignął na klęczki. Spojrzał na mnie szklistymi oczami.

— Masz się może za lepszego ode mnie? Ty też jesteś skończony, Nicky Makaroniarzu. Będiesz miał szczęście, jeśli nie spędzisz reszty życia w więzieniu. Dobrze, co, Nick? Poświęciłeś resztę życia tylko po to, żeby mnie dorwać. No, kontynuuj. — Rozrzucił ramiona. — Strzelaj! Dokończ dzieła! Lepszy ty niż jakieś dzikie zwierzę. Wykończ mnie.

Wziąłem go na muszkę, gotowy spełnić życzenie tego bydlaka. Byliśmy na odludziu, w promieniu wielu kilometrów ani żywego ducha. Z tej rozpadliny nic nie wylezie. Zapach krwi podziała jak magnes i przyciągnie żyjące tu drapieżniki. Albo drań umrze w nocy z wycieńczenia i wychłodzenia.

Opuściłem pistolet.

— Wiesz co, Dom — powiedziałem. — Nawet spodobał mi

się twój pomysł. Bardzo się spodobał. Ten z pożerającymi cię zwierzętami.

— Nie wygłupiaj się, Nick, strzelaj — warknął. — Co z tobą, jaj nie masz?

— Miał na imię Jarrod, Dom. I dziesięć lat.

— Nie chrzań, zabij mnie, skurwysynu. No, strzelaj!

— Pamiętasz, co mi powiedziałeś tamtego wieczoru w więzieniu, kiedy złożyłem ci wizytę, wieczoru owego dnia, w którym w powietrze wyleciał autokar z przysięgłymi?

Cavello patrzył na mnie, ale się nie odzywał.

— No to wiedz, że dzisiaj to ja będę spał jak niemowlę.

Patrzyłem na niego jeszcze przez chwilę, a potem upewniony, że nie da rady się stamtąd wydostać, odwróciłem się i odszedłem.

Rozdział 125

Wieczorem dwa dni później wylądowaliśmy z Andie na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku.

Byłem przygotowany, że zaraz po zejściu z pokładu samolotu zostaną aresztowani, ale nic z tych rzeczy. Bez problemów przeszliśmy przez kontrolę celną i paszportową. W terminalu panował istny młyn. Rodziny, kierowcy limuzyn, uniesione ręce machające do każdego wychodzącego. Zaczepił nas jakiś facet w połyskliwym czarnym garniturze.

— Może podwieźć?

Spojrzelśmy z Andie po sobie. Nie mieliśmy żadnego planu powrotu do miasta.

— Dobra, wieź nas pan — burknąłem.

Podaliśmy kierowcy adres Andie. Przez prawie całą drogę na Manhattan milczeliśmy, sycąc oczy znajomymi widokami — lunapark, Shea Stadium. Byliśmy zdenerwowani, nie wiedzieliśmy, jak to teraz będzie. Ja obawiałem się, że wylali mnie już z pracy, że może zostaną aresztowani. A Andie... jakoś nie wyobrażałem jej sobie na przesłuchaniach do ról w reklamówkach.

Kiedy mineliśmy most Triborough i wjeżdżaliśmy do jej dzielnicy, spojrzała na mnie. Zobaczyłem w jej oczach łzy. Pokręciła głową.

— Przepraszam, Nick, ale ja po prostu nie mogę.

— Czego nie możesz, Andie?

— Nie dam rady wysiąść z tej taksówki. Nie potrafię wrócić do poprzedniego życia bez ciebie.

Przyłożyłem dłoń do jej policzka i otarłem kciukiem łzę z kącika oka. Ścisnęła mnie mocno za nadgarstek.

— Nie potrafię wrócić do domu i udawać, że wszystko jest jak dawniej, że mogę rozpocząć nowe życie. Bo nie jestem już taka jak dawniej. I jeśli przekroczę próg mojego mieszkania, to przypomną mi się wszystkie głupie błędy, jakie w życiu popełniłam.

— No to go nie przekraczaj. — Otoczyłem ją ramieniem. — Jedźmy do mnie.

— Nie mogę się pogodzić ze śmiercią Jarroda, Nick. Nigdy się nie pogodzę. Ale nie chcę spędzić reszty życia na rozpamiętywaniu.

— Andie... — położyłem jej palec na ustach —...jedziemy do mnie.

Łzy potoczyły się teraz po jej policzkach strumieniami. Trudno było orzec, czy to łzy cierpienia, czy ulgi.

— Wiesz, ile zarobiłam w zeszłym roku, Nick? — spytała. — Dwadzieścia cztery tysiące sześćset dolarów. Ani centa więcej. A i to głównie z tantiem.

— Całkiem nieźle — mruknąłem, przytulając ją do siebie. — Zresztą sam wiem, jaka dobra z ciebie aktorka. Nie musisz mnie o tym zapewniać.

Stłumiła chichot. Makijaż jej się rozplywał.

— Zmiana adresu — rzuciłem do kierowcy i podałem swój. Wracaliśmy razem do domu.

Epilog

Rok później

Rozdział 126

Richard Nordeshenko zajrzał dyskretnie w swoje karty — król i dziesiątka kier. Uznał, że warto je zatrzymać. Czuł, że szczęście mu dzisiaj sprzyja. Przed nim piętrzyło się kilka stosików żetonów i już od dawna szykował się na ten wieczór.

Amerikanin dotrzymał słowa. Od odzyskania Pavla nic się nie działo. Żadnej policji. Żadnego Mossadu. Żadnego Interpolu. Nikt nie łączył go z akcją odbicia Cavella w Nowym Jorku. Ani ze śmiercią Reichardta w Hajfie. Zawiesił interes, zerwał wszystkie kontakty.

Po roku uznał, że może już bezpiecznie wrócić do gry. Przyjął zlecenie w Ameryce. Kontrakt dotyczył jakichś desperowanych Irańczyków, ale honorarium było sowite i wypłacono mu je z góry.

Tym razem nazywał się Alex Kristancic i był biznesmenem ze Słowenii. W wizie miał wpisane, że przybył tu promować słoweńskie wino na targach w Javits Center.

Przez cały wieczór szła mu karta. Stosik żetonów sukcesywnie rósł. Pozwolił sobie na dwie wódki. Nawet nie liczył, ile już wygrał.

Kilka razy nawiązał kontakt wzrokowy z siedzącą przy stoliku obok kobietą. Była w wydekoltowanej czarnej sukience i miała elegancko ułożone, gęste, falujące włosy. Nic nie wskazywało, żeby ktoś jej towarzyszył. Grała na niskie stawki.

W kolejnym rozdaniu trafił mu się znowu król i dziesiątka — no to jest w domu! Szczęście nadal mu dopisywało. Jego przeciwnik sprawdził. Nordeshenko odkrył karty, Tamten jęknął. Też miał dwie pary, ale niższe.

Bogowie nadal byli z nim.

— Nie przeciągam struny — oznajmił, układając z wygranych żetonów kilka nowych wysokich wieżyczek.

Wstał od stolika, poszedł do baru i zamówił jeszcze jedną wódkę. Był w znakomitym nastroju. Ten nastrój poprawił mu się jeszcze bardziej, kiedy na wolny stołek obok wspięła się tamta kobieta od sąsiedniego stolika.

— Miał pan dzisiaj dobrą passę — zagała. — Nie tylko ja to zauważyłam.

Seksownie wyglądała w tej wydekoltowanej sukience, pachniała dobrymi perfumami. Miała długą, piękną szyję.

— Owszem. Pokerowi bogowie czuwali dziś nade mną. A pani jak poszło? Mam nadzieję, że dobrze.

— Wystarczy na krwawą mary i taksówkę do domu. Nade mną ci bogowie jakoś nie czuwali.

— Pozwoli więc pani, że postawię jej drinka? — Nordeshenko uśmiechnął się i skinął na barmana. — Zaoszczędzi pani z wygraną.

Przedstawił się jako Alex. Ona powiedziała, że ma na imię Claire. Rozmawiali o pokerze, o winach i o Nowym Jorku, gdzie pracowała jako agentka obrotu nieruchomościami. Zamówili jeszcze jedną kolejkę. Gestykułując podczas rozmowy, Claire dotknęła kilka razy jego ramienia. Po jakimś czasie przyłapał się na tym, że odruchowo robi to samo. Skórę miała miękką i gładką. Oczy błyszczące.

Minęła północ. Przy stolikach zaczynało się przeredzać. Zamierzał już zaproponować Claire zmianę lokalu, kiedy znowu dotknęła jego ramienia i nachyliła się do niego. Poczul na policzku jej świeży, słodki oddech.

— Miałeś dzisiaj swój szczęśliwy dzień, Alex, może chciał byś go czymś uwieńczyć?

Poczuł rozkoszne ciepło rozlewające się po wnętrzościach. Przemknęło mu już wcześniej przez myśl, że ta kobieta może być prostytutką, ale gdyby nawet, to co z tego? Była bardzo atrakcyjna i sprawiała wrażenie przystępnej. A wygrał dzisiaj tyle, że starczyłoby mu na kilka takich.

— Z przyjemnością — powiedział, spoglądając w jej niesamowite, brązowe oczy. Rzucił na ladę kilka banknotów. Ona przewiesiła sobie przez ramię torebkę. Ujął ją za łokieć i pomógł zsunąć się z barowego stołka. — No to rock and rolla czas zacząć.

Claire uśmiechnęła się zaskoczona.

— To powiedzonko mojego syna — wyjaśnił Nordeshenko. — Ogląda amerykańską telewizję.

— Masz syna?

Odniósł wrażenie, że nie stracił przez to w jej oczach. Wprost przeciwnie.

— Tak. Trzynastoletniego.

— Naprawdę? — Popatrzyła na niego przeciągle, jej błyszczące dotąd oczy jakby przygały. — Ja też miałam kiedyś syna.

Rozdział 127

Usiadłem z gazetą przy kuchennym stole i jeszcze raz przeczytałem krótką, dwukolumnową wzmiankę na miejskich stronach „New York Posta”.

Spojrzałem na czarno-białe zdjęcie zamordowanego mężczyzny. Żadnych wątpliwości, to on.

BIZNESMEN ZAMORDOWANY W EKSKLUZYWNYM HOTELU

Dziś rano, w hotelu przy Times Square, znaleziono zwłoki słoweńskiego biznesmena, Aleksa Kristancica, który przybył niedawno do Stanów w interesach. Zginął w zajmowanym przez siebie pokoju od śmiertelnego pchnięcia nożem w szyję.

Policja szacuje, że śmierć nastąpiła dzisiaj nad ranem. Personel Ramada Renaissance przypomina sobie, że pan Kristancic wrócił do hotelu po północy w towarzystwie kobiety o nieustalonej dotąd tożsamości.

Zdaniem porucznika Neda Rusta z dwudziestego trzeciego manhattańskiego posterunku mogła to być cali girl, ale rysopis jest bardzo nieprecyzyjny.

„Pan Kristancic spędził ten wieczór w Murray Hill Poker Club, prywatnym klubie przy Wschodniej Trzydziestej Trze-

ciej Ulicy, i być może właśnie tam poznał tę kobietę”, powiedział nam porucznik Rust.

Na miejscu zbrodni nie stwierdzono żadnych śladów szamotani-ny. Nie był to również napad rabunkowy, co każe domniemywać, że pan Kristancic, który miał przy sobie dziesięć tysięcy dolarów w gotówce, mógł znać swojego zabójcę.

Zgrzytnął klucz w zamku. Weszła Andie. Była w dzinsach i skórzanej kurtce.

Zdziwiło ją, że jestem w domu. Od sześciu miesięcy byłem partnerem w Bay Star International, firmie ubezpieczeniowej o ogólnoświatowym zasięgu.

— Nick...

— Co u Rity? — Podniosłem na nią wzrok. — Wychodząc wczoraj, mówiłaś, że idziesz do niej i że tam przenocujesz.

— Tak, rzeczywiście. — Andie położyła na ladzie torbę z zakupami. — A dzisiaj miałam przesłuchanie.

Podąłem jej gazetę. Wzięła ją i zaczęła czytać. Skończyła, kiwnęła głową, spojrzała w sufit i na koniec na mnie.

— Niezła z ciebie aktorka — powiedziałem.

Usiadła naprzeciwko i spojrzała na mnie otwarcie.

— On zabił mojego syna, Nick. I wszystkich przysięgłych.

— Skąd się dowiedziałas, że jest w Nowym Jorku?

— Twój znajomy z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Harpering się nazywa, przysłał ci kilka dni temu faks, że wrócił facet, którym byłeś zainteresowany w zeszłym roku. Że legitymuje się teraz paszportem na inne nazwisko i że zatrzymał się w hotelu przy Times Square.

— Czyli sprawa załatwiona? Cavello. Nordeshenko.

— Tak, Nick. — Kiwnęła głową. — Załatwiona.

Wstałem, podeszedłem do niej, podniosłem z krzesła i przytuliłem. A potem spytałem:

— No i jak poszło na tym przesłuchaniu?

Wzruszyła ramionami.

— Tak sobie. Szukali statystów do odcinka Prawo i porządek. Dostałam rolę.

— O, jaką?

— Przewodniczącej ławy przysięgłych. — Andie się uśmiechnęła. — Do wypowiedzenia mam tylko jedną kwestię, Nick. Sędzina pyta: „Proszę pani przewodniczącej, czy ława przysięgłych ustaliła werdykt?”. A ja spoglądam na nią i mówię: „Tak, Wysoki Sądzie”.

Spis treści

Prolog	
Ślub.....	7
Część pierwsza	
Proces	19
Część druga	
Ponowne rozpoznanie.....	149
Część trzecia	
Piskorz	255
Część czwarta	
Hajfa.....	283
Część piąta	
El Fin del Mundo	327
Epilog	
Rok później.....	375